

ŻYCIĘ GOSPODARCZE

14 WRZEŚNIA 1975 R.

NR 37 (1252) WYD. XXX

TYGODNIK SPOŁECZNO-GOSPODARCZY

CENA 4 ZŁ

NOWA JAKOŚĆ PRACY NOWA JAKOŚĆ POTRZEB

JAN GŁÓWCZYK

str. 1



JAK SIĘ KOMU POWODZI

ZOFIA DŁUGOSZ str. 1

Duże środki
jeszcze większa
odpowiedzialność

LECH FROELICH str. 2

GOSPODARKA CHIN W LATACH SIEDEMDZIESIĄTYCH

GABOR HIDASI

str. 13

...mało który dyrektor Estrady decyduje się zostać ambitnym

JACEK BOLDOK

str. 3



„Widoki
są cudne
ale deszczu
za wiele”

ANDRZEJ POTOCKI str. 7



PRANIE

ANDRZEJ
NAŁĘCZ-JAWECKI str. 5

SPRZECZNE WSKAŹNIKI

ADAM ZYCH str. 8

PODRÓŻE KSZTAŁCONYCH

HANNA
POLEWSKA-DOROZIK str. 9

NA WYŻSZYM POZIOMIE JAKOŚCIOWYM

JAN GŁÓWCZYK

POGRUDNIOWA POLITYKĘ PARTII można określić jako odwróconą twarz do człowieka i jego potrzeb. Przelomowe znaczenie dla wyprowadzenia wzrostu społeczeństwa ze stanu inercji miał już sam fakt oceny skali niezaspokojonych potrzeb, w tym podstawowych, a w ślad za tym publiczna debata przed VI Zjazdem nad tym, co trzeba i jak trzeba zrobić. Wymagało to ogromnej odwagi i politycznej dalekowzroczności, ponieważ stopień rozeznania potrzeb był duży, a gotowość gospodarki do ich zaspokojenia — mizerna.

Sens polityki pogrudniowej polegał jednak na tym, że nie dala się ona sprowadzić do koncertu życzeń, lecz — podejmując z miejsca sprawy najbardziej nabrzmiałe i wprowadzając w życie wieloletnie kompleksowe programy rozwiązywania ważnych kwestii społecznych — uruchamiała i organizowała w skali masowej działania ludzkie, cierpliwe i konsekwentnie tworzące za pośrednictwem ludzi materialną bazę dla potrzeb nie tylko bieżących. Funkcjonowanie tych współzależności: potrzeby — aktywność ludzka — wzrost produkcji — zostało w pełni potwierdzone wykracającym poza najbardziej optymistyczne przewidywania stopniem przyspieszenia zadań VI Zjazdu, na wszystkich frontach. Lata 1971—1975 stały się najbardziej znaczącym okresem w trzydziestolecu rozwoju naszego kraju i otworzyły nowy etap historyczny — stopniowego podejmowania zadań rozwojowego budownictwa socjalistycznego.

Bieżące pięćdziesiątka charakteryzuje szczególnie wysoka dynamika wzrostu produkcji materialnej, znacznie wykraczająca poza tempo osiągnięte w przeszłości. Wzrost produkcji przemysłowej o ponad 70 proc., rolniej o 27 proc. i obrotów handlu zagranicznego około 2,5 raza stanowi podstawę zwiększenia dochodu narodowego o przeszło 60 proc. Przewiduje się, że nakłady inwestycyjne wzrosną o blisko 90

proc., co stało się podstawą gruntownego przebrojenia gospodarki, w tym w szczególności przemysłu produkujących środki konsumpcji.

Wraz z radykalnym wzrostem wydajności pracy i przy konsekwentnym przestrzeganiu nadrzędności celów społecznych w rozwoju gospodarczym, nadało to rekordowo wysokiej dynamice wzrostu nowe cechy jakościowe. Nasz rozwój nabrał cech intensywnych, choć ich występowanie nie jest jeszcze wszechstronne i równomierne. Rozruch gospodarki, z jednoczesnym dbaniem o warunki rozwoju w dalszych latach, wymagał zarazem nasycenia wszystkich dziedzin w środki materialne, nie tylko inwestycyjne. Jest więc zrozumiałe, że intensyfikacja gospodarki musiała mieć w znacznej mierze charakter nakładochłonny.

Wysilek pracy i wysilek w dziedzinie nakładów opłaciły się jednak sownie. Przelamana została tendencja malejącego tempa wzrostu dochodu narodowego i to przecież nie w warunkach wstępnej fazy rozwoju. Popatrzmy zresztą na tabelę I.

Szybki przyrost dochodu narodowego stał się podstawą wzrostu spożycia. Średniorocznie zwiększało się ono w latach 1971—1974 o 56,8 mld zł, a więc w rozmiarze ponad dwa razy większym niż w latach 1968—1970 a łączny jego przyrost za cztery lata wyniósł 227,3 mld zł (patrz tabela II).

Wysokie tempo wzrostu dochodu narodowego stało się źródłem dwukrotnie szybszego od założen planowych wzrostu płac realnych i przyspieszonej realizacji rozszerzonego programu socjalnego.

Mimo to mamy w gospodarce i w życiu codziennym liczne problemy, wymagające rozwiązania, a także dysproporcje, powodujące konieczność wyrównywania frontu rozwoju gospodarczego. Wynikają one ze spadku przeszłości, a także są normalną cechą towarzyszącą dynamicznemu, burzliwemu rozwojowi. Istotne, trudne zagadnienia wyłożyły się w

związku z mniej korzystnymi warunkami w rolnictwie a w szczególności na tle chwiejnej koniunktury na rynkach światowych.

Zrównoważenie wszystkich części składowych gospodarki, w tym rynku wewnętrznego i handlu zagranicznego wymaga licznych działań bieżących i długofalowych, konsekwentnie zresztą podejmowanych, a zwłaszcza wzmożenia produkcji rynkowej i proeksportowej oraz dalszej poprawy efektywności gospodarowania. Na te właśnie sprawy zwrócił szczególną uwagę w swym przemówieniu na XVIII Plenum premier Piotr Jaroszewicz, wytyczając metody i kierunki działania, akcentując potrzebę podniesienia jakości pracy we wszystkich dziedzinach.

Czynnikami wyższej jakości pracy wydają się już w bieżącym pięćdziesiątku. Należy do nich przede wszystkim zwiększenie tempa wzrostu wydajności pracy. Była to przez wiele lat słaba strona naszej gospodarki. Wydawało się w przeszłości, że nie do pogodzenia jest wysoki ilościowy przyrost zasobów pracy z jednoczesnym wzrostem wydajności. Tymczasem właśnie w latach wchodzenia szczytu demograficznego do produkcji tempo wzrostu wydajności pracy w całej gospodarce, mierzone produkcją czystą, zwiększyło się niemal dwukrotnie, z 4,1 proc. średniorocznie w latach 1966—1970 do 7,9 proc. w latach 1971—1974. Motorem wzrostu wydajności pracy stał się wysoki stopień jej opłacenia, co przełamało zastarzałe nawyki, stało się dowodem w skali społecznej, że możemy, jesteśmy w stanie pracować znacznie bardziej wydajnie.

W przyszłym pięćdziesiątku potrzeby i zadania w dziedzinie wydajności pracy są jednak i większe i bardziej złożone, właśnie nowe jakościowo. Z jednej strony skokowy niemal wzrost majątku produkcyjnego, o wysokim już poziomie technicznym, staje się mocnym — obok wzrostu płac — źródłem zasilałym tempo wzrostu wydajności pracy. Musi to być uwzględniane w relacjach wzajemnych tempa wzrostu płac i wydajności, ponieważ wzrost uzbrojenia pracy został już w określonej mierze opłacony przez całe społeczeństwo w postaci wydatkowania nakładów inwestycyjnych. To znaczy rozróżniać trzeba — choć jest to powiązane — między wydajnością pracy maszyn i ludzi.

Z drugiej strony oznacza to, że wraz ze wzrostem wyposażenia technicznego, (w tym z mechanizacją prac uciążliwych) mniejszy wpływ na wzrost wydajności pracy wywierać będzie bezpośrednia, fizyczna in-

DOKONCZENIE NA STR. 2

FORTUNA TOCZY SIĘ SZYBCIEJ

ZOFIA DŁUGOSZ

ROZNIK STATYSTYCZNY 1975 przynosi wyniki badań budżetów rodzinnych w 1974 roku, które można porównywać z wcześniejszymi o rok dany na ten sam temat. Jest to pewne wydarzenie dla wszystkich zajmujących się teoretycznie i praktycznie polityką społeczną, poziomem i strukturą konsumpcji w różnych grupach społeczno-zawodowych i dochodowych. Tak się bowiem nieszczyśliwie złożyło, że właśnie wtedy, kiedy zaczęły w tych dziedzinach następować po roku 1970 szybkie zmiany, Główny Urząd Statystyczny rozszerzył znacznie zakres badań budżetów domowych i zastosował w nich różne innowacje. Była to zmiana na lepsze, ale uniemożliwiła ona obserwowanie z roku na rok od początku tej pięcioletniej skutków prowadzonej w niej polityki wzrostu dochodów i świadczeń społecznych dla różnych grup społeczno-zawodowych, dla rodzin mało- i wielodzietnych itp.

Mamy wreszcie jednak porównywalne dane z dwóch lat. Zanim specjalści przystąpią do ich analizy z całym swoim aparatem metodologicznym, warto chyba na gorąco przytoczyć za Rocznikiem Statystycznym niektóre z nich. Pytanie — jak się komu powodzi zawsze mocno intrzyguje wszędzie opinię publiczną.

DOCHODOWY AWANS

Bywa, że w życiu pojedynczej rodziny odmiana sytuacji materialnej przychodzi nagle — w rok może ona bardzo wiele zyskać, lub dużo stracić. Statystyka, rozpatrując te pojedyncze zdarzenia w ogromnej masie badanych jednostek, sprowadzając je do swoich średnich — nie odnotowuje tak raptownych zmian. Przeobrażenia w poziomie i strukturze dochodów i wydatków, a zwłaszcza we wzajemnym usytuowaniu wobec siebie poszczególnych grup społecznych dokonują się wolno — jeden rok nie przynosi tu na ogół rewelacyjnych zmian.

Pamiętając o tym zastrzeżeniu, trzeba stwierdzić, że między rokiem 1973 a 1974 dokonały się jednak u nas pod tym względem zmiany dość istotne. Przeciętny nominalny roczny dochód na osobę w gospodarstwie

domowym zwiększył się w tym czasie o 2 221 zł; w tym w gospodarstwach pracowniczych o 2 821 zł, robotniczo-chłopskich — 1 994 zł, chłopskich 1 481 zł, emerytów i rencistów — 1 637 zł. Nierównomierny przyrost dochodów na osobę w różnych grupach społeczno-zawodowych sprawił, iż zmieniła się też nieco relacja w ich wzajemnym położeniu dochodowym.

Na podstawie badań budżetów domowych w 1973 roku szacowano, iż przeciętny poziom dochodów robotniczo-chłopskich — 1 994 zł, chłopskich — 1 481 zł, emerytów i rencistów — 1 637 zł, a chłopów o 4 proc. niższy, niż w grupie ludności utrzymującej się głównie z pracy w gospodarce uspołecznionej. Z danych za rok 1974 wynika, iż jeśli średnie dochody na osobę w grupie pracowniczej przyjąć za 100, to przeciętne dochody w gospodarstwach chłopskich ukształtowały się na poziomie 82,4 proc. na osobę, robotniczo-chłopskich — 79,6 proc., emerytów i rencistów — 77,6 proc. Trzeba tu przypomnieć, iż dochody chłopów i chłopo-robotników z gospodarstwa rolnego traktowane są w badaniach budżetów domowych jako różnica między sumą przychodów, łącznie z wartością artykułów żywnościowych pobranych do spożycia, a sumą rozchodów bieżących i inwestycyjnych związanych z produkcją rolniczą.

Ogólny wzrost dochodów przyniósł przesunięcie wielu rodzin do wyższej sytuacji grup. Ze społecznego punktu widzenia najważniejszy jest tutaj znaczny spadek odsetka gospodarstw o dochodach 12 tys. zł rocznie na osobę i mniej — z 18,1, proc. w 1973 do 12,3 proc. w 1974.

W grupie pracowniczej zmniejszył się on z 11,1 do 5,9 proc., robotniczo-chłopskiej z 24,3 do 17,5 proc., chłopskiej z 29,5 do 24,8 proc., w grupie emerytów i rencistów z 26,5 do 18 proc.

O liczebności najskromniejszej sytuacji w gospodarstwach domowych w poszczególnych grupach społeczno-zawodowych decyduje nie tyle wysokość ogólnych dochodów, co liczba korzystających z nich osób. Wysokość dochodów przypadających na osobę w gospodarstwie domowym najwyższa była w 1974 roku w grupie ludności robotniczo-chłopskiej: osiągnę-

ła tu one przeciętnie 83 931 zł, podczas gdy w gospodarstwach pracowniczych średnio 79 527 zł, chłopskich 66 359 zł, a emerytów i rencistów tylko 29 384 zł. Liczba osób w gospodarstwie domowym, które muszą się z tych dochodów utrzymać, zasadniczo jednak zmienia te relacje. Najwięcej osób jest w gospodarstwach robotniczo-chłopskich — przeciętnie 4,63, następnie chłopskich — 3,54, pracowniczych 3,49. Gospodarstwa domowe emerytów i rencistów liczą przeciętnie 1,47 osób. Wzrasta liczba emerytów lub rencistów samotnie prowadzących gospodarstwo domowe — z 46 proc. w 1973 roku do 48,4 proc. w 1974, co wskazuje iż coraz bardziej palące staje się rozwiązanie problemu opieki nad starszymi, samotnymi ludźmi.

Liczba gospodarstw osiągniętych przychodów najwyższe — 36 tys. zł rocznie na osobę i więcej — zwiększyła się w ciągu jednego roku z 6,4 do 9,5 proc.; wśród ludności pracowniczej z 9,2 do 12,8 proc., robotniczo-chłopskiej — z 3,2 do 4,9 proc., chłopskiej z 7,3 do 8,6 proc., a wśród emerytów i rencistów z 1,2 do 2,3 proc. Jeszcze istotniejsze są przesunięcia w grupach dochodów średnich, dotyczą one bowiem większych grup ludności.

W roku 1973 — 24,3 proc. wszystkich badanych gospodarstw miesięczny dochód w przedziale dochodów — 18 — 24 tys. zł rocznie na osobę. W 1974 r. grupa ta zwiększyła się do 25,1 proc. Dochody powyżej 1500 zł miesięcznie na osobę osiągnęły w 1974 roku 71,6 proc. gospodarstw pracowniczych 50 proc., robotniczo-chłopskich, 46,5 proc. — chłopskich i 38,2 proc. — emerytów i rencistów.

ROZPIĘTOŚCI

Różnice w położeniu materialnym poszczególnych grup społeczno-zawodowych nie wyczerpują oczywiście odpowiedzi na pytanie, jak się komu powodziło w 1974 roku. W obrębie tych samych grup występują znaczna rozpiętość dochodów między

DOKONCZENIE NA STR. 2

WZIAĆ ABY DAĆ

LECH FROELICH

CZY przemysł elektromaszynowy — jako podstawowy producent środków produkcji w wystarczającej mierze bierze udział w rekonstrukcji i rozbudowie krajowego potencjału produkcyjnego? Czy środki finansowe, złotówkowe i dewizowe, które w ostatnich latach bogatym strumieniem zasilały ten przemysł, pozwoliły na zakup szeregu nowych technologii, nowoczesnych maszyn i urządzeń, na budowę wielu nowoczesnych, na światowym poziomie fabryk, już nam przynoszą oczekiwane korzyści? Czy udział przemysłu maszynowego w eksporcie wyrównuje już poniesione na jego rozbudowę wydatki importowe?

Dziennikarz obracający się w sferach praktyki gospodarczej spotyka się niejednokrotnie z zarzutami ze strony przedstawicieli różnych branż przemysłowych, a także rolnictwa, uzależnionych bezpośrednio od dostaw maszyn i urządzeń wytwarzanych w zakładach produkujących maszyny i od poziomu technicznego tych maszyn i urządzeń, że oczekiwania spełniają się zbyt wolno, że potrzeby związane z rekonstrukcją aparatu wytwórczego wymagają szybszych dostaw wydajniejszych, o wysokim stopniu niezawodności, nowoczesności maszyn.

Finansiści oceniają pozytywnie wysoka dynamikę rozwoju kraju, wyrażając jednocześnie przekonanie, że powstałe w ostatnich latach ujemne saldo w obrotach handlu zagranicznego, a w tym szczególnie w eksporcie, jest zbyt duże, że przysporzyło to sporych zobowiązań finansowych — eksportując (za założeniem) korzystnie wytwarzane przy udziale nowych mocy produkcyjnych wyroby. A ciężar tych zobowiązań były skłonne przerzucać na zjednoczenie, na właściwe ministerstwo, na całą gospodarkę, uważając niejednokrotnie, że np. eliminacja importu — jest także formą samospłaty.

Słyszałem stwierdzenie, że w roku 1973 saldo obrotów zagranicznych, importu i eksportu w przemyśle maszynowym było ujemne i wynosiło w przybliżeniu tyle ile w roku 1972 ujemne saldo całej gospodarki; że proces ten pogłębił się w roku 1974. Słyszałem pogląd, że program roz-

woju przemysłu maszynowego (choć ambitny) nie uwzględni jednak w dostatecznej mierze wielu branż o znaczeniu kluczowym dla całej gospodarki, że „unikla”, „ucięła” od produkcji wyposażenia dla przemysłu spożywczego, lekkiego, dla rolnictwa...

Niektóre z tych pytań brzmią alarmistycznie. Być może nie wszystkie mają realne podstawy — krążą jednak — więc domagając się odpowiedzi.

W czasie rozmów w Ministerstwie Przemysłu Maszynowego a także w handlu zagranicznym starałem się uzyskać argumenty wyjaśniające sytuację i weryfikujące obiegowe poglądy.

Jest niestety prawdą, że mimo teoretycznych i praktycznych argumentów za koniecznością posiadania nowoczesnego, prężnego przemysłu maszynowego jako gwaranta rozwoju wszelkich innych przemysłów (dostawca środków produkcji) przez wiele lat takiego przemysłu nie posiadaliśmy. Choć niejednokrotnie dysponowaliśmy interesującymi i pionierskimi rozwiązaniami konstrukcyjnymi nowych maszyn i urządzeń, to nie mogły one być „skonsolidowane” przez producentów z powodu niedorozwoju technologii, braku niezbędnych urządzeń produkcyjnych. Poza kilku zbudowanymi od podstaw, rzeczywistymi „na światowym poziomie”, zakładami produkcyjnymi, większość fabryk przemysłu maszynowego znacznie od tego światowego poziomu odstawała —

głównym mankamentem były przestarzałe, niskowydajne maszyny, stare technologie wymagające wysokich nakładów pracy i nie gwarantujące powtarzalności podstawowych cech wyrobów, niedostatek obrabiarek sterowanych automatycznie, pozwalających na zmechanizowanie procesów technologicznych i uwolnienie się od błędów, jakie popełniał człowiek, ale nie maszyna. Tylko kto miał te mankamenty usunąć albo złagodzić? Przecież o nowoczesności wielu maszyn i technologii decydowało nie co innego, a poziom produkcji właśnie przemysłu maszynowego. Można mówić o jego niedoinwestowaniu, ale patrząc na to, co w ubiegłych latach otrzymywali inni, nie da się obronić tezy, że „maszynówka” była w stosunku do nich upośledzona. Raczej odwrotnie...

Na początku lat siedemdziesiątych zapadły decyzje o konieczności dalszej, szybszej modernizacji przemysłu maszynowego. Warto zaznaczyć, że według szacunków amerykańskiego czasopisma „American Mechanics” Polska jako importer ma-

szyn zajmuje obecnie (1974) trzecie miejsce na świecie, po ZSRR i Francji.

Natomiast w produkcji obrabiarek zajmujemy dopiero 10 miejsce. Czołową pozycję zajmuje RFN z produkcją wartości 2800 mln dol. Polska produkcję obrabiarek Amerykanie szacują na 340 mln dol. — ich eksport, zdaniem ekspertów, stanowi ok. 1/3 produkcji. RFN, przodujący światowy eksporter obrabiarek, legitymuje się eksportem blisko 20 razy większym. Budowa maszyn i obrabiarek jest w RFN od lat dziedziną preferowaną — trudno nam się równać z tym producentem — jest jednak faktem że „po” wyeksportowaniu maszyn i obrabiarek za 2000 mln dol. pozostają jeszcze na użytek własny maszyny za 800 mln dol. — czyli prawie 2,5 raza więcej niż wynosi cała produkcja polskiego przemysłu obrabiarkowego.

Fakt zakupu nowych technologii (licencji) maszyn i wyposażenia technicznego, a w konsekwencji niejednokrotnie konieczność długofalowego importu kooperacyjnego, trzeba uznać za prawidłowy i uzasadniony. Jednocześnie jednak należało szukać odpowiednich źródeł pokrycia tych zakupów. Należało zwłaszcza szukać dróg, by każda branża przemysłu, zwłaszcza korzystająca z dostaw importowanego sprzętu, starała się niejako „wewnętrznie” dążyć do zmniejszenia finansowych skutków tego importu — a więc do rozwoju własnego eksportu. Niektórzy przedstawiciele przemysłu maszynowego uważają takie podejście za niestudne twierdząc, że import ma zwiększać nasz potencjał, a o eksport powinni się martwić ci, którzy mają lepsze możliwości lokowania swych wyrobów za granicą. Nie uwzględniają jednak faktu, że po to się m.in. unowocześnia wiele branż i zakładów przemysłu maszynowego, aby stworzyć możliwości opłacalnego eksportu.

Wymaga to zmiany orientacji wśród polskich producentów obrabiarek. Dotychczas dominowały w naszym profilu produkcyjnym w eksporcie obrabiarki tradycyjne, uniwersalne, na które za granicą nie nadal popyt, zwłaszcza drobnych użytkowników, na które również jest zapotrzebowanie krajowe — które jednak przestały być już nośnikami postępu. Obecnie coraz bardziej znaczącą rolę w eksporcie maszyn i urządzeń, czyli wydajności pracy uprzedmiotowionej.

Generalny sens debaty na VIII Plenum KC PZPR i Wytycznych do dyskusji przed VII Zjazdem sprowadzić można do konsekwentnej kontynuacji strategii VI Zjazdu, kontynuacji dostosowanej do nowych jakościowo zadań i rosnących potrzeb społecznych. Mówił o tym następująco I Sekretarz KC PZPR tow. Edward Gierk na XVIII Plenum:

„Warunkiem osiągnięcia nakreślonych w Wytycznych celów społecznych będzie podobnie jak w obecnym 5-leciu, odpowiedni wzrost dochodu narodowego, produkcji przemysłowej i rolniej. Słusznie podkreślamy, że kontynuacja polityki dynamicznego rozwoju gospodarczego nie oznacza i nie może oznaczać prostej kontynuacji dotychczasowych wysiłków. Wręcz przeciwnie, biorąc pod uwagę inny punkt wyj-

ścia, a także nowe potrzeby, musimy stawiać przez sobą w przyszłym 5-leciu jakościowo wyższe zadania”. Stały wzrost potrzeb jest prawidłowością rozwoju społeczeństwa socjalistycznego dlatego, że odpowiadają celowi naszej produkcji, że napędzają potrzebę rozwoju produkcji i rolnictwa, a także potrzebę poprawy warunków życia ludności.

Przykład przemysłu obrabiarek niech będzie przykładem pars pro toto.

Przechodząc do zadania ogólnego, formułowanego dla całego przemysłu, dla wszystkich producentów maszyn, niezależnie od ich resortowej przynależności można by je streścić w sześciu słowach: więcej importować (zakupy technologii, maszyn i urządzeń, materiałów i podzespołów), więcej produkować i więcej eksportować. Za wskaźnik czy ów proces odbywa się prawidłowo, czy przyspieszenie gospodarcze osiągnięte dzięki zastrzykom nowych inwestycji, nowych technologii i nowego wyposażenia jest dostateczne — można przyjąć saldo dewizowe. Oczywiście saldo importu i eksportu, zmierzone w złotych dewizowych nie mówi jeszcze wszystkiego. Szczególnie niewłaściwą sprawą przy prowadzeniu polityki „gospodarki otwartej”, przy ożywieniu wymiany towarowej z rozwiniętymi krajami kapitalistycznymi, jest utrzymanie prawidłowych relacji w saldach częściowych, zwłaszcza importu i eksportu do k.k.

Przeglądając dane statystyczne można stwierdzić, że wobec technologicznego opóźnienia wielu branż resortu elektromaszynowego zdecydowaliśmy się na forsowny import, którego nasilenie przypadło w latach 1971—1973. W latach tych można było zaobserwować „minusowe” wahańnię się salda obrotów wyrobami przemysłu elektromaszynowego z rozwiniętymi krajami kapitalistycznymi.

„Kredyty zagraniczne zaciągamy (...) głównie na cele przyspieszenia, rozbudowy i modernizacji naszej gospodarki — stwierdził na XVIII Plenum KC premier Piotr Jaroszewicz — stać nas na to, gdyż mamy coraz silniejszą gospodarkę, coraz wyższy eksport. W rozwijaniu handlu z krajami kapitalistycznymi musimy liczyć się z faktem, że zjawiska i tendencje recesyjne zmniejszają w krajach kapitalistycznych popyt na wiele towarów”.

A mówiąc o inwestycjach i rekonstrukcji naszego potencjału wytwórczego dodał: „Znaczną część tych inwestycji dokonujemy w trybie tzw. samospłaty, należność za nabyte w krajach kapitalistycznych maszyny, urządzenia i technologie dla nowych fabryk pokrywamy stopniowo eksportem wytwarzanych w nich wyrobów. Jest to z reguły korzystna forma rozbudowy i unowocześniania naszego przemysłu, zwłaszcza że w trybie tym budujemy przede wszystkim nowe zakłady produkujące wyroby w oparciu o produkujące technologie”.

I tu można się pokusić o odpowiedź na pytanie: czy gospodarka narodowa odczuwa realne efekty tego wysiłku kredytowego, inwestycyjnego i technologicznego.

— Jesteśmy zdania — mówili mi odpowiedzialni pracownicy MPM, że salda kolejnych lat przeszłych, że również proponowane salda eksportu i importu na lata przyszłej pięciolatki, mogą świadczyć o prawidłowej pracy resortu. Jeżeli znakiem „+” oznaczmy poprawę salda w porównaniu do roku poprzedzającego a znakiem „-” pogorszenie, moglibyśmy ułożyć następującą tabelkę.

Porównanie lat	do k.k.	do k.s.
1971 do 1970	+ 2	+ 462
1972 do 1971	- 154	+ 219
1973 do 1972	- 220	- 181
1974 do 1973	- 25	- 376
1975 do 1974 ¹⁾	+ 98	+ 153
1976 do 1975 ²⁾	+ 200	+ 49
1977 do 1976	+ 200	+ 499
1978 do 1977	+ 150	+ 459
1979 do 1978	+ 150	+ 320
1980 do 1979	+ 200	+ 209

¹⁾ Przewidywane wykonanie roku 1975 do wyników roku 1974.

²⁾ Dane tej rubryki według resortowego projektu planu 1976—80.

Tabela uwidacznia, że po przełamaniu impasu następuje pewna poprawa. Warto zwrócić uwagę, że łącznie wolumen eksportu do k.k. w latach 1971—1975 — mimo występującej „dolin” salda w środkowych latach 5-latkii uległ podwojeniu w stosunku do 5-latkii 1966—1970; wzrost eksportu do k.k. w ostatnim roku 5-latkii (1975) w stosunku do roku wyjściowego (1971) wynosi 530 proc. Również według resortowego projektu planu na lata 1976—1980 eksport w kierunku krajów kapitalistycznych powinien ulec w stosunku do 5-latkii bieżącej potrojeniu. W ten sposób owocować będzie wysiłek włożony w rekonstrukcję i rozbudowę potencjału produkcyjnego. Szacuje się, że gdyby rozmiary eksportu do krajów kapitalistycznych w roku 1975 przyjął jako bazę porównawczą, to suma przyrostów eksportu w ciągu pięciu kolejnych lat będzie akurat dwukrotnie wyższa od spłaty kredytów wraz z odsetkami zaciągniętych na tę rozbudowę i rekonstrukcję. Te zamiany są oczywiście śmiałe i niewątpliwie będą trudne do osiągnięcia. Szczególnie, że jak dotychczas — zmiana w saldzie „z pogłębiającego się deficytu — do wyrównania długów” jest planowym zamierzeniem, a nie rzeczywistością. Liczne zaś próby wielu przedsiębiorstw uwolnienia się od samospłaty świadczą, że znacznie łatwiej było brać kredyty niż je spłacać.

Gwoli prawdy dodać trzeba jednak zastrzeżenia. Resort, a także zjednoczenia i przedsiębiorstwa resortu chcą i mogą ponieść odpowiedzialność za realizację zatwierdzonych i przyjętych zadań planu. Jednak ten plan „żyje”. Niejednokrotnie

w trakcie realizacji planu wynikają dodatkowe zadania, dodatkowe zlecenia, realizowane na podstawie uchwał Prezydium Rządu, które mogą wpływać na odchylenia od przyjętych założeń. Np. przyspieszenie realizacji budowy Huty Katowice i rozwoju energetyki zawodowej wymagało przyspieszenia niektórych dostaw maszyn z importu i to niewątpliwie spowoduje dodatkowe obciążenie po stronie importu. Bieżące potrzeby rozładowania trudnej sytuacji transportu krajowego mogą spowodować wycofanie pewnej puli samochodów ciężarowych z eksportu i to również w określony sposób zarzuci je na saldo obrotów w br. Takie dodatkowe obciążenia „arytmetyczne” obniżają wyniki eksportowe resortu — powinny jednak być przy jego ocenie brane pod uwagę.

Drugie zastrzeżenie dotyczy bezwzględnych kwot przeznaczonych na import maszyn, urządzeń, a zwłaszcza na pokrycie bieżących dostaw kooperacyjnych. Otóż nie jest naszym celem (a nawet nie jest to możliwe) ograniczanie i zmniejszanie bezwzględnych kwot importu z k.k. Przeciwnie, jesteśmy zainteresowani, by nasze obroty z krajami kapitalistycznymi wykazywały możliwie wysoką dynamikę. Zresztą wobec zawarcia licznych umów kooperacyjnych z czołowymi producentami krajów o wysokim poziomie techniki, jesteśmy zobowiązani do stałych wzajemnych ustalonych umów dostaw. Tak więc zarówno my, jak i nasi licencjodawcy i kooperanci są zainteresowani w stałym wartościowym wzroście obrotów — natomiast powinniśmy dążyć — i to właśnie ilustruje projekt planu przyszłej 5-latkii — do poprawienia salda, do większej równowagi między obu stronami naszych obrotów. Oczywiście „aby móc z dorobku innych krajów korzystać — jak stwierdził podczas dyskusji na XVIII Plenum KC minister Przemysłu Maszynowego Tadeusz Wrzaszczyk — trzeba mieć dorobek własny, albowiem tylko atrakcyjny, mający coś do zaoferowania partner jest partnerem cenionym”.

Należy podkreślić, że przemysł elektromaszynowy spełnia szczególną rolę w całokształcie przemian społeczno-gospodarczych kraju, że jest katalizatorem jego rozwoju. Maszyn budowane konstruowane w zakładach przemysłu maszynowego są realnym wkładem w realizację programu mieszkaniowego; maszyny dla rolnictwa i dla przemysłu spożywczego są warunkiem sine qua non realizacji programu motoryzacyjnego; realizacja programu motoryzacyjnego w dominującej mierze spoczywa na barkach MPM; w zakresie poprawy zaopatrzenia rynku udział przemysłu maszynowego jest również znaczny — ok. 20 proc. ogólnej produkcji stanowi produkcja rynekowa. Zadania są więc ogromne. Ale i środki niemałe. Komu zaś wiele dano, od tego trzeba wiele wymagać. A ze szczególnej roli przemysłu maszynowego w gospodarce wynika, że wymaga się od niego jeszcze więcej.

NA WYŻSZYM POZIOMIE JAKOŚCIOWYM

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

tensywność pracy, a rosnące — systematyczność, rytmiczność, jednym słowem racjonalne wykorzystanie nowej techniki. Warunkiem uzyskania nowych, wyższych jakości w sferze wydajności pracy, a zarazem dalszego systematycznego wzrostu plac staje się więc małżeństwo świadomości dyscypliny pracy z wyższym poziomem organizacji pracy i produkcji. Nie ma bowiem dyscypliny bez organizacji, ale i organizacji bez dyscypliny.

Tracimy jeszcze wiele czasu w produkcji (i nie tylko w produkcji), czasu, którego racjonalne spożytkowanie w okresie pracy jest podstawowym, nieodzownym warunkiem rozszerzenia czasu wolnego — czego wszyscy chcemy, i co postulujemy. Równocześnie, w warunkach skromniejszego przyrostu zasobów rąk do pracy, przy uwzględnieniu rosnącego zapotrzebowania w pracochłonnej sferze usług (na którą wszyscy narzekamy), w wielu dziedzinach produkcji materialnej będziemy dysponowali w najbliższych latach niewiele większym zasobem godzin pracy. Trzeba te godziny i minuty, te jeszcze dzisiaj stracone dla siebie i dla społeczeństwa, wykorzystywać lepiej dla wzrostu wydajności pracy i produkcji. Produkcji, na którą czekają nasze niezaspokojone, nowe jakościowo potrzeby.

W fazie rozwoju społeczno-gospodarczego, w którą weszliśmy przebiegamy w pięciolatek VI Zjazdu, coraz silniejszy wpływ na jakość pracy i życia wywiera współzależność i współdziałanie ludzi, grup społecznych, kolektywów fabrycznych, regionów, branż; współdziałanie i pomoc wzajemna wsparte dobrą organizacją. Stąd wynika również rosnące znaczenie sterującej roli planu

centralnego. Indywidualna, grupowa i społeczna wydajność pracy uzależnione są bowiem w coraz większym stopniu od racjonalnego funkcjonowania więzi społecznej. Ogromne znaczenie wywiera tu nie tylko techniczna strona organizacji pracy, ale również świadomość społeczna, czynnik subiektywny, polityczno-ideologiczny. Funkcjonuje on z siłą środków rzeczowych, materialnych, ponieważ ludzie są jedynym aktywnym czynnikiem, organizującym rzeczy, środki materialne.

Rosnie w naszym kraju w sposób znaczący jakość tego najbardziej znaczącego czynnika — ludzkiego — i to stwarza mocniejszą przesłankę dla drugiej połowy dekadę lat siedemdziesiątych, dla konsekwentnej kontynuacji, w nowych warunkach i na wyższym poziomie jakościowym, linii programowej partii, zapoczątkowanej na VII i VIII Plenum Komitetu Centralnego PZPR i rozwiniętej dla całej dekadę lat siedemdziesiątych na VI Zjeździe Partii.

W latach 1971—1975 weszło w okres twórczej działalności produkcyjnej 3 mln. nowych, młodych ludzi: W nadchodzącym pięciolatek przybędzie ich jeszcze około 2,4 mln. Ta ponad pięciomilionowa armia może działać więcej niż dziś kalkulujemy — i program, ujęty w tezach na VII Zjazd Partii jest na tę aktywność otwarty. Jakościowo wyższym, w znacznej mierze nowym zadaniem i nowym potrzebom społecznym, wychodzi naprzeciw nowa jakość kadra.

Modne były kiedyś — i przecież nie pozbawione pewnych podstaw — rozważania o barierach rozwoju gospodarczego. Rozumiano je przede wszystkim jako bariery rzeczowe. Przecież jednak bariery te tkwią w ludziach, którzy rzeczami zarządzają, w nas samych. I tylko w nas, w sile społecznej aktywności i jakości społecznego współdziałania znaleźć

możemy sposoby przezwycięzania tych barier.

W obecnej fazie naszego rozwoju społeczno-gospodarczego określające znaczenie dla wzrostu konsumpcji, tempa rozwoju społeczno-gospodarczego, dla pozycji Polski w świecie, ma wzrost społecznej wydajności pracy, zarówno tej dzisiaj wydatkowej, jak i tej wyłożonej poprzednio, zawartej obecnie w narzędziach i urządzeniach, w inwestycjach w toku, w surowcach, w półfabrykach, czyli wydajności pracy uprzedmiotowionej.

Generalny sens debaty na VIII Plenum KC PZPR i Wytycznych do dyskusji przed VII Zjazdem sprowadzić można do konsekwentnej kontynuacji strategii VI Zjazdu, kontynuacji dostosowanej do nowych jakościowo zadań i rosnących potrzeb społecznych. Mówił o tym następująco I Sekretarz KC PZPR tow. Edward Gierk na XVIII Plenum:

„Warunkiem osiągnięcia nakreślonych w Wytycznych celów społecznych będzie podobnie jak w obecnym 5-leciu, odpowiedni wzrost dochodu narodowego, produkcji przemysłowej i rolniej. Słusznie podkreślamy, że kontynuacja polityki dynamicznego rozwoju gospodarczego nie oznacza i nie może oznaczać prostej kontynuacji dotychczasowych wysiłków. Wręcz przeciwnie, biorąc pod uwagę inny punkt wyj-

ścia, a także nowe potrzeby, musimy stawiać przez sobą w przyszłym 5-leciu jakościowo wyższe zadania”.

Stąły wzrost potrzeb jest prawidłowością rozwoju społeczeństwa socjalistycznego dlatego, że odpowiadają celowi naszej produkcji, że napędzają potrzebę rozwoju produkcji i rolnictwa, a także potrzebę poprawy warunków życia ludności. Stały wzrost potrzeb jest prawidłowością rozwoju społeczeństwa socjalistycznego dlatego, że odpowiadają celowi naszej produkcji, że napędzają potrzebę rozwoju produkcji i rolnictwa, a także potrzebę poprawy warunków życia ludności. Stały wzrost potrzeb jest prawidłowością rozwoju społeczeństwa socjalistycznego dlatego, że odpowiadają celowi naszej produkcji, że napędzają potrzebę rozwoju produkcji i rolnictwa, a także potrzebę poprawy warunków życia ludności.

JAN GŁÓWCZYK

Tabela I				
PRZYRÓST DOCHODU NARODOWEGO WYTWORZONEGO W OKRESACH PIĘCIOLETNICH ORAZ W LATACH 1971—1974 (ceny stałe *)				
Okresy	Przyrost w mln zł	Wzrost średnio-roczny w %	Przyrost średnio-roczny w mln zł	Przyrost w mln zł na 1% wzrostu średnio-rocznego
1951—1955	108,9	8,6	21,0	2,5
1956—1960	119,2	6,6	23,8	3,6
1961—1965	153,2	6,1	39,6	5,0
1966—1970	199,0	6,0	39,8	6,6
1971—1974	373,8	10,2	93,4	9,1

* Obliczono na podstawie tab. 3 (89) „Rocznik Statystyczny” 1975, str. 69; ceny stałe, wskaźnik struktury — ceny stałe 1971.

Tabela II				
PRZYRÓST SPOŻYCIA OGÓŁEM W OKRESACH PIĘCIOLETNICH ORAZ W LATACH 1971—1974 (ceny stałe *)				
Okresy	Przyrost spożycia w mln zł	Wzrost średnio-roczny w %	Przyrost średnio-roczny w mln zł	Przyrost w mln zł na 1% wzrostu średnio-rocznego
1951—1955	78,8	8,3	15,9	1,9
1956—1960	85,7	6,5	17,7	2,7
1961—1965	92,3	6,5	18,5	3,7
1966—1970	129,2	5,0	25,8	4,7
1971—1974	227,3	9,0	56,8	6,3

* Obliczono na podstawie tab. 16 (112) „Rocznik Statystyczny” 1975, str. 73; ceny stałe.

FORTUNA TOCZY SIĘ SZYBCIEJ

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

dzy rodzinami najgorzej i najlepiej sytuowanymi, mało- i wielodzietnymi. Najwyższa rozpiętość skrajnych grup dochodowych charakteryzuje społeczność chłopską — gospodarstwa o najwyższych przychodach dysponują w niej przeciętnie 49 031 tys. zł rocznie na osobę, podczas gdy najbiedniejsze — 9 583 zł. Blisko pięciokrotnie (4,7) są te różnice w grupie robotniczo-chłopskiej (odpowiednio 45 704 zł i 9 752 zł), nieco ponad 4-krotnie w pracowniczey (44 957 i 10 862 zł) i blisko 4-krotnie (44 115 zł i 11 007 zł).

Jak już jednak powiedzieliśmy, o sytuacji materialnej rodzin decydują przede wszystkim poziom ogólnych przychodów oraz liczba osób na utrzymaniu. Z tego względu największą troską polityki społecznej są rodziny wielodzietne, w których matka ke z zromatyalch względów nie pracując na ogół zarobkowo, a skromniejsze wskutek tego dochody trzeba dzielić między liczną rodzinę. W grupie pracowniczey gospodarstwa jednoosobowe dysponują średnio miesięcznie 3 520 zł, podczas gdy 6 i więcej osobowe — 1 225 zł na osobę. Jednosobowe gospodarstwa robotniczo-chłopskie są tak naliczone, iż w badaniach budżetów rodzinnych nie bierze się ich w ogóle pod uwagę. 2-osobowe osiągają średnie wpływy 2 647 zł na głowę, 6 i więcej osobowe — 1 190 zł.

Gospodarstwa chłopskie cechuje pod tym względem mniejsza rozpiętość, zapewne dlatego, iż przychody zależą w nich w dużym stopniu od ilości rąk do pracy. Tym niemniej, rodziny 6 i więcej osobowe osiągają tu najskromniejsze przychody — 1 180 zł miesięcznie na osobę. Więcej niż 3-osobowe gospodarstwa emerytów i rencistów występują tak sporadycznie, iż również nie są przedmiotem badań budżetów rodzinnych. Między jednoosobowymi a 3-osobowymi gospodarstwami rozpiętość wynosi nieco ponad 1,2. Pierwsze dy-

sponują miesięcznie 1 660 zł, drugie — 1 380 zł.

Wśród ogółu badanych gospodarstw stanowiących, jak wiadomo, reprezentatywną próbę całej ludności kraju (z wyjątkiem osób utrzymujących się z pracy na rachunek własny poza rolnictwem oraz mieszkających w gospodarstwach zbiorowych, jak hotele robotnicze, internaty i domy studenckie) odsetek gospodarstw 6 i więcej osobowych wynosi 9,7 proc. Najwyższy jest wśród chłopów-robotników — 26,9 proc. chłopów — 14,4 proc., najniższy w grupie emerytów — 6,1 proc.

Porównania wyników badań budżetów tych gospodarstw w latach 1973 i 1974 odzwierciedlają tendencję do przychodzenia im z pomocą przez państwo: sumy świadczeń społecznych przypadających w nich na jedną osobę nieco wzrosły. Wzrost dochodów najniższych, przesunięcie się znacznej liczby gospodarstw do wyższych grup zmniejsza sprawiły, że między rokiem 1973 a 1974 zmniejszyła się nieco rozpiętość między średnimi skrajnymi grupami dochodowymi. Proces ten objął zwłaszcza gospodarstwa utrzymujące się głównie z pracy w gospodarce uspołecznionej — w tej grupie rozpiętość zmalała z około 5-krotnej do około 4-krotnej. W pozostałych grupach społeczno-zawodowych zmiany są minimalne.

W sumie można powiedzieć, iż porównanie wyników badań budżetów domowych w latach 1973 i 1974 przynosi, po stronie dochodów, obraz zmian pożądanych i zgodnych z socjalistycznymi stosunkami społecznymi. Niepokojąca z punktu widzenia kraju tendencja do pewnego obniżenia się dochodów gospodarstw chłopskich w stosunku do pozostałych grup społeczno-zawodowych, została ostatnio zahamowana przez podwyżkę cen skupu żywności i zwierzęcego i mleka, która po pewnym czasie przyniesie niewątpliwie przywrócenie równowagi w dochodach.

ZOFIA DŁUGOŚZ

ZAKŁĘTE REWIRY

JACEK BOŁDOK

FESTIWALE piosenki — a zbliżamy się właśnie do końca sezonu — mają swoją ideologię: jeden np. udaje, że jest przeglądem aktualnych krajowych dokonań, inny bez powodzenia usiłuje sukcesy te lansować za granicą. Ale festiwale przecież, na które zwykło się narzekać, że jest ich za dużo i że są nudne, to skromny ledwie i odświętny przejaw szerszego zjawiska, zwanego życiem estradowym. Mało kto zdaje sobie sprawę, że wartki nurt koncertów okolicznościowych i jubileuszowych, ku czci i dla młodzieży, składanek z wierszykiem i piosenką, potaneczek z quizem światopoglądowym i bezalkoholowym bufetem płynie w tempie około 44 tys. imprez rocznie, nie licząc rozrywkowej działalności artystycznej statystyką nie objętej, aczkolwiek obfitej.

Kiedys, ale wcale nie tak dawno, bo jeszcze parę lat temu, był to żywioł absolutny. Nie istniała taka lipa i szmira, której obrotowy cwaniak, zwany impresariem, nie potrafiłby gładko sprzedać kilku przynajmniej zakładom pracy i domom kultury w „powiecie”. Ta działalność „artystyczna”, w którą co i raz musiał ingerować prokurator, przestała stanowić problem, gdy ukazało się zarządzenie, że wszystkie tego rodzaju produkcje muszą posiadać akceptację wydziałów kultury odpowiednich rad narodowych.

Życie rozrywkowo-imprezowe popłynęło teraz nurtem wytyczonym i kontrolowanym przez 17 państwowych przedsiębiorstw estradowych, po jednym na każde było województwo. A zarządzenie Ministra Kultury i Sztuki z roku 1972 ustaliło nowe zadania i zakres działalności tych przedsiębiorstw. Tekst zarządzenia, którego nie cytuję ze względu na objętość, zawiera program tak doskonały i wszechstronny, a jednocześnie tak nieznacznie tylko korepondujący z życiem, że obydwoje bez większych zakłóceń w funkcjonowaniu estradowych przedsiębiorstw. Jakże są natomiast żywcem realia, informuje okólnik tegoż Ministra, skierowany do przewodniczących prezydów wojewódzkich rad narodowych: „Zarówno w ocenie Ministerstwa Kultury i Sztuki, jak środowisk działaczy kulturalnych i twórców, a także w świetle wyników ostatniego przeprowadzonego kontroli przez organa Najwyższej Izby Kontroli — działalność przedsiębiorstw estradowych uznana została jako najbardziej zaniedbana dziedzina naszego życia kulturalnego. Złożyły się na ten stan różnorakie i oddziaływające przez wiele lat przyczyny, jak m. in. niewłaściwe ustawienie przedsiębiorstw estradowych, niedobór wysoko wykwalifikowanych artystów estradowych, brak systemu kształcenia młodych kadr, brak należytej inspiracji i dopływu głębszych treści ideowych, wychowawczych i poznawczych w repertuarze, niedostatek w zakresie bazy materialno-technicznej, brak należytej kontroli nad poziomem imprez estradowych w terenie, preferowanie wyników ekonomicznych przed społecznymi i artystycznymi”.

Tekst pochodzi sprzed trzech lat. Można by się pokusić o wykazanie, że i diagnoza jest niepełna, i niewiele się zmieniło...

„USTAWIENIE PRZEDSIĘBIORSTWA”

Dyrektora każdej estrady, który zarazem może piastować funkcję kierownika artystycznego, w pierwszym rzędzie gnębi dylemat: zarabiać czy wznosić gmach artystycznej świetności? Jego sytuacja jest nie do pozazdroszczenia. Jeśli za dużo zarobi, może się spotkać z zarzutem, że skomercjalizował firmę kosztem wartości wyższych; jeśli wykazuje deficyt, grozi mu przegrana za brak wyników ekonomicznych. A trzeba dodać, że każda Estrada podporządkowana jest swoim władzom terenowym, każde zaś władze mają własny pogląd na rentowność rozrywki.

Wydaje się to paradoksalne, ale Ministerstwo Kultury i Sztuki, w którym istnieje nawet Departament Teatru, Estrady i Rozrywki, w gruncie rzeczy nie ma żadnego wpływu na organizację i funkcjonowanie poszczególnych przedsiębiorstw, jego rola sprowadza się do wygłaszania poboznych życzeń, co bardziej elegancko określa się jako „nadzór ogólny”. U drzwi natomiast poszczególne województwa spotykają się przedstawiciele wydziałów finansowych i kultury. Panowie od finansów traktują Estradę jak każde inne przedsiębiorstwo państwowe i domagają się planowego zysku. Panowie od kultury — usiłują hamować te zapędy ekspansji społeczno-artystyczne funkcje Estrady...

W takim układzie najbezpieczniej jest tak pokierować przedsiębiorstwem, żeby cokolwiek zrobić, ale bez

przesady. Estrada warszawska, na przykład, przy stu milionach rocznego obrotu stara się, by zysk nie wyniósł więcej niż pięć milionów. Osiąga się to w ten sposób, że pewien typ działalności obciążony zostaje dużym procentem narzutu kosztów ogólnych i zysku, do innego planowo dopłaca się. Zarabia się więc na gastronomii, zleconych imprezach reklamowych oraz masowych imprezach (ponad 1200 osób na widowni) z udziałem wykonawców krajowych i zagranicznych. Planowo dopłaca się do imprez dla dzieci i młodzieży, finansuje Teatr na Targówku (dwa miliony zł w pół roku), warszawska jesień poezji itp.

Estrada warszawska należy do najlepszych i najsilniejszych przedsiębiorstw w kraju, dzięki temu w ograniczonym zakresie stać ją na prowadzenie własnej polityki repertuarowej; pokupna tandeta oplaca poczynania ambitniejsze. Znakomita większość przedsiębiorstw znajduje się w gorszej sytuacji: ze względu na brak możliwości autorskich, aktorskich i technicznych zdolne są produkować tylko tandetę, symulując od czasu do czasu działalność o głębszych wartościach. Solo z Chopina, kawalek Broniewskiego, „Mazur kajdaniarski” plus „Żołnierz ci nigdy nie skłamię” — i tuzin akademii obłeci.

Ze cyniczne? I owszem, ale nikt takiemu programowi nie zarzuca braku wysokich wartości artystyczno-ideowych. Tutaj zresztą sprawa jest oczywista, przy kamuflovaniu chałtury nie zadano sobie szczególnego wysiłku. Prawdziwe nieszczęście polega na tym, że nawet tam, gdzie mamy do czynienia z produkcją zdradzającą większe aspiracje, pozory świetności maskują często pustkę i nijakość.

W naszym głodnym rozrywki, a za to pozbawionym rozrywkowego przemysłu kraju, nobilitacji doczekał się fikcyjny podział na to, co „ekonomiczne”, i na to, co „artystyczne”. Prawo obywatelstwa zyskało sobie rozumowanie, które stawia znak równości między pokupnością i szmيرًا z jednej strony, oraz wysokim poziomem ideowo-artystycznym i brakiem zainteresowania publiczności z drugiej.

Sądząc po faktach dobry teatr film, książka, muzyka sprzedają się same. Ale wielu urzędnikom i działaczom kulturalnym wygodniej jest lansować przekonanie, że do rzeczy wartościowych konieczne trzeba dopłacać. Pod osłoną górnolotnie brzmiących hasła można wówczas oferować każdą lipę i szmierz, slogan osłania niedołęność. Skutki takiego myślenia obserwuje się nie tylko w rozrywce, ale szczególnie skwapliwie wykorzystują tę sytuację organizatorzy naszego życia estradowego.

Nie sądzę, żeby udało się rozwiązać którykolwiek z problemów Estrady dopóki rewizji nie doczeka się generalne „ustawienie” przedsiębiorstwa. Obecnie nie ma jednoznacznie brzmiącej odpowiedzi na pytanie czy ma ono przynosić zysk, czy realizować cele społeczne i artystyczne. A oscylowanie między jednym i drugim przynosi skutki jak najgorsze: i pieniądze są z tego żadne, i pozafinansowe efekty problematyczne.

Powiedzmy jednak, że znalazł się wyjątkowy dyrektor wyjątkowej Estrady i przystępuje on do dzieła naprawy.

Najpierw potknie się o brak własnej etatowej kadry aktorskiej. Sprawy finansowych pominać tutaj nie sposób. W sytuacji, gdy najpopularniejsza w Polsce gwiazda piosenki, Irena Santor, wciągając się z Estradą mogłaby zarobić 6 tys. zł przy pięciu koncertach miesięcznie, trudno o własne zespoły. Nic więc dziwnego, że Estrady zgromadziły na etatach artystycznych aż... 164 osoby.

Kłopoty nie kończą się jednak na solistach — aktorach i piosenkarzach. Na dobrą sprawę nie ma takiej imprezy, która by się mogła odbyć bez zespołu muzycznego. Zespół muzyczny musi posiadać instrumenty i aparaturę nagłaśniającą. Najskromniejsza, według ceny państwowej, kosztuje 320 tys. zł. Wobec tego tylko 7 z 17 Estrad posiada własne etatowe zespoły muzyczne, co jest kroplą w morzu potrzeb.

Zawiera zatem ów dyrektor umowy z wykonawcami z zewnątrz. Pamiętać jednak trzeba, że imprez w Polsce jest rocznie ok. 44 tys. a aktorów estradowych około 2 tys. Są więc trudności. Jeśli będzie to na przykład Estrada warszawska, operująca w stolicy, posiadająca największe zaplecze aktorskie i autorskie, to jeszcze pół biedy. Ale w Zielonej Górze?

Zaangażuje się zatem artystów, jacy są, zbyt mało nie wybredzając.



Fot. M. HOLZMAN

Potem ambitny dyrektor, jeśli będzie już miał taki zespół i sensowną wizję programu, ma szansę potknąć się o tak prozaiczną przeszkodę, jak sala prób. Wspomniana np. wyżej Estrada warszawska, jeśli już konieczne musi coś przećwiczyć przed występem, wspomaga się pokojem księgowości...

Jeśli impreza zakrojona jest na wielką skalę i w programie blyszczą świetne nazwiska, mało drogo kosztować. Są dwie możliwości wówczas: albo program trzeba zaprezentować w wielkiej sali widowiskowej, albo stosunkowo wysoko skalkulować bilety wstępu. Tymczasem wielkich sal widowiskowych praktycznie biorąc w Polsce nie ma, a sto tysięcy może kosztować pół litra, ale nie bilet wstępu, bo pokucie przekonanie rodem z pionierskiego okresu walki z analfabetyzmem, że kultura, jak leci, winna być serwowana za pół darmo... Wobec takiego spłotu okoliczności — mało który dyrektor Estrady decyduje się być ambitnym...

Ale ciągłe jest to dopiero ułamek prawdy o naszym życiu estradowym, bo dochodzą przecież jeszcze interesy twórców i wykonawców. I tutaj wkraczamy w świat praw zupełnie irracjonalnych.

„NIEDOSTATKI INSPIRACJI...”

Wszędzie tam, gdzie w grę wchodzi wartości artystyczne, z natury rzeczy mało wymierne poza perspektywą czasową, sprawy zaczynają się mocno komplikować. Zależy niby wszystkim na wysokim poziomie estradowej produkcji, ale od którego momentu zaczyna się ów wysoki, a przynajmniej przyzwoity poziom? Dla jednego minimum gwarantują „Dziamble”, znajdują się jednak i tacy, którzy będą kręcić nosem poniżej Konstantego Kulki...

W świątku estradowej rozrywki, gdzie na dobrą sprawę każdy rywalizuje z każdym, jeśli nie o sławę, to o pieniądze, w rozmaity sposób próbowano już wprowadzać ład i obiektywizować kryteria ocen.

Weźmy dla przykładu piosenkę, ponieważ od pewnego czasu jest to narodowa mania. W trosce o gwarancję należytego poziomu nowości i obiektywizm powołano kiedyś w radio komisję, przed którą jeden pan grał na pianinie utwórki anonimowych kompozytorów, a komisja mówiła, co jest ładne, co zaś w ucho nie wpada. Zdawałoby się — rozwiązanie bliskie idealu. A jednak musiało zrezygnować z tej formy selekcji, bo pan, który grał na pianinie, jeśli mu z jakichś względów na tym zależało, potrafił tak wybrzdakać najdoskonalsze dzieło, żeby nikomu broń Boże, w ucho nie wpadło...

Obecnie sytuacja przedstawia się w ten sposób, że nie istnieją mechanizmy, które pozwalałyby na publiczną weryfikację jeśli już nawet nie poziomu, to przynajmniej autentycznej popularności twórców i wykonawców. Co gorsza, system bodźców

finansowych słabo tylko koresponduje z rangą działalności artystycznej, w codziennej praktyce sprzyjając chałturze i nijakości; np. weźmy kompozytorów i autorów piosenek tekstów.

System płatności jest tak pomyślny, iż wielu składnąd talentowanych twórców zaczyna zakładać, że NAZWISKO jest po to, aby kłaniać się przed kamerami TV i w Sali Kongresowej, pracować zaś na nich muszą zastrzeżone w Stowarzyszeniu Autorów ZAIKS pseudonimy. Pod „tymi pseudonimami” pisze się byle jakie melodia i byle jakie słowa, łatwe, tanie, przyjemne, takie, żeby knajpiane orkiestry przygrywały je do tańca co wieczór, jak Polska długa i szeroka. Bo za każde wykonanie, stwierdzone na specjalnym sprawozdaniu dla ZAIKS-u, autor pobiera procent. Zdarza się, że mniej talentowani „twórcy” w sezonie odbywają turę po gastronomii nadmorskiej czy też podgórskiej, po czym ilość wykonanych utworów gwałtownie wzrasta, a kierownikowi orkiestry też się przez to gorzej nie powodzi... Jest w tym coś groteskowego, że czynnikami decydującymi o rynkowych popycie, a zatem inspirującym, stają się dancinowe big-bandy, podczas gdy istnieją takie instytucje jak radio, telewizja, wytwórnie płytowe...

Ale telewizja np. rozwiązała przed rokiem Redakcję Rozrywki. Telewizja nasza nie jest chyba także zainteresowana jakąkolwiek formą współpracy z Estradami. Ostatnim aktem ulegającej zlikwidowaniu redakcji było wysłanie wspólnego z Departamentem Teatru, Estrady i Rozrywki Min. Kult. i Sztuki pisma, adresowanego do estrad wojewódzkich, a zachęcającego do wspólnej realizacji 10—12 programów w roku. Rzecz w tym, że telewizja nie chce pokrywać żadnych kosztów transmisji, poza technicznymi, natomiast na luksus imprez robionych jedynie dla TV i ewentualnie dla własnej reklamy, bez widowni placącej za bilety, stał tylko Estrady najbogatsze, a i to nie częściej niż raz do roku...

Z kolei — wykonawcy. Przeciętnie pilna gwiazdka estradowa potrafi dać 30 do 40 występów miesięcznie, w niedogrzanych, nieakustycznych, pozbawionych zaplecza salach. Bywają wypadki, że i 60, bo „dobry” impresario potrafi utkać trzy imprezy dziennie... O takich lukusach jak dalsze szkolenie czy doskonałe repertuaru trudno wówczas w ogóle mówić...

Skąd to się bierze, bo nikt przecież nie wierzy, że z umiłowania pracy?

Najwyższa stawka, jaką cenniki przewidują dla polskiego artysty estradowego, to 4 tys. zł. Za recital masowy, czyli dziewięćdziesięciominutowe zabawianie ponad tysiąc dwustusobowej widowni. Recitale mają prawo dawać soliści rzeczywi-

ście wybitni, poza tym wiadomo, że tego rodzaju zdzierania gardła nikt nie wytrzyma na co dzień.

Solista występujący w imprezie obok innych dostaje od 250 do 1500 zł, zależnie od kategorii, do której został zaliczony przez państwową komisję weryfikacyjną, a kategorii jest raptem trzy. Żeby to nawet było tak eksponowana impreza jak festiwal w Sopocie, a solista tak wzięty jak Jerzy Polomski, teoretycznie nie dostanie grosza więcej.

Jednocześnie trzeba pamiętać, że kariera piosenkarza trwa zazwyczaj niebystro długo, bo zmieniają się mody i nie każdy może zostać Foggiem, że żywot hotelowo-restauracyjny jest drogi, że instrumenty i aparatura przeciętnego młodzieżowego zespołu tysiącno-muzycznego kosztują setki tysięcy złotych. Opowieści więc o sumach, jakie zarabiają nasi artyści estradowi, z czystym sumieniem można między miły włożyć.

Koncert Vondraczkowej kosztuje Estradę 40—70 tys., za zespół „Le Humphres” bez wahania płaci ona 330 tys. Sasza Diestel bierze za jeden występ 3 tys. dolarów, gwiazdy amerykańskie potrafią żądać i 15 tys....

Nie w tym rzecz, żeby nasi wykonawcy i autorzy zarabiali jak gwiazdy rozrywki na Zachodzie, gdyż i na jest w naszym kraju skala zarobku. Trzeba jednak pomyśleć o tym, żeby zarabiali za co innego, niż dotychczas. Czy uruchomienie takich mechanizmów selekcji, które stwarzałyby szansę weryfikacji realniejszej niż czyste widzienie, oraz takiego systemu bodźców finansowych, które preferowałyby jakość nie ilość przekracza ludzkie możliwości?

Cały nasz system finansowania aktorów w minimalnym stopniu uwzględnia rozpiętość skali zjawisk artystycznych. Jednocześnie ustawodawca, świadom że coś tu jest nie w porządku, między wierszami przepiśców wskazał furtki, które pozwalają przepisowi obchodzić. Rzecz w tym, że z luk tych korzystają nie lepsi, lecz obrotniejsi.

Premiujemy zatem bez ograniczeń tych, którzy są rzeczywiście dobrzy i ambitni, ukroćmy obcinanie kuponów od pokupnej tandety. W pewnych przypadkach być może wystarczy zwykła zmiana cenników, w innych trzeba by poszukać dalej idących rozwiązań... Sprawa nie jest prosta, bo poruszamy się w rewirach, gdzie wszelkie granice przebiegają nieostro i bardzo wiele zależy od ocen subiektywnych. Ale wielu ludzi profesjonalnie i z urzędu zajmujących się naszą muzyką rozrywkową, która stanowi jeden z głównych problemów i najbardziej ważących elementów działalności estradowej, od dawna sugeruje, że jakimś rozwiązaniem byłoby takie ustawienie, w którym o popularności i dochodach autora, kompozytora i wykonawców

decydowałyby nie pokątne anonimowe chałtury, lecz rynek, czyli — płyta i kaseta.

Doświadczenie krajów o wysoko rozwiniętym przemyśle fonograficznym wskazuje, że trudno o lepszy czynnik stabilizacji ogólnego poziomu muzyki rozrywkowej. Gusty ekstrémalne, zbyt wyrafinowane czy zbyt niewyrobione, nie mają istotnego wpływu na giełdę płytową, decydują „zwyčajni” melomani. Ponadto konfrontacja z osiągnięciami muzyki światowej zmusza do nieustannych poszukiwań i doskonalenia jakości muzyczno-wokalnych produkcji. Jak do tej pory nie lepszego nie wymyślono.

U nas dopiero parę tygodni temu ukazała się uchwała Rady Ministrów, która teoretycznie zarobki wykonawców uzależnia od ilości sprzedanych płyt. W dziedzinie muzyki rozrywkowej za każde 150 tys. nakładu płyty wykonawca otrzymuje 100 procent honorarium. Kłopot z tym, że system ów może spełnić swoje zadania tylko tam, gdzie istnieje autentyczny rynek płytowy. Nasze 0,65 płyty na głowę, przy radzieckim wskaźniku 2,0 i średniej światowej 3,0 — oznacza, że chwilowo sprzedać można wszystko. Nie osiągnięliśmy więc na rynku płytowym poziomu nasycenia, przy którym popyt mógłby świadczyć o rzeczywistych upodobaniach i stanowić czynnik obiektywizujący kryteria.

Warto się chyba pokusić o stworzenie wreszcie w naszym kraju przemysłu rozrywkowego z wszystkim, co się normalnie pod tym określa — rozumie. Ale bez spójnego działania Ministerstwa Kultury i Sztuki, Radiokomitetu, Pagartu (dystrybucyjnego dewizami), wytwórni płytowych oraz przedsiębiorstw estradowych — nigdy nie uda się tego zrealizować. Tak jak bez nadrzędnych mechanizmów regulujących, które działają na takim rynku, nie uda się zahamować ekspansji tandety, opanować rozmaitego typu nacisków płynących ze środowisk twórczych tyłu ambitnych, co mało utalentowanych.

Tymczasem dyrektor jednej z Estrad poraził mnie wiadomością, że mimo tak oszalałej bazy autorskiej, wykonawczej, technicznej i organizacyjnej jak przedstawiona wyżej w zarysie, wiele nowych województw ubiega się o własne filie przedsiębiorstw estradowych. — Panowie — chciałoby się zapytać — dlaczego tak skromnie. Dlaczego tylko filie? Suwalskie bądź Leszczyńskie Przedsiębiorstwo Estradowe — czy to źle brzmi?

Integracja pionowa w rolnictwie

Ob. WOJCIECH KAMIŃSKI z KRAŚNIKA nadesłał nam obszerny list, z którego przytaczamy fragmenty:

— Władom powszechnie, że proste formy kooperacji, takie jak pomoc sąsiedzka i pomoc rodzinna — znane od bardzo dawna — poszerzone w ostatnich latach o zespoły produkcyjne i branżowe spółdzielnie produkcyjne przyczyniają się do wzrostu produkcji rolniczej. W prostych formach kooperacji tkwią elementy uproszczenia i specjalizacji. Rozwój tych form gospodarowania wiąże się ze zwiększeniem nakładów pracy przedmiotowej, możliwością mechanizacji; z likwidacją zbędnej siły roboczej; ze zwiększeniem skali produkcji; z obniżeniem kosztów stałych; z pełniejszym wykorzystaniem czasu; z nowoczesną organizacją produkcji.

Spółdzielnie branżowe, zespoły upraw zbliżowanych (chmielu, tytoniu, wikliny), zespoły produkcji sadowniczej, zespoły produkcji drobiarskiej itp., aby mogły spełnić pokładane w nich nadzieje, muszą posiadać określone miejsce w procesie produkcji rolniczej. Producent rolni w obecnym okresie rozwoju nie mogą kierować wszystkimi trezami stadiami produkcji rolniczej, jedynie stadium wytwarzania może być przez nich nadzorowane i prowadzone. Natomiast stadium przedprodukcji i stadium produkcyjnego powinny być od fazy wytwarzania wyodrębnione. Gwarantuje to całościowe rozwiązanie, ponieważ producent oddający zostanie od organizacji zaopatrzenia i zbytu, a swoją całą uwagę będzie mógł skupić na procesie wytwarzania.

Najbardziej predysponowanymi do sprawowania funkcji integrujących byłyby przedsiębiorstwa przetwarzające produkty dostarczane przez wytwórców. Integrator podejmując się tych obowiązków po spełnieniu potrzeb wytwórców, powinien przede wszystkim spełniać wymagania konsumentów. Towary, które wytwarza, powinny mieć estetyczny wygląd, powinny gwarantować szybkie przygotowanie smacznej i dietetycznej potrawy. Wybór wśród wytwarzanych towarów powinien być również dość szeroki. W poszczególnych dziedzinach rolnictwa integratorem mogą być różne typy jednostek gospodarczych np.: w produkcji zbożowej — PZZ; w produkcji buraka cukrowego — cukrownie; drobiu — ZJD; w produkcji ziemniaków — krochmalnie, gorzelnie i plantarnie; w produkcji bydła i trzody chlewniej — zakłady mięsne; mleka — OSM; warzyw i owoców — zakłady przetwórstwa warzyw i owoców; roślin pastewnych i ekopowych — fabryki pasz itd.

System integracji pionowej obecnie wymaga nie tylko zawarcia umowy kontraktacyjnej przez przedsiębiorstwo, ale również zobowiązanie do dostarczenia potrzebnych wytwórców środków produkcji, którymi on nie dysponuje, zobowiązanie do zapewnienia doradztwa fachowego, oraz wymaga zapewnienia odbioru produktów od wytwórcy. Integrator ponosić powinien również ryzyko, ubezpieczając obowiązkowo wszystkich kooperujących z nim wytwórców.

System integracji pionowej, w którym pod jedno kierownictwo oddano trzy fazy produkcji, tworzy nowy sposób organizacji. Jest nim rolnicza produkcja przemysłowa cechująca się dużym stopniem specjalizacji i automatyzacji, działająca na małej powierzchni i przynosząca dużą produkcję towarową. System integracji pionowej zmienia geograficzne rozmieszczenia środków produkcji pozwala na wyeliminowanie szeregu środków produkcji z fazy wytwarzania.

Zarówno proste formy kooperacji jak i integracja pionowa będąc wyższą formą organizacji w naszym rolnictwie prowadzą do koncentracji produkcji. Wpływa ona pozytywnie na rozmiar produkcji, przynosić jednocześnie obniżenie jednostkowych kosztów wytwarzania. Obok tych korzyści, koncentracja produkcji pozwala na lepsze wykorzystanie specjalistów, łatwiejsze zastosowanie najnowocześniejszych osiągnięć naukowo-technicznych.

W jedwabiach będziesz chodził...

Nawiązując do artykułu Antoniego Nowaka pt. „Nie ma to jak jedwab” (ŻG nr 28/75) pragnę dorzucić swoje spostrzeżenia w sprawie hodowli jedwabników.

Na zmniejszenie się zainteresowania hodowlą jedwabników po 1971 roku niewątpliwie wpłynęło zwiększone zapotrzebowanie na pracowników w przemyśle i odpływ ludności ze wsi do miast. Wiedź się wydłania i starzeje, co powoduje zwiększenie się zapotrzebowania na pracowników w rolnictwie. Zarobki w rolnictwie obecnie są wysokie i te czynniki wpływają na nieopłacalność hodowli jedwabników.

Hodowla jedwabników może być opłacalna, gdy jej rozmiar osiągnie wielkość ponad 20 gr greny — wtedy pokrywa koszty i daje pewną nadwyżkę. Wówczas mogą być zatrudnione całe rodziny od kilkumiesięcznych dzieci do ludzi w wieku emerytalnym. Wielkość dzisiejszych plantacji morwowych wystarcza na ogół do wyżywienia gąsienic jedwabnika wylętych z 5—15 gr greny, a

rzadko zdarzają się większe skupiska. Plantacje morwy przeważnie pozostały z okresu przedwojennego, a od 1945 r. niewiele zrobiono, aby zwiększyć ich ilość lub zastąpić stare. Aby podnieść hodowlę jedwabników konieczne jest rozbudowanie bazy pokarmowej. Moim zdaniem jest tyle tysięcy kilometrów skarp drogowych i kolejowych, które nie są wykorzystane, a mogłyby być obsadzone morwą. Byłby korzyści podwójne: wykorzystanie morwy jako karmy dla jedwabników i utworzenia pasów ochronnych przeciwnieświatowych. Morwa może być stosowana na szpalery w ogródkach działkowych, sadach, opłotowanie itd.

Proponowane przez autora rozwiązanie tworzenia zwartych plantacji morwy na ziemiach lepszych uważam za marnotrawstwo ziemi przydatnej dla rolnictwa. Zwłaszcza że morwa nie będzie rosła na nieużytkach i pod plantacje trzeba będzie wziąć ziemię uprawną.

Następna sprawa są pomieszczenia. Dla większej hodowli potrzeba odpowiedniej powierzchni, zabezpieczonej przed zimnem. Skromne mieszkanie emerytów, dróżników i pracowników drogowych nie wystarcza i trzeba pomyśleć o tym, w jaki sposób rozwiązać sprawę okresowych pomieszczeń, które powinny być tanie i łatwe w montażu. Uważam, że do tego nadawałyby się składane domki z folii, ogrzewane w czasie chłodołów. Wzory, koszty i sposób ogrzewania winny być rozwiązane w sposób centralny. Również centralnie należałoby załatwić sprawę zaopatrzenia hodowców w regały, składające się z elementów, które hodowca otrzymywałby wraz z siatką i składał sam. Cena elementów na domki i regały winna być przystępna, aby nie odstraszała hodowców od zakupu.

Trzecia sprawa powinna być nasilenie propagandy hodowli jedwabników i pozyskiwanie nowych hodowców. W pierwszych latach po wojnie propagandą tej hodowli i jej organizacją zajmowali się instruktorzy Izby Rolniczej, a następnie Samopomocy Chłopskiej. Dawało to doskonałe wyniki w zwiększaniu hodowli jedwabników i pobudzało zainteresowanie ludności miejscowej.

mgr ADAM OLASIK
Poznań

Choćbyś jak iza czystą była...

Odpowiadając na list opublikowany w nr 30/75 Waszego czasopisma pt. „W ogniku do pralni” Zarząd Spółdzielni „Zjednoczenie” wyjaśnia:

— wszystkie punkty usługowe naszej Spółdzielni przyjmują szlafroki frotte do prania na kilogramy, licząc opłatę za usługę z 15 za 1 kg, tj. zgodnie z obowiązującym cennikiem (zał. nr 1 do Zarządzenia nr KC XVII-VIII-461-9/74 SKC z dnia 18.09.1974 r.

— ponieważ w omawianej notatce nie podano adresu punktu, w którym fakt zlego obsłużenia klienta miał miejsce — trudno nam ustosunkować się do przedstawionych zarzutów, wyciągnąć odpowiednie konsekwencje w stosunku do ekspedientki nie stosującej się do obowiązujących wytycznych Zarządu Spółdzielni regulujących sprawę przyjmowania zleceń od klientów;

— wszelkiego rodzaju zasłony przyjmowane są wyłącznie do czyszczenia chemicznego. Stosuje się wtedy obowiązujący Spółdzielnie cennik za usługi chemicznego czyszczenia (zał. nr 2 do zarządzenia nr KC XVII-VII-461-9/74 z dnia 18.09.1974 r.) który określa wymienione zasłony jako „inne wyroby włókiennicze” — cena za czyszczenie 1 m kw wynosi 8 zł;

— do obowiązków ekspedientki punktu usługowego należy dokonanie wymiarów zasłony i wpisanie ich do kwitu pralniczego. Jak dotychczas nie spotkaliśmy się z zarzutem ze strony klientów, iż mierzenie zasłony odbywa się przy ich pomocy;

— w celu usprawnienia pracy ekspedientek punktów usługowych Zarząd Spółdzielni czyni starania w kierunku zmiany dotychczasowego systemu znakowania odzieży. Problem ten nie jest łatwy do rozwiązania nie tylko dla naszej Spółdzielni, lecz i dla pozostałych przedsiębiorstw pralniczych ze względu na trudności w wykonaniu i dostarczeniu przez jednostki gospodarki społecznej odpowiednich do tego celu materiałów.

EDMUNT BERNATOWICZ
prezes Zarządu Sp. Pracy
„Zjednoczenie”

OD RED.:

Oto typowy przykład tzw. wykręcania się sianem. Na całym świecie wszystkie wyroby bawełniane i lina (w tym i szlafroki frotte, a także niektóre zasłony) pierze się wyłącznie na mokro.

Nakaz wykonywania tej usługi na sucho świadczy o niekompetencji kierownictwa pralni, nie zaś jej załogi. A obciążenie należności nie od kilograma, lecz od metra jest po prostu czasochłonne.

Nad usprawnieniem przyjmowania do czyszczenia garderoby radzimy raczej już nie myśleć, lecz udać się do pralni „Małgorzata” przy ul. Wilczej, aby przekonać się, że rozwiązano tam ten „trudny problem” za pomocą znanej już naszym prababkom agafki i flamastra, którym wypisuje się numery na wąskich paskach cienkiego brystolu.

EKONOMIA A NAUKOWE KIEROWANIE GOSPODARKĄ

STEFAN MARCINIĄK

ROLA ekonomii politycznej socjalizmu jako naukowej podstawy kierowania gospodarką narodową zwiększa się wraz ze wzrostem jej poziomu oraz złożoności zadań, jakie trzeba realizować w procesie rozwoju społeczno-ekonomicznego. Aby ekonomia polityczna socjalizmu mogła sprostać rosnącym wymaganiom, musi sama doskonaloną się jako dyscypliną naukową o charakterze podstawowym (teoretycznym). Równocześnie osiągnięcia ekonomii politycznej socjalizmu mają bezpośrednie znaczenie dla praktyki społecznej. Konieczne jest w związku z tym doskonalenie form współpracy z innymi dyscyplinami naukowymi oraz z praktyką życia gospodarczego.

Wszelkiernej analizie związków teorii ekonomii politycznej socjalizmu i praktyki gospodarki radzieckiej oraz nauki o zarządzaniu poświęcona była sesja naukowa zorganizowana przez Akademię Nauk Socjalnych przy KC KPZR w kwietniu ubiegłego roku. Obecnie ukazała się książka¹⁾ zawierająca dorobek tej sesji.

Gromadzi ona dwadzieścia osiem referatów wygłoszonych w czasie sesji. W liczącej jej zawarte są dwa referaty wprowadzające: kierownika Katedry marksistowsko-leninowskiej ekonomii politycznej — J. J. Kuźminowa i kierownika Katedry podstaw naukowego kierowania gospodarką socjalistyczną — R. A. Bielousowa, oraz słowo końcowe Kuźminowa, stanowiące podsumowanie całości obrad.

Warto może jeszcze dodać, że w sesji naukowej brali udział, poza pracownikami Akademii Nauk Socjalnych, ekonomistami z Instytutu Ekonomiki AN ZSRR oraz Uniwersytetu Moskiewskiego im. Lomonosowa. Jest to więc zespół reprezentatywny dla współczesnej ekonomii politycznej socjalizmu w ZSRR.

Ponieważ baza ekonomiczna określa naturę i charakter wszystkich stosunków społecznych, ekonomia polityczna zajmuje centralne miejsce wśród nauk społecznych i stanowi podstawę naukową kierowania całym społeczeństwem — pisze Kuźminow, autor pierwszej rozprawy. Przypomnienie tej oczywistej

prawdy wydaje się celowe, gdyż pewnie pozostałości poglądów o tym, że nie ma potrzeby uwzględniania obiektywnych prawidłowości, pokutują w teorii i praktyce do dziś.

Również w ZSRR występowały okresowo likwidatorskie tendencje w stosunku do ekonomii politycznej w ogóle, w tym również ekonomii politycznej socjalizmu. Pisze o tym Kuźminow. Obecnie jednak przydatność ekonomii dla sterowania gospodarką nie jest otwarcie negowana, podobnie jak nie neguje się obiektywnego charakteru praw ekonomicznych. Niekiedy jednak głoszone są koncepcje, według których prawa ekonomiczne mogą być ustalone, działające, a więc i schodzące ze sceny, zgodnie z wolą państwa. Ma to miejsce wówczas, gdy utożsamia się działanie „praw ekonomicznych” z procesem ich wykorzystania. Zresztą przykład takiego pomieszania pojęć zawarty jest w recenzowanej książce w artykule M. F. Makarowej, która twierdzi, że prawa ekonomiczne socjalizmu zawsze działają zgodnie z zamierzeniami ludzi. Wynika to — zdaniem Makarowej — stąd, że są one przecież planowo ustanawiane przez ludzi. Pisze ona dosłownie: „Według mnie nie należy rozróżniać działania i wykorzystania praw, ponieważ działanie i wykorzystanie ich odbywa się równocześnie przez działalność ludzi”.

Po przedstawieniu w zarysie doboru radzieckiej ekonomii politycznej socjalizmu w zakresie klasyfikacji praw ekonomicznych koncentruje się Kuźminow na omówieniu następujących problemów: treści i charakteru praw ekonomicznych socjalizmu; specyfiki działania ekonomicznych praw socjalizmu na obecnym etapie rozwoju ZSRR; ekonomicznych problemów rozwiniętego socjalizmu oraz zagadnieniach przetrwania socjalizmu do komunizmu oraz związków teorii ekonomii z praktyką gospodarczą.

W drugiej rozprawie pt. „Wykorzystanie praw ekonomicznych w zarządzaniu socjalistyczną produkcją” Bielousow zajmuje się poszukiwaniem nowych i unowocześnieniem istniejących form i metod wykorzystania praw ekonomicznych w interesie socjalistycznego społeczeństwa.

Gospodarka socjalistyczna rozwija się planowo. „Istota planowania — pisze Bielousow — polega na świadomym i celowym wykorzystaniu obiektywnych praw społecznych, przede wszystkim praw rozwoju bazy ekonomicznej”. Autor na początku zajmuje się wyjaśnieniem istoty praw ekonomicznych, ich klasyfikacją oraz mechanizmem ich działania. Interesujące jest ujęcie bezpośrednich i pośrednich przyczyn i skutkiem oraz powstawania sprzężeń zwrotnych i ich wpływu na gospodarkę.

Zdaniem Bielousowa świadome wykorzystanie obiektywnych praw ekonomicznych może być aktywne i pasywne. Przykładem pasywnego wykorzystania praw ekonomicznych jest planowanie działalności uczestników produkcji społecznej w taki sposób, aby ich postępowanie było w największym stopniu zgodne z obiektywnymi procesami. Natomiast aktywne wykorzystanie praw ekonomicznych ma na celu spowodowanie ilościowych lub jakościowych zmian w końcowych oraz pośrednich rezultatach, w łańcuchu bezpośrednich i zwrotnych związków przyczynowo-skutkowych.

Trzeci z zamieszczonych w zbiorze artykułów pt. „Ekonomia polityczna i metody ilościowe” napisany został przez T. S. Chaczaturowa. Autor zajmuje się możliwościami wykorzystania metod matematycznych przez ekonomię polityczną, pracującą dla potrzeb praktyki społecznej. Chaczaturow koncentruje się przy tym na problematyce rachunku efektywności ekonomicznej w zastosowaniu do różnych dziedzin sfery produkcyjnej oraz nieprodukcyjnej.

Kolejny artykuł poświęcony jest systemowi praw ekonomicznych socjalizmu jako mechanizmowi rozwoju gospodarki. Autor W. G. Lebiediew zajmuje się analizą roli poszczególnych praw ekonomicznych socjalizmu jako sił napędowych rozwoju społeczno — ekonomicznego. Przedmiotem rozważań są również przyczyny zahamowań w realizacji wymagań praw ekonomicznych socjalizmu.

Pozostałe wypowiedzi zamieszczone w zbiorze można podzielić na następujące grupy zagadnień:

1) Metodologiczne rozważania na różne tematy z zakresu ekonomii politycznej socjalizmu ze szczególnym preferowaniem praw ekonomicznych; jest to najliczniejsza grupa rozpraw.

2) Stosunek nauki o zarządzaniu do ekonomii politycznej w socjalizmie; miejsce nauki o zarządzaniu w systemie stosunków społecznych.

3) Stosunki towarowo-pieniężne w socjalizmie; ich wykorzystanie w kierowaniu gospodarką; prawa ekonomiczne światowego systemu socjalistycznego oraz inne zagadnienia funkcjonowania gospodarki socjalistycznej.

4) Niektóre zagadnienia polityki gospodarczej (np. współzawodnictwo pracy, racjonalne wykorzystanie zasobów pracy, wykorzystanie systemu cen).

Książkę zamyka słowo końcowe pióra Kuźminowa. Jest to podsumowanie dyskusji oraz sformułowanie zadań dalszego rozwoju ekonomii politycznej socjalizmu. Autor na wstępie podkreśla jedynowartość wszystkich uczestników sesji naukowej, co do ogromnego znaczenia ekonomii politycznej socjalizmu jako podstawy naukowego kierowania gospodarką i kształtowania komunistycznego światopoglądu. Wymaga to dalszego rozwoju ekonomii politycznej jako nauki podstawowej, teoretycznej, która ma również bezpośrednie praktyczne znaczenie. Kuźminow nie zgadza się z poglądem reprezentowanym w dyskusji przez W. P. Szkradowa, że ekonomia polityczna socjalizmu jest nauką tylko teoretyczną. Nie zgadza się również z poglądem, że ekonomistom powinni zajmować się tylko wykrywaniem i poznawaniem praw ekonomicznych. Polemizuje również z poglądem M. F. Makarowej na temat praw ekonomicznych, który streszcza następująco: „prawa ekonomiczne socjalizmu powstają i przetrstają niezależnie od woli i świadomości ludzi, działają natomiast w zależności od woli, świadomości i zamiarów ludzi”.

W sumie książka zawiera duży ładunek problemów metodologicznych, przede wszystkim z zakresu ekonomii politycznej socjalizmu. Książka jest w związku z tym przydatna głównie ekonomistom teoretykom zajmującym się problematyką ekonomii politycznej socjalizmu. Wiele cennych informacji metodologicznych znajdują w tej książce również pracownicy nauki o organizacji i zarządzaniu oraz praktycy życia gospodarczego.

¹⁾ Politicheskaja ekonomia socjalizma — naučná osnova rukovodstva narodnym chazajstvom. Praca zbiorowa pod red. J. J. Kuźminowa i S. W. Rogaczewa. Moskwa 1975, str. 255.

PRÓBA SOCJOLOGII GOSPODARKI SOCJALISTYCZNEJ

TOMASZ HALNY

MINAŁ już prawie rok od ukazania się tej książki, ale ciągle żywo jest dyskutowane, powraca wielokrotnie w rozmowach, funkcjonuje na prawach wydawniczych nowości. Praca WINICJUSZA NAROJKA, warszawskiego socjologa, zatytułowana SPOŁECZNESTWO PLANUJĄCE. PRÓBA SOCJOLOGII GOSPODARKI SOCJALISTYCZNEJ¹⁾, choć adresowana również do ekonomistów, spotkała się z żywym zainteresowaniem przede wszystkim w środowisku zawodowym socjologów.

Nie można się dziwić, że właśnie socjologów zapracowała szczególnie ta lektura. Pojawia się przecież na rynku wydawniczym w okresie intensywnego poszukiwania syntez makrosocjologicznych, a także naturalnego zapotrzebowania na teoretyczną analizę działania organizmów społecznych, których wewnętrzne stosunki oparte zostały na planowaniu w warunkach społecznej własności środków produkcji. Problematyka książki — socjologiczna interpretacja gospodarki socjalistycznej — ściśle zaś pokrywa się z tymi priorytetami współczesnych badań socjologicznych.

Stadium NAROJKA jest przykładem rzadkiego, ale zdobywającego sobie coraz szersze uznanie, kierunku, który nazywać można socjologią ekonomiczną. Podejmowane obecnie coraz częściej próby reintegracji ekonomii politycznej i socjologii, badających przecież ten sam obiekt — społeczeństwo, napotykać silne opory wynikające z długiej tradycji rozwoju obydwu tych dyscyplin w odrębnych kierunkach. Niełatwo nawet wykażać, że rozwójowy tych dyscyplin towarzyszyło dążenie do eliminowania „obcych” elementów uwzględniających bądź to za nieekonomiczne, bądź też pozasocjologiczne. Jak pisze autor: „W okresie tym ekonomia polityczna na Zachodzie w znacznym stopniu zrezygnowała z budowy własnej, ekonomicznej teorii społeczeństwa — podjętej przez klasyków i rozwiniętej przez marksizm (przynajmniej w odniesieniu do społeczeństw klasowych) do najdalej idących konsekwencji socjologicznych — nadając prakseologiczny charakter rozpatrywaniu problemów i maksymalnie formalizując

sposób myślenia. Zdaniem niektórych autorów, tendencja w kierunku usunięcia problematyki społecznej z rozważań ekonomicznych nie omiada również ekonomii politycznej rozwijającej się w krajach socjalistycznych”.

Można więc powiedzieć, że reintegracja nauk społecznych, której zwolennikiem jest autor omawianej książki, stanowi odpowiedź na marksowski postulat całościowego badania procesów społecznych z podkreśleniem szczególnej roli czynnika gospodarczego w życiu społecznym. Zasadą analizy socjo-ekonomicznej społeczeństwa opracował MARKS w swojej ekonomii politycznej kapitalizmu.

Oparta o kategorie analizy zjawisk gospodarczych socjologia ekonomiczna stoi dzisiaj w obliczu innych, bądź gruntownie zmienionych, problemów społecznych. Zasady wypracowane w doktrynie marksowskiej są jednak — stwierdza autor — nadal użyteczne i podne, „zasieg historyczny stosowności zasad tej analizy — pisze NAROJEK — daje się rozciągnąć także na inne (niż kapitalistyczne — przy. aut.) typy społeczeństw przemysłowych, których gospodarka rozwija własne, względnie autonomiczne w stosunku do instytucji danego społeczeństwa, związki i zależności między działaniami uczestników procesów gospodarczych”.

Właściwym przedmiotem pracy jest planowanie gospodarcze w socjalistycznym społeczeństwie, dokładniej — socjologiczny wymiar tego zjawiska. Pozycja planowania gospodarczego, czy też planowania w ogóle, jest tak kluczowa, że jego analiza nabiera siły rzeczy charakteru syntetycznej teoretycznej funkcjonowania społeczeństwa socjalistycznego. Nie bez racji też posługuje się autor w odniesieniu do społeczeństwa socjalistycznego kategorią „społeczneństwo planujące” (stanowiącą atrakcyjną alternatywę dla wypracowanego przez JANUSZA BEKSIAKA terminu „społeczneństwo gospodarcze”).

Punktem wyjścia dla analizy fenomenu planowania gospodarczego czyni autor rozróżnienie socjologiczne i ekonomiczne podejścia do koncepcji planowania gospodarczego w socjalizmie. Różnica ta przedstawia

się następująco: „Sposób rozłożenia akcentów pomiędzy dwa aspekty planowania — strukturalny aspekt sposobu działania układu i prakseologiczny aspekt optymalizacji funkcji celu — leży u podstaw odmiennego widzenia społecznej problematyki gospodarki planowej przez socjologię i ekonomię polityczną. Jeżeli w socjologii planowanie rozpatrywane jest jako pewien „ład społeczny”, zapewniający harmonijny przebieg procesów przez usunięcie niepewności, ucywienie sytuacji w pełni przewidywalną dla każdego ognia i autora układu, w ekonomii planowanie jest w pierwszym rzędzie sposobem racjonalizacji procesów gospodarczych w skali makrosocjalistycznej. Zarówno w socjologii, jak i w ekonomii idea planowania silnie angażuje oceny. Jednak odmienne są kryteria społeczne tych ocen”.

Autor przeprowadza wnikliwą analizę społecznej treści planu, a więc mechanizmów oddziaływania planu centralnego na kształtowanie się stosunków społecznych, sposobów podporządkowania wytwórców społecznym celom wyrażonym w planie ogólnogospodarczym, wpływu interesów odcinkowych na budowę planowej wizji przekształceń gospodarczych itd. Jednym z zasadniczych wątków analizy jest ustalenie — można by rzec — socjotwórczej roli planu jako dokumentu wyrażającego preferencje centralne. W ujęciu bowiem przyjętym przez autora: „Twożenie planu w gospodarce socjalistycznej polega na precyzowaniu działań według przyjętych celów społecznych i zgodnie z technicznymi, bilansowymi prawami produkcji. Podporządkowany celom społecznym, zbilansowany plan przedstawia całościowy kształt sprzężeń produkcyjnych gospodarki socjalistycznej, wokół których zawiązują się stosunki społeczne”.

Z tego punktu widzenia ciekawej, dodatkowej wymowy nabiera np. tablica przepływów międzygałęziowych, główne narzędzie w rękach planistów. W bilansach wielkościom ekonomicznym zawsze przyporządkowane są przeciw określone zespoły ludzkie: wytwórców i użytkowników. Szukając więc wewnętrznie zgodnego planu przesądza organ centralny o kształtowaniu się pewnych

relacji społecznej natury. Stosowny w związku z tym wydaje się postulat, aby stosownie do potrzeb teorii społeczeństwa socjalistycznego, a także ze względów czysto praktycznych, socjologia ekonomiczna dążyła do ustalenia zasad wyodrębniania zbiorowości włączonych w działalność gospodarczą — identyfikacji społecznych agregatów planu.

Logiczną kontynuacją powyższej problematyki są dwa rozdziały książki poświęcone socjologicznej interpretacji wykonawczej funkcji planu, oraz socjologicznym determinantom decyzji planistycznych. Postępując się językiem ekonomicznym powie: „dzielibymy, że pierwszy z wymienionych problemów dotyczy społecznych aspektów systemu zarządzania, tj. przekazywania decyzji planistycznych wykonawcom do realizacji, zarówno w zasztyrowanej postaci norm sterujących (placy, cen, kursów itd.), jak i w formie bezpośrednich, przekazywanych drogą administracyjną dyrektyw. Zespół narzędzi realizacji planu uruchamia określone motywy i w wykonawców, staje się wyznacznikiem społecznych postaw, na równi z normami kulturowymi, zabiegami propagandowymi itd. Przyjmując ten punkt widzenia dokonuje autor niezmiernie ciekawej interpretacji ewolucji systemu bodźców w gospodarce socjalistycznej (m. in. dyktatu: bodźce materialnego zainteresowania i stymulacja pozeekonomiczna).

Niemniej interesujące są też rozważania wokół drugiego problemu — socjologicznych uwarunkowań procesu decyzyjnego na szczeblu centralnych organów planujących, a także w międzyszczeblowym układzie decyzji planistycznych. Uwaga autora omiata się tutaj na sposobach regulacji i rozwiązywania konfliktów powstających między grupami pracowniczymi, a także grupami kierowniczymi wciągniętymi w proces budowy planu ogólnogospodarczego.

Książka NAROJKA jest pracą socjologiczną. Podniesione w niej problemy na pewno jednak ciekawia i ekonomistów, w szczególności zaś tych, którzy interesują się, bądź stykają na co dzień z zagadnieniami funkcjonowania gospodarki socjalistycznej. Pozwala ona lepiej zrozumieć ten drugi, socjologiczny, a nie wyłącznie ekonomiczny wymiar planowania i zarządzania gospodarką. Postaniam tej książki jest wzmożenie obiegu myśli między socjologią i ekonomią polityczną, dyscyplinami, które ciągle trzymają się od siebie zbyt daleko. Należy więc tej książce włączyć do swoich lektur.

¹⁾ WINICJUSZ NAROJEK: Społeczneństwo planujące. Próba socjologii gospodarki socjalistycznej. PWN, Warszawa 1973, str. 233, cena 32 zł.



Fot. S. ZUBCZEWSKI

USŁUGI- OPERACJA ROZPOZNANIE

PRANIE PLAM BIAŁYCH

ANDRZEJ NAŁĘCZ-JAWECKI

Są dwa zasadnicze powody społecznej presji na rozwój usług pralniczych. Przede wszystkim pranie jest zajęciem tak uciążliwym, że kobiety za wszelką cenę chcą się od niego uwolnić. Po drugie — nawet gdyby chciały same pracować to większość z nich nie może na to wygospodarować czasu. Mamy jeden z najwyższych w Europie wskaźników aktywności zawodowej kobiet i jeden z najniższych w dziedzinie usług pralniczych. A do tego w nowym budownictwie mamy tak małe mieszkania, że nie ma gdzie pracować, suszyć i prasować. Ponadto gotowanie białej bielizny niszczy i meble i samo mieszkanie.

JAK DAWNO moja pamięć sięga słyszałem tylko narzekania na usługi pralnicze — ich jakość, długie terminy, gubienie garderoby, a ostatnio na dość słone opłaty. Wyśnawiano wiele propozycji, których realizacja mogłaby przynieść poprawę. Jedną z nich było nawoływanie do scentralizowania usług pralniczych i ustanowienia jednego, energicznego gospodarza. Nadzorowałyby on wszystkie pralnie w kraju, rozwijałby równomiernie sieć, prowadziłby badania potrzeb klientów, zabiegałby o maszyny i dostawy środków piorących, zorganizowałby wyspecjalizowane biuro projektów, itd. itd.

Od kilku miesięcy zaczęto realizować ten pomysł. Najpierw powstało Ogólnobranżowe Zjednoczenie Usług Pralniczych — działające na zasadzie dobrowolnej współpracy firm pralniczych. Następnie zaczęto przekazywać pralnie wybranemu „pionowi gospodarczemu” — spółdzielczości pracy. Równolegle łączono małe przedsiębiorstwa w duże pralnie o zasięgu wojewódzkim. Wreszcie utworzono jednostkę, która ma spełniać rolę owego gospodarza. Centralny Związek Spółdzielczości Pracy powołał dn. 1 lipca br. Krajowy Związek Pralniczych Spółdzielni Pracy (KZPSP), wyraźnie podkreślając, iż „został on utworzony dla zapewnienia bardziej dynamicznego niż obecnie rozwoju pralnictwa, tj. pełnego zaspokojenia potrzeb na usługi ze strony gospodarstw domowych i odbiorców zbiorowych”.

Tak więc jesteśmy świadkami powstania nowego „novum” — dużej organizacji gospodarczej, której wyłaczającym zadaniem jest świadczenie usług i to z jednorodnym profilem. Warto uważnie prześledzić jej początki chociażby z tego względu, iż

w odniesieniu do wielu innych branż usług wyśnawiano jej propozycje scentralizowania i integrowania.

A więc z jakim programem wystartował KZPSP? Jak go zamierza realizować? Od czego chce się zdecydowanie odciąć, a co nowego wprowadzić? Czy ma szansę stania się faktycznym gospodarzem branży? W końcu, czy ma już sprecyzowaną koncepcję operowania, bądź co bądź 34 milionów klientów?

LIPCOWY START

W dniu 3 lipca odbył się w Łodzi I Zjazd Delegatów KZPSP, na którym oceniono sytuację zastaną, zgłoszono dezycje i postulaty, podjęto pięć uchwał oraz sformułowano „ramowy program działania do 1980 roku”.

Delegaci uznali za słuszną przede wszystkim wypunktowaną słabość dotychczasową: „Pralnictwo cechowało i cechuje obniżenie rozdrobnienie potencjału usługowego. Zjawisko to negatywnie zaważyło na dynamice rozwoju usług, jakości, poziomie technologii i techniki ich świadczenia oraz formach obsługi klienta”. Dalej stwierdzono, że „ilość świadczonych usług w kraju w przeliczeniu na 1 mieszkańca jest 2—5 razy mniejsza, niż w sąsiednich krajach socjalistycznych — stąd konieczność znacznego przyspieszenia tempa rozwoju”.

W jednym z punktów czytamy: „Wielomiesięczne opóźnienia terminów zakończenia inwestycji (w latach 1971—1975) wynikały z wad w dokumentacjach projektowych, niedbałego wykonawstwa itd.”. I zaraz dalej żądanie, by „przyspieszyć zakończenie realizacji inwestycji rozpoczętych”.

Stwierdzono też, że „wybitnie niekorzystnym zjawiskiem jest bardzo niska efektywność usług pralniczych. Duża część przedsiębiorstw ponosi

w chwili obecnej straty na działalności i korzysta z dotacji wyrównawczych jednostek nadrzędnych”.

A jak przedstawiają się konkretne plany rozwoju usług na najbliższe pięć lat? Oszacowano, że o ile w 1975 roku wypierze się dla ludności 38,1 tys. ton bielizny, to w 1980 roku — 106,1 tys. ton. A więc blisko trzy razy więcej. Statystyczny mieszkaniec w 1980 roku zlecać będzie pralniom około 3 kg bielizny rocznie. Ten sam wskaźnik odnośnie chemicznego czyszczenia wzrośnie z 1,2 kg na 1 mieszkańca rocznie do 2,4 kg w 1980 roku. Obywatele będą mogli wyczyścić za lat pięć 84,9 tys. ton garderoby.

Logicznym pytaniem jest w tym miejscu: „W jaki sposób to podwojenie i potrójnienie usług ma nastąpić?” Odpowiedź łatwo przewidzieć: przez inwestycje. Obliczono, że na nakłady inwestycyjne potrzebnych będzie w pięcioleciu ok. 3,9 miliarda złotych, w tym na roboty budowlane 1 525 mln złotych.

I znów przytoczmy dosłowny tekst: „Założony przyrost usług może być osiągnięty w pierwszym rzędzie przez rozbudowę pralni przemysłowych. Dla skrócenia procesu projektowania, wykonawstwa i uatwienia nadzoru inwestycyjnego przewiduje się, że pralnie będą budowane w kraju tylko w dwóch wersjach, nazywanych symbolami „A” dla pralni dużych i „B” dla średniej wielkości”.

Zdolność usługowa pralni „A”: pranie — 2 350 ton, czyszczenie — 920 ton rocznie; zatrudnienie — ok. 150 osób; koszt budowy ok. 79 mln zł. Pralnia typu „B”: zdolność usługowa — pranie 1 200 ton, czyszczenie 450 ton rocznie; zatrudnienie — 100 osób; koszt budowy — 41 mln złotych.

W programie na lata 1976—1980 projektuje się wybudowanie 30 pralni typu „B” oraz 24 pralni typu „A”.

Zajrzyjmy jeszcze raz do tekstów zjazdowych: „Do właściwego wykonania przyjętych wyżej zamierzeń inwestycyjnych konieczny jest docelowy przyrost zatrudnienia rzędu 40 proc. w porównaniu z 1975 rokiem. Problem przygotowania kadry kwalifikowanej wymaga sprecyzowania odrębnego planu działania”.

Dorzućmy jeszcze, że tylko dla potrzeb Krajowego Związku Pralniczych SP potrzeba będzie dokupić co najmniej 1500 samochodów dostawczych i ciężarowych.

BEZ POKRYCIA...

Wszystko byłoby O.K., gdyby znalazł się przyszłowiowy wujek z Ameryki, który w teście Ameryce zakupiłby urządzenia do tych pralni i przysłałby je do dyspozycji KZPSP. Dodatkowo musiałby on pralnie zapośredniczać, a ponadto systematycznie dostarczać odpowiednie środki piorące. Ba, gdyby ten wujek jeszcze wynajął Szwedów do zbudowania tychże 54 nowoczesnych pralni, a potem... wynajął np. Austriaków do ich prowadzenia...

Aby wyłowić co jest „austriackim gadaniem”, a co jest realne w programie, wybrałem w końcu sierpnia do KZPSP. Pytania zadawałem z gatunku twardych, odpowiedzieć natomiast budziły uczucia mieszane.

Pytanie: Skąd KZPSP weźmie maszyny i urządzenia do tych nowych pralni?

Zamiast odpowiedzi pokazano mi odpowiednie ustępy w programie. Wypisuję: „Przemysł maszyn pralniczych jest niedoinwestowany i nie nadąża za potrzebami pralni usługowych. Stwierdzamy dużą zawodność działania większości produkowanych w kraju maszyn pralniczych. Brakuje urządzeń pomocniczych”. I dalej: „Maszyny dla nowych inwestycji w przeważającej części winny być importowane, gdyż przemysł krajowy nie dysponuje odpowiednimi urządzeniami”.

Główny specjalista Technicznego Ośrodka Usług Pralniczych w Łodzi, inż. KRZYSZTOF BUJNOWICZ: Dam przykład — Tarnowska Fabryka Maszyn Pralniczych dostarczyła zestawy do prasowania koszul męskich typu RK. Stały w pralniach dla ozdoby, jako dekoracja — tragiczna jakość. W końcu poszły na złom. Inne maszyny rdzewieją po kilku latach i trzeba je wyrzucić na smetle...

W przyszłym pięcioleciu trzeba byłoby na modernizację parku maszynowego sprowadzić maszyn z krajów socjalistycznych za ok. 113,6 mln zł, z krajów kapitalistycznych za 92,2 mln zł. Natomiast za import dla nowych inwestycji: za 424 mln zł z ks, oraz za 978 mln złotych w kk. Łącznie ponad 1,5 mld złotych.

Gdyby z kolei chcieć rozwinąć krajowy przemysł maszyn pralniczych, to należałoby zakupić licencje przynajmniej na produkcję: agregatów (18 i 60 kg) do chemicznego czyszczenia odzieży, pralnic-wirówek, wytwornic pary oraz pras parowo-szczekowych do odzieży. Nawet nie notowałem szacunkowych kosztów zakupu tych licencji...

Pytanie: Istotną sprawą są renowacje posiadanych maszyn (nie mówiąc już o przyszłych). Jak to rozwiązać?

I zastępca prezesa KZPSP, mgr inż. STANISŁAW DYNIEWSKI: Lat temu kilkanaście spółdzielczość występowała o wybudowanie rejonowych baz remontowych. Pieczę nad pralnictwem miał wtedy resort gospodarki komunalnej, który sprawę storpedował, obiecując zorganizowanie dużej bazy w Stąporkowie, w woj. kieleckim. Baza taka istotnie powstała, ale gdy resort ów pozbył się pralnictwa to szybko bazę zlikwidował. Zostaliśmy na lodzie. Wypływamy do CZSP o wytypowanie jednej ze spółdzielni do prowadzenia tych remontów, a także produkcji części zamiennych. Jednostka ta powinna też prowadzić kapitalne remonty.

Pytanie: Pisaliśmy w „Z.G.”, a i sami to przyznajecie, że szereg pralni było fatalnie zaprojektowanych i wykonanych. Czy jest jakiś kompetentny, wyspecjalizowany i mający odpowiednie doświadczenie ośrodek projektowy?

Inż. Krzysztof Bujnowicz: Prawdę mówiąc, nie było dotychczas ani typowych projektów, ani też wyspecjalizowanego BP. Obecnie chcemy, w porozumieniu z CZSP, wytypować kilka spółdzielczych biur projektowych...

Pytanie: Również pisaliśmy w „Z.G.” o niedostarczaniu przez przemysł chemiczny nawet podstawowych środków piorących. Był to niestety często powód zatrzymywania w ogóle pracy pralni. Przecież nie do pomyślenia jest, by ustawicznie losy miliony dolarów na sprowadzanie z zagranicy tych środków? Jak dogadujecie się obecnie z dostawcą?

Odpowiedź: Przede wszystkim chcemy, by przemysł zapewnił ciągłą dostawę typowych rozpuszczalników i polepszył ich jakość, a zwłaszcza tzw. stabilność. Przemysł ten musi uruchomić produkcję wieloskładnikowych kompozycji piorących do prania białej i ubrań roboczych — przynajmniej w czterech odmianach — dostosowanych do składu surowcowego wyrobów włókienniczych i rodzajów zabrudzenia. Ponadto oczekujemy, iż uruchomi produkcję: wspomagaczy chemicznego czyszczenia: rozpuszczalnika fluorochlorowogłowododorowego; skonfekcjonowanych kompozycji detaszerujących; środków pomocniczych i barwników do konserwacji odzieży futrzanej i skórzananej w kąpiel rozpuszczalnikowej; uszlachetniających ziem filtracyjnych do agregatów...

Pytanie, zasadnicze: Wróćmy znów do inwestycji. Skąd weźmiecie limity inwestycyjne? Czy jest w stanie zagwarantować CZSP?

Inż. Stanisław Dyniewicz: Hm, istotnie są tu problemy. Nasze inwestycje pochłonięłyby prawie w całości limity inwestycyjne CZSP. Inni też mają potrzeby. Cóż, trzeba szukać wyjścia z sytuacji. Nawigazaliśmy bezpośredni kontakt z wojewodami. Proponujemy „spółki”: my dostarczymy dokumentację oraz maszyny i urządzenia, oni natomiast wykonawstwo łącznie z limitami na roboty budowlane. Oczywiście budżety UW nie wytrzymałyby takich pozycji, więc oni z kolei nawiązują kontakt z zakładami przemysłowymi. Mamy już oddźwięki — zagłębie belchatowskie chce partycypować w budowie pralni, znalazło się kilkadziesiąt milionów w Pile, itd.

Oto, z grubsza biorąc, komplet spraw zakulisowych programu inwestycyjnego KZPSP. Moi rozmówcy sami powątpiewali w możliwość jego realizacji. A więc i w możliwość szybkiego rozwoju usług pralniczych?

NIEPOKOJE

Zainteresowały mnie wzmianki o wzrastających kłopotach finansowych pralni. Okazuje się, że CZSP dokłada spore kwoty z tzw. funduszu wyrównawczego. W ubiegłym roku wspomóżono tymi dopłatami 25 pralni — dorzucono łącznie ok. 11,4 mln złotych. W I półroczu 1975 roku wydano już na ten cel 10,8 mln złotych.

Znów ucieknę się do zacytowania materiałów ze Zjazdu: „W ostatnich latach stan finansowy zakładów pralniczych znacznie się pogorszył na skutek podniesienia cen paliw, materiałów podstawowych, a szczególnie opłacania odsetek od kredytów bankowych zaciągniętych na wykupienie zakładów komunalnych. Regulacja cen na usługi pralnicze przeprowadzona w latach 1973—1974 tylko w części poprawiła rentowność niektórych spółdzielni”. I dalej:

„Niższa rentowność, a w wielu przypadkach wręcz deficytowa działalność jednostek świadczących usługi pralnicze, w obecnych warunkach (jak również po ewentualnym wprowadzeniu zmian przewidywanych w nowym systemie ekonomiczno-finansowym) nie tylko nie zapewnia akumulacji środków inwestycyjnych wystarczających na powiększenie majątku trwałego, ale

nie zapewnia nawet możliwości odnowienia zużytych w procesie produkcyjnym środków trwałych. Warunki te nie zawierają więc bodźców materialnego zainteresowania zatrudnionych w tego rodzaju jednostkach”.

A więc jakie będą skutki poszukiwania pieniędzy zarówno na inwestycje, jak i na poprawienie owej rentowności? Odpowiedź znalazłem sam, znów w materiałach zjazdu: „Należy doprowadzić do ustalenia cen usług pralniczych na poziomie zabezpieczającym osiągnięcie należytego zysku”. Po prostu: podnieść ceny za pranie.

Prezes Stanisław Dyniewicz: Co tu ukrywać — tak. W początkowym okresie zamierzamy doprowadzić do zrównania cen w całym kraju (to znaczy podniesienia ich do tych najwyższych — przyp. A.N.-J.) Jestem za radykalnym uregulowaniem tej kwestii. Jeśli pan wysunie tezę utrzymania cen na dotychczasowym poziomie, to będzie to tylko na szkody klientów. Przecież trzeba środków na rozwój. Z nieba nie spadną!

Mało tego, dowiaduję się, że jednym z dążeń KZPSP jest wyjednanie zgody na zniesienie podziału na usługi dla ludności i usługi dla instytucji, lub chociaż obniżenie obowiązkowego wskaźnika świadczenia usług na rzecz ludności O co chodzi? Otóż jeśli pralnie świadczą ponad 65 proc. usług dla ludności to uzyskują daleko idące ulgi podatkowe. A więc chodzi o „zaliczenie wszystkich usług świadczonych przez pralnie do szczególnie preferowanych”.

Wiadomo, świadczenie usług dla instytucji jest wygodniejsze z wielu względów i jest w rezultacie bardziej opłacalne.

Czy w dążeniach tych nie wylewa się czasem dziecka z mydlaną kąpielą? Oczywiście najwygodniej byłoby pralniom, gdyby ceny wzrosły a do tego z usług ich korzystały przede wszystkim instytucje, dla których cena nie jest znów sprawą tak istotną.

Również w metodzie poszukiwania przez KZPSP środków na inwestycje tkwi duże zagrożenie dla indywidualnych klientów. Jeśli limity inwestycyjne i pieniądze — za pośrednictwem urzędów wojewódzkich — dadzą na budowę pralni zakłady pracy, to przecież będą one chciały coś z tego mieć. Na pewno dojdzie do spisywania umów o upranie iłus tam ton rocznie dla owego partycypanta.

Prezes miał rację, jestem przeciwny kolejnej podwyżce cen na usługi pralnicze. Przeciwny automatacyzmowi podwyższania cen. Przecież wyższe wpływy można uzyskać innymi drogami. Weźmy przykład: usługi ekspresowego prania są drogą — dlatego ich nie maksymalizować? Czy mógłby mi ktoś w KZPSP wytłumaczyć dlaczego tą drogą — ilość kilogramów jest taka sama przy praniu ekspresowym, jak i zwykłym — nie uzyskuje się wyższych dochodów? Znakomita część pralni w okresie wakacyjnym odmawiała prania ekspresowego. Dlaczego?

Wyższe dochody mogłyby też pralnie uzyskiwać poprzez rozwinięcie prania na telefoniczne zamówienie. W obu przypadkach nie napotkano by sprzeciwu klientów, którzy przecież rozumieją, że więcej trzeba zapłacić za ekspres czy za usługę z odbiorem i dostawą do domu. Dodajmy, zwiększenie usług ekspresowych nie wymaga w ogóle nakładów inwestycyjnych — droga usprawnień organizacji pracy można osiągnąć o 50 proc. wyższe wpływy.

Dlaczego zdrożała woda? Między innymi po to właśnie, by zakłady przemysłowe lepiej nią gospodarowały. Niestety, w kilku pralniach, które odwiedziłem, nikt nie kwapił się z zaprezentowaniem mi programu zastosowania instalacji do uzdatniania wody i jej wielokrotnego użyczenia w obiegu zamkniętym. Przecież takie usprawnienie obniżyłoby koszty, więc poprawiło rentowność.

Stosunkowo najprościej jest narzekać na małe zdolności produkcyjne i żądać środków na inwestycje. Ale w odwiedzanych pralniach nie spotkałem programów polepszenia współczynnika zmianowości. Nie natknąłem się też na programy wyważania rezerw na drodze usprawniania organizacji pracy.

KZPSP jednoznacznie dąży do rozwijania pralni dużych, nowoczesnych, automatyzowanych. Wiadomo jednakże każdemu uczniowi, że im większa jest produkcja, to tym niższe są ponoszone koszty jednostkowe. Czyżby w przemysłowych pralniach było inaczej? Jak to wytłumaczyć klientom, gdy żądają się od nich wyższych opłat? A szczególnie jak wytłumaczyć, że mają pokryć koszty wykupywania zakładów przez spółdzielczość od innych gestorów? Przecież niezależnie od tego, czy budowała pralnie gospodarka komunalna, przemysł terenowy czy spółdzielczość, to społeczeństwo już raz na to środki wydało. Dlaczego

teraz w wyniku zmian organizacyjnych ma za to płacić po raz drugi?

Start KZPSP rozczarował mnie jeszcze z kilku innych względów. Spodziewałem się, że będzie on gospodarzem chcącym i mającym coś do powiedzenia w całej branży.

Pytanie: Czy będziecie pomagać (projektowanie, celowość importu maszyn, modele organizacyjne itp.) pralniom przykładowym — szpitalnym, górniczym, wojskowym itp.?

Odpowiedź: Nie, to jest poza naszymi podwórkami.

Pytanie: A czy będziecie mieli cokolwiek do powiedzenia (koordynacja, profilowanie itp.) w stosunku do pralni prowadzonych przez przemysł terenowy?

Odpowiedź: Wtedy, gdy będą nam podlegać, gdy je wykupimy...

Pytanie: Czy znajmiecie się sprawą tych kilkudziesięciu tysięcy pralni blokowych? Niszczej. Czy pomożecie choć kadrowo?

Odpowiedź: Przecież to podwórko spółdzielczości mieszkaniowej. Nas nie interesuje to, jak sobie ludzie piorą w łazience, w piwnicy czy jeszcze gdzie indziej...

I tak dalej. KZPSP nawet nie czuje się upoważniony (jak mi zaznaczono: w obecnym układach organizacyjnych) do analizowania całokształtu problemu „pranie”. Nadal będzie każdy sobie rzeknie skrobał. Nie ma nawet forum do spotkania się i dyskussji dla przedstawicieli wszystkich instytucji — producentów odzieży, wtywatorów maszyn i środków piorących, usługodawców, projektantów itd. — związanych w jakiś tam sposób z pralnictwem.

★

Tak oto wygląda ogólna sytuacja w pralniczym ogródku. Nie jest budująca. Nadal brak gospodarza i ogólnej koncepcji opierania 34 milionów Polaków. KZPSP wystartował właściwie tylko jako koordynator 28 spółdzielczych ordesiebiorsw pralniczych. Taka mu po prostu przydzielono rolę.

Start KZPSP pozwala jednak na poczynienie pewnych obserwacji szerszych. Jest bowiem pralnictwo dziedzina, w której od dawna obserwujemy uprzedmiotowienie usług. Do przemysłowego świadczenia usług dąży szereg innych branż usługowych, i rzeczywiście nadeje się. I dopóty te dążenia nie przyniosą rezultatów — jak widać to w pralnictwie — dopóki nie zostanie zagwarantowana komplementarna pomoc wszystkich życzeń gospodarki. Aby pralnictwo stało się rzeczywistością na nogi, przyczynić się do tego musi i przemysł chemiczny i maszynowy, budownictwo, przemysł lekki itd. Podobnie, by rozwinąć w skali przemysłowej inne usługi trzeba nałożyć potrzeby danej branży usługowej niemal na wszystkie resorty gospodarcze.

Innego wyjścia nie widzę. W przeciwnym razie rola jednostki powołanej do takiego rozwijania na szeroką skalę uprzedmiotowionych usług sprowadzi się do rejestrowania pobożnych życzeń, formułowania programów bez szans na ich realizację. Bedzie sie ona starała wykazać wynikami stosując półśrodki, dużym nakładem kosztów i osiągnięciem rezultacie mierne efekty ekonomiczne. A może też się zdarzyć, że odstraszy klientów od korzystania z usług już na początku.

Po drugie — nie ma niestety wyskazałoby w naszym układzie administracyjnym „szerebi” na których mogłoby zapadać wiążące decyzje dotyczące wszystkich zainteresowanych stron w związku z rozwojem jakiegś sfery. Czy nawet w jakiejś branży usług. Tu trzeba pilnie znaleźć sensowne rozwiązanie. bowiem trudno wymagać, by każdorazowo sprawy te trafiały aż na forum rządowe.

Po trzecie — dokładniejsze przeanalizowanie stanu i potrzeb poszczególnych branż usługowych, jak dowodzi to przykład pralnictwa, obnaża dopiero w całej rozciągłości narastające zaległości. Iż teraz potrzeba czasu by, nawet przy najlepszych chęciach, postawić na nogi przemysł maszyn pralniczych czy też rozruszać produkcję potrzebnych pralnictwu środków chemicznych? A dodajmy tu jeszcze sprawę przewożenia kadry... Przeważałyby się więc szybko takie branżowe analizy i w innych rodzajach usług. Tylko kto ma je przeprowadzić?

Po czwarte — na zakończenie — centralizacja w poszczególnych branżach usług, przy jednoczesnym „nakreśnianiu” takich scentralizowanych organizmów na maksymalizację zysków prowadzić może do rozlewu interesów centrali z potrzebami konkretnych regionów. Również może doprowadzić do działań sprzecznych z interesami klientów, którym przecież ma służyć i nie od rzezyw byłoby pozostawienie furtki umożliwiającej wprowadzenie korekt zarówno przez władze terenowe, jak i organizacje reprezentujące interesy konsumentów.

WSPÓLNE PRAWO DO
AUTORSTWA WYNAZKU

Spółdzielnia Inwalidów „POKÓJ” uzyskała patent tymczasowy na wynalazek pt. „Rotacyjny przyciskacz materiału w maszynach do szycia”, którego twórcami miały być cztery określone osoby, legitymujące się świadectwem autorskim.

W pozwie skierowanym do sądu przeciwko Spółdzielni, jako jednostce uprawnionej z patentu, oraz wspomnianym czterem twórcami wynalazku, Stanisław D. domagał się ustalenia, że to on jest twórcą wynalazku, jak też zasądzenia na jego rzecz odszkodowania w wysokości wynagrodzenia pobranego już przez pozwanych twórców z tytułu zastosowania wynalazku.

Sąd Wojewódzki odrzucił pozew o ustalenie autorstwa a powództwo o wynagrodzenie oddał jako przedwczesne uważając, że do ustalenia autorstwa wynalazku właściwy jest Urząd Patentowy.

Stanisław D. wniosł rewizję od wyroku Sądu Wojewódzkiego.

Sąd Najwyższy rozpoznawszy sprawę, w wyroku z dnia 15 listopada 1974 r. nr II PR 216/74 wyraził następujący pogląd prawny:

1. Wszelkie spory o autorstwo lub współautorstwo wynalazku (pracowniczego i niepracowniczego) rozstrzyga sąd powszechny.

2. Z chwilą dokonania wynalazku przez kilka osób powstaje na ich rzecz wspólne prawo do autorstwa. Przepisy ustawy o wynalazczości nie określają cech tego prawa osobistego, które nie jest przenoszalne i ma charakter wspólności łącznej. Wspólność ta wynika z połączenia wkładów inwencji twórczej poszczególnych wynalazców, których udziały w tym prawie nie są ściśle oznaczone, więc zaś istniejąca między nimi w zakresie autorstwa jako prawa osobistego jest nierozdzielna. Z tych przyczyn współautorstwo wynalazku ma charakter wspólności łącznej, a nie w częściach ułamkowych.

W uzasadnieniu wyroku Sąd Najwyższy zaznaczył m. in.: „(...) Ustawa z dnia 19 października 1972 r. o wynalazczości (Dz.U.Nr 43, poz. 272) wyłączała z zakresu spraw rozstrzyganych przez Urząd Patentowy w trybie postępowania spornego sprawy, które polegają na ustaleniu osoby twórcy albo współtwórcy, zarówno wynalazku pracowniczego, jak i niepracowniczego. Wszelkie zaś spory o autorstwo lub współautorstwo wynalazku rozstrzyga sąd powszechny. Zgodnie z art. 109 ust. 1 pkt 7 ustawy o wynalazczości Urząd Patentowy ustala, czy dany wynalazek jest wynalazkiem pracowniczym, ale takiego zadania powód nie zgłosił. Sąd Wojewódzki natomiast błędnie uznał, że Urząd Patentowy jest właściwy do rozstrzygnięcia sprawy o ustalenie autorstwa w trybie art. 109 ust. 1 pkt 3 ustawy o wynalazczości.

Z mocy wymienionego wyżej przepisu Urząd Patentowy w trybie postępowania spornego wydaje decyzję o przeniesieniu patentu lub prawa ochronnego na wzór użytkowy, uzyskanego przez osobę nieuprawnioną (art. 31 ustawy o wynalazczości).

Jednakże powód nie twierdził, by pozwanej Spółdzielni nie przysługiwało prawo do patentu, a pozoastali pozwani mają jedynie prawo do autorstwa spornego wynalazku, świadectwa autorskiego i wynagrodzenia. (...)

Pozwani — współtwórcy wynalazku — zasługują na tym, że ich wkładem do wynalazku jest ich wkładem autorskim. Jeżeli zaś Sąd Wojewódzki rozpoznający sprawę w trybie art. 52 ustawy o wynalazczości dojdzie do wniosku że istnieją podstawy do wszczęcia postępowania spornego przed Urzędem Patentowym, w trybie art. 109 ust. 1 pkt 1 tej ustawy, o unieważnienie świadectwa autorskiego, to może zawiesić postępowanie i wyznaczyć powódowi stosowny termin do wystąpienia z wnioskiem o unieważnienie tego świadectwa (art. 177 § 2 k.p.c.). (...)

Z chwilą dokonania wynalazku przez kilka osób powstaje na ich rzecz wspólne prawo do autorstwa. Przepisy ustawy o wynalazczości nie określają cech tego prawa osobistego, które nie jest przenoszalne i ma charakter wspólności łącznej. Wspólność ta wynika z połączenia wkładów inwencji twórczej poszczególnych wynalazców, których udziały w tym prawie nie są ściśle oznaczone, więc zaś istniejąca między nimi w zakresie autorstwa jako prawa osobistego jest nierozdzielna. (...)

Współuczestnictwo takie nie istnieje między twórcami a jednostką gospodarki społecznej, która uzyskała prawo do patentu. W sprawie o autorstwo lub współautorstwo wynalazku może ona wystąpić w charakterze interwenienta ubocznego. Natomiast w procesie, w którym powód nie tylko żąda ustalenia autorstwa, lecz domaga się również zasądzenia wynagrodzenia za stosowny wynalazek, jednostka gospodarki społecznej uprawniona z patentu jest stroną. (...)

Uchylając zaskarżone postanowienie. Sąd Najwyższy uchylił także wyrok w części oddalającej powództwo o wynagrodzenie za wynalazek (art. 338 § 1 k.p.c.).

Przebieganie bowiem uwzględnienia powództwa o to wynagrodzenie jest ustaleniem autorstwa wynalazku, w tej zaś materii Sąd Wojewódzki sprawę nie rozpoznął, przeto oddalenie powództwa o to wynagrodzenie nie jest przedwczesne. (...)”

Opracowała:
STANISŁAWA ZIELIŃSKA

NAUKA — TECHNICIE ROLNICZEJ



Fot.: S. ZUBCZEWSKI

W LATACH 1976—80 rolnictwo otrzymało nowe maszyny rolnicze o wartości co najmniej 150 mld zł. Majątek produkcyjny rolnictwa wzrasta zresztą z każdym rokiem — w roku ub. dostarczone maszyn z 17 mld zł, a w roku bieżącym dostawy osiągną wartość 19,5 mld zł. Więcej maszyn — to także większe koszty ich eksploatacji ponoszone przez rolnictwo. W 1973 r. wynosiły one 56,4 mld zł i było to 40 proc. wartości ciągników i maszyn rolniczych, wynoszącej około 140 mld zł. Są to, jak oceniają eksperci, koszty zbyt duże i jeśli poziom użytkowania sprzętu nie poprawi się, to w 1980 r. gdy wartość ciągników i maszyn przekroczy 300 mld zł, ich eksploatacja będzie kosztowała 128 mld zł.

PROF. DR ROMAN FAFARA, dyrektor Instytutu Budownictwa, Mechanizacji i Elektryfikacji Rolnictwa uczestniczył w pracach zespołu ekspertów, który przygotował raport o stanie pojazdów mechanicznych i maszyn w gospodarce narodowej, a ponadto przewodniczył zespołowi autorów, którzy opracowali program usprawnień eksploatacji maszyn w rolnictwie, leśnictwie i przemyśle drzewnym. O programie tym oraz o wynikających z niego kierunkach prac naukowych IBMER z prof. R. FAFARĄ rozmawia MARCIN MAKOWIECKI.

— Jakie są główne przyczyny zbyt dużych kosztów eksploatacji maszyn?

Niedostateczne wykorzystanie maszyn oraz zbyt duże koszty napraw. To zaś wynika ze zbyt niskiego poziomu niezawodności maszyn, które wymagają uciążliwych i kosztownych napraw. Drugą przyczyną są błędy w organizacji użytkowania, remontów i zaopatrywania w części zamienne. Zawodność powoduje 25 proc. nieprodukcyjnych postojów maszyn, natomiast zła organizacja — 15 proc.

Bardziej szczegółowa analiza doprowadziła nas do wniosku, że za te nieprodukcyjne postoje, spowodowane dużą zawodnością sprzętu, odpowiada w 30 proc. przemysł produkujący ciągniki i maszyny (błędy w konstrukcji i technologii produkcji) a reszta (tj. 70 proc.) przyczynę obciąża „konto” użytkowników. Poznanie tych przyczyn wyjaśnia wiele. Zbyt często posługujemy się sprzętem w takich warunkach, dla których nie był on projektowany. Bardzo dużo jest w naszym rolnictwie gleb kamienistych, o nieuregulowanych stosunkach wodnych. Trzeba

jeździć po drogach rozmiękłych i wyboistych. Maszyny psują się zbyt często, bo zły jest poziom konserwacji i bieżących przeglądów technicznych. Poza tym źle konserwowane i źle przechowywane maszyny ulegają korozji. Wiadomo zaś, że trwałość elementów składowych jest krótsza o 30—40 proc. od dobrze zabezpieczonych. Wreszcie jest i tak, że psują maszyny operatorzy, którzy albo nie umieją ich obsługiwać, albo po prostu źle pracują. Ostatnia grupa przyczyn to zła jakość napraw.

— Duża część przyczyn decydujących o wysokich kosztach eksploatacji wynika z ogólnie niskiego poziomu wyposażenia rolnictwa w technikę. Gdy trzeba wybierać, czy kupić niezbędne w produkcji maszyny czy budować garaż w gospodarstwie, decyzja wydaje się oczywista. Ale kiedyś trzeba będzie przerwać ten krąg...

— Obliczyliśmy jakie nakłady inwestycyjne są konieczne i gdzie powinny być skierowane. Parę przykładów: należałoby w latach 1976—80 wybudować około 700 tys. stanowisk (w garażach, szopach, wiatlach i na placach utwardzonych) o powierzchni 862 ha. Potrzebne są nakłady na budowę dróg rolniczych, pozwalających na stosowanie samochodów i przyczep o dużej ładowności i na jazdę z większą prędkością. Bez nakładów inwestycyjnych nie uzyska się również poprawy w systemie odnowy maszyn (przeglądy, naprawy, diagnostyka), zwłaszcza w bazach SKR.

Dotyczy to także innych działań gospodarki poza rolnictwem: przemysłu maszynowego, chemii, komunikacji, nauki... Znowu posłużyć przykładem: wzrost wydajności pracy w rolnictwie może być przede wszystkim osiągnięty przez stosowanie kompleksowej mechanizacji i brygadowego systemu pracy maszyn. Nie wystarczy jednak najlepsze nawet umiejętności użytkowników, jeżeli muszą oni kojarzyć maszyny nie dostosowane do siebie pod względem wydajności. A zatem niezbędne jest, aby przemysł maszynowy uruchomił równocześnie z produkcją maszyn wiodących również produkcję maszyn towarzyszących. Komбайn zbożowy „Gigant” wymaga samochodów ciężarowych o ładowności 8—10—12 ton oraz podobnych lub większych przyczep ciągnikowych. Potrzebne są wydajne urządzenia mechaniczne do rozładunku i załadunku materiałów i produktów rolniczych ze środków transportowych. Gdy nie istnieje taki system nie można zorganizować racjonalnie

pracy. O rezultatach tego już mówiliśmy.

Jest jeszcze wiele innych spraw, np. potrzebne są maszyny własnej produkcji, lub importowane do zbierania lub kruszenia kamieni na polach; środki antykorozyjne dostosowane do warunków, w jakich eksploatuje się maszyny rolnicze.

Uważam, że sprawą równie ważną, jak produkcja maszyn rolniczych i leśnych, jest racjonalne ich użytkowanie. Jeżeli postulaty przewidziane w naszym programie zostaną spełnione, można będzie już w najbliższych latach zaoszczędzić 20—25 mld zł rocznie, tysiące ton stali i innych materiałów, a także uzyskać znaczny wzrost wydajności pracy.

Postęp techniczny w rolnictwie nie może opierać się jedynie na prostym powiększaniu stanu wyposażenia w maszyny, zastępowaniu urządzeń starych nowymi. Powinien on być rozumiany również jako postęp technologiczny, organizacyjny i ekonomiczny. Należałoby zatem określić zasady doboru optymalnych zestawów środków technicznych zapewniających maksymalne efekty produkcyjne i ekonomiczne. Ta ogólnie słuszna zasada jakże często nie znajduje odzwierciedlenia w rzeczywistości. Jak zatem osiągnąć sytuację zbliżoną do optymalnej?

— Dotyczy to całego programu mechanizacji rolnictwa. Wróćmy jednak do przykładu przez nas omawianego — poprawy stanu eksploatacji maszyn. Uważam, że jednym z założeń omawianego przez nas programu powinno być wspólne porządkowanie gospodarstwa w przemyśle produkującym maszyny i w eksploatacji. Myślę o ściślejszej współpracy producentów z użytkownikami.

Poza tym dla osiągnięcia celu, o którym mówiliśmy, niezbędne jest podniesienie poziomu fachowego kadry operatorów i kierowników eksploatacji — jest on obecnie niedostateczny, metody szkolenia przestarzałe, a baza dydaktyczna niewystarczająca. A zatem uważamy za niezbędne zmiany w tej dziedzinie — rozbudowę ośrodków doskonalenia mechaników rolnictwa, techników i szkół zasadniczych. Określiłbym ściśle zależność, z której wynika, że poprawa poziomu zawodowego kadry użytkowników pozwoli na zwiększenie wykorzystania maszyn o 5—10 proc. To byłoby miliardowe oszczędności każdego roku.

W eksploatacji maszyn, przy wzrastającym wyposażeniu, wiele jest zagadnień, które wymagają uzupełnienia inżynierów do tychczas rozwiązywania. Trzeba dodać, że jest to dziedziną gospodarki, która dorównuje rangą produkcji nowych maszyn i urządzeń. Dalszy postęp, we wszystkich resortach — jak wynika z raportu rządowego — nie będzie dostatecznie szybki i efektywny, jeżeli placówki badawczo-rozwojowe nie przeznaczą większego potencjału na ukierunkowanie postępu w eksploatacji, stworzenie jej naukowych podstaw, opracowanie sprawnych systemów INTE i systemów informatycznych dla centralnych decydentów i dla kierownictwa przedsiębiorstw eksploatujących maszyny.

W resorcie rolnictwa i leśnictwa planuje się podjęcie kompleksowych prac badawczo-rozwojowych w ramach problemu wezwojowego pt. „Optymalizacja eksploatacji pojazdów mechanicznych i maszyn w gospodarce narodowej”. Badania i prace wdrożeniowe będą realizowały IBMER, jako koordynator i główny realizator, oraz Ośrodek Badawczy Rozwojowy Technicznej Obsługi Rolnictwa w Zdzarach, a także do współpracy będą włączone wszystkie instytuty mechanizacji rolnictwa Akademii Rolniczej i niektórych Politechnik. IBMER przeznaczy bez-

pośrednio do rozwiązania tego problemu około 30 proc. swojego potencjału kadrowego. Dodatkowo tematykę wspierającą eksploatację, ale podejmowaną w innych problemach, będzie rozwiązywać dalsze 20 proc. kadry. OBR TOR skieruje 70 proc. swojej kadry na rozwiązywanie tematów z zakresu odnowy ciągników i maszyn rolniczych. Znaczenie rozszerzona będzie tematyka eksploatacyjna w Instytucie Badawczym Leśnictwa.

Wydzieliłmy siedem głównych zagadnień, które współpracując z naukowcami innych resortów, będziemy opracowywać i wdrażać do praktyki. Są to: systemy użytkowania ciągników i maszyn rolniczych, systemy obsługi i napraw, trwałości i niezawodności ciągników i maszyn, paliwa i smary w eksploatacji, systemy zaopatrzenia w materiały eksploatacyjne, części zamienne i zespoły, przygotowanie kadr, systemy informatyczne dla kierowania eksploatacją.

— Na badania naukowe przeznaczają się u nas jak wiemy, poważne środki. Znaną są również szeroko wyniki prac instytutu, którym kieruje, wdrażane do praktyki. Nowy etap technizacji rolnictwa, który się rozpoczął, wywołuje liczne problemy, oprócz tych, o których mówiliśmy, wymagające naukowego opracowania. W jakim stopniu zostaną one uwzględnione w planie badań na lata 1975—80?

— Ogólnie można stwierdzić, że naszym celem będzie opracowanie i wdrożenie nowych metod i struktur organizacyjnych, metod zarządzania i kierowania postępowych technologii produkcji roślinnej i zwierzęcej, nowych systemów budownictwa inwentarskiego i składowego, dzięki którym będzie można uzyskać zmniejszenie zatrudnienia do 4—5 osób na 100 ha użytków rolnych, przy równoczesnym wzroście produkcji o 15 proc.

Mamy zamiar to osiągnąć przez opracowanie modeli organizacyjnych zjednoczeń rolnoprzemysłowych SKR i obsługi technicznej rolnictwa oraz opracowanie naukowych podstaw rozwoju konstrukcji agregatów ciągników i maszyn rolniczych, w tym w dużym stopniu maszyn samobieżnych, zasilanych w energię z silników o mocy ponad 100 KM, do 200 a nawet 300 KM. Szczegółowe efektywne będzie zmechanizowanie transportu i prac przeładunkowych.

Opracowujemy przygotowane do wdrożenia projekty zastosowania konteneryzacji transportu w rolnictwie, przyczep o dużej ładowności — 20 ton, a nawet większych, przyczep objętościowych — 40—65 m³ oraz urządzeń przeładunkowych o wydajności do 150 ton na godzinę.

Jednym z podstawowych problemów jest pozyskanie i przechowywanie maksymalnego plonu biologicznego roślin. Dlatego będziemy rozwijać badania i prace wdrożeniowe dotyczące mechanizacji zbioru z minimalnymi stratami, składowania i przechowywania produktów rolnych. Założeniem jest opracowanie takich systemów, które pozwolą ograniczyć straty w okresie zbiorów i przechowywania ziemniaków o 30—35 proc., warzyw o 60 proc. i ziarna o 16 proc. Przewidujemy możliwość ograniczenia strat składników pokarmowych, siana, kiszzonek i siano-kiszzonek o 25 proc.

Prace będą koncentrować się na tworzeniu naukowych podstaw i projektów wydajnych maszyn do zbioru zbóż, zielonek i roślin okopowych. Będą to np. kombajny większe niż „Gigant”, bo maszyny o większej wydajności są bardziej opłacalne. Posiadając tak duże kombajny można zbierać zboże w krótkim okresie, uznawanym za najlepszy choć-

by ze względu na wilgotność ziarna. Wówczas, skracając okres zniw, zbierając zboże suche — możemy rezygnować z suszarni w gospodarstwach (kosztownych i kłopotliwych) i kierować ziarno wprost do dużych magazynów. Skracając się w ten sposób droga produktów i zmniejsza ilość przeładunków.

W produkcji zwierzęcej będzie można uzyskać pożądaną wydajność pracy dzięki opracowaniu i wdrożeniu wysokiego stopnia mechanizacji oraz automatyzacji procesów produkcyjnych. Dzięki poprawie warunków bytowych zwierząt, automatycznej regulacji mikroklimatu w pomieszczeniach można będzie uzyskać wzrost produktywności zwierząt o 5—10 proc. w porównaniu z obecnie uzyskiwaną w fermach przemysłowych. Ponadto wdrożenie rezultatów prac IBMER pozwoli na obniżenie kosztów inwestycji, w przeliczeniu na jedno stanowisko — w dużych obiektach o 3—10 proc., a w małych o 20 proc. w porównaniu do obecnych kosztów w nowoczesnych fermach przemysłowego chowu zwierząt.

W najbliższym pięcioleciu będziemy pracowali nad projektami ferm o dwukrotnie większej koncentracji zwierząt niż w obecnie wznoszonych fermach doświadczalnych, projektowanych w kraju oraz budowanych według wzorów zagranicznych. Rozwiązanie trzeba będzie zatem problem zagospodarowania dużych ilości gnojowicy w tych obiektach, aby wyeliminować zagrożenie dla środowiska. Rozwiązaniem takim może być np. tworzenie kompleksów produkcji zwierzęcej (zamiast rozproszonych zakładów), wyposażonych w odpowiednio sprawne oczyszczalnie, skąd gnojowica byłaby rozwieszona na pola. Przygotowanie takiego systemu wymaga oczywiście kooperacji z innymi resortami. Np. dostawy odpowiednich cystern. Systemy produkcyjnego wykorzystania gnojowicy są znane w innych krajach, np. na Węgrzech nawozi się w ten sposób plantacje topoli lub lasy.

W gospodarstwach indywidualnych, przy występującej w nich skali produkcji, można osiągnąć znacznie większą wydajność przez zastosowanie techniki. Proponujemy zatem np. projekty budynków nowoczesnych, które można dalej rozbudowywać — są to budynki „systemu IBMER” — parkanowe, prefabrykowane. Nowością będą na pewno budynki bez fundamentów — system „namiotowego”, o wnętrzu halowym — 2,5 m wysokości, oczywiście o prostej konstrukcji i łatwej budowie.

Będziemy pracowali nad metodami zmniejszania materiałochłonności i przygotowywaniem technologii przetwarzania odpadów przemysłowych, rolniczych i leśnych dla potrzeb budownictwa rolniczego. Będą także realizowane prace nad modelem organizacyjno-technicznym budownictwa rolniczego o średniej i małej koncentracji produkcji, przydatnym dla wojewódzkiego spółdzielni budownictwa wiejskiego i zakładów remontowo-budowlanych SKR. Dzięki temu można będzie szybko wdrożyć i upowszechnić przemysłowe metody budownictwa na wsi.

Będziemy również kontynuować prace o charakterze podstawowym, które tworzą teorię rozwoju mechanizacji. Będą one dotyczyć przede wszystkim działania maszyn rolniczych i ich zespołów, teorii eksploatacji, zastosowania metod cybernetycznych w pracach naukowo-badawczych i projektowych w zakresie techniki rolniczej oraz organizacji, zarządzania i informatyki.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
MARCIN MAKOWIECKI

POMIDORY
W KOLEJCE

ANDRZEJ
WIELOPOLSKI

NIE ukończono jeszcze hali, w której znalazł się tunel chłodniczy. Ale nikt nie czeka, aż brygady wrocławskiego „Mostostalu” uwiną się z tym wszystkim, co mają jeszcze do zrobienia i przekażą inwestycję. Tunel pracuje na pełnych obrotach. Polyka 30 ton surowca na dobę, głównie pomidorów.

Niewiele on wszakże znaczy przy tej ilości pomidorów, która nieustannie napływa. Gdyby Zakłady Przemysłu Owocowo-Warzywnego w Łowiczu rozporządzały nawet i dwoma tunelami zamrażalniczymi, też chyba z największym trudem dawałyby sobie radę. Kolejka wyładowanych pomidorami ciężarówek i wozów zaczyna się już na ulicy, kilkaset metrów przed bramą wjazdową.

Pomidory, pomidory, pomidory. Koordynujący dowóz surowca do linii przetwórczych Tadeusz Śmiechowski ma pełne ręce roboty, by nie dopuścić do zatorów. Udać mu się to z

największym trudem, ponieważ jak zakład zakładem — a pracuje już jedenasty rok — czegoś podobnego tu nie przeżywano.

Tak jest przez okrągłą dobę, podczas wszystkich trzech zmian. 80 ciężarówek dowozi surowiec. Przyjść trzeba 320 ton na dobę. Toteż dyrekcja nie ukrywa: gdyby nie odbywały praktyki robotnicze studentów Politechniki Łódzkiej i Uniwersytetu Łódzkiego, byłoby kruczo. Wydaje się, że nie ma w tym ani krzy przesady.

Gros pomidorów, bo aż 60 proc., przerabia się na koncentraty, 10 proc. zamraża się, reszta zaś wykorzystywana jest na soki. Godzi się dorzucić, że surowiec w tym roku wyśmienity. Nic dziwnego: aura łacie bułgarskiej, warunki dla pomidorów wprost wyjątkowe. I udało się wszystkim uprawianym w rejonie Łowicza odmian: „Fireball”, „Venture”.

„New Yorker” i inne. Klimat, jakby chciał się zrehabilitować za nader niepomysłny rok ubiegły.

Zakłady „Łowicz” zakontraktowały na rok bieżący 8 800 ton pomidorów. Na taką ilość opiewają umowy. Ale już się mówi, że trzeba będzie przyjąć więcej, może 10 000 ton, a może jeszcze więcej. Nawiasem mówiąc, kilka lat temu diablo trudno było zakontraktować nawet parę arów pomidorów, fasolki szparagowej czy truskawek.

Teraz na najbliższym zapleczu „Łowicza” pod kontraktowanymi warzywami aż 750 ha, w tym 437 ha pomidorów. Do tego 206 ha truskawek, a 279 ha sadów. Nic dziwnego, iż zdolności przetwórcze są już całkowicie wyczerpane. Otrzymałyby prawdziwie Zakłady w tym roku na nowe inwestycje dość dużo, bo 44 mln zł, ale środki te wykorzystano na wspomniany już tunel chłodniczy, no i rozbudowę się za nie przyzakładową chłodnię.

Jeszcze parę dni temu zdawało się, że pomidorowej lawiny nie uda się opanować. Dyrektor przetwórni, mgr inż. Janusz Berdowski wprowadził jednak coś, co by można nazwać „stanem wyjątkowym”. Nie ma więc mowy o wolnych sobotach — choć w sierpniu inni korzystali aż z dwu takich sobót — nie ma przerw pracy w niedzielę. Wciąż i owe trzy zmiany, i ciągle dyżury przedstawicieli dyrekcji, specjalistów odpowiadających za surowiec, za jego prawi-

lowe wykorzystanie. Sam dyrektor też zresztą sypia po 3—4 godziny i ledwie powłóczy nogami.

A więc taki sam surowy reżim, jaki narzucają sobie rolnicy podczas zniw. Nie do pomyślenia jakkolwiek przerwa w produkcji. I też by przecież zakłady straciły! W ostatniej dekadzie sierpnia wartość dzienniej produkcji przekraczała 5 mln zł.

Hasło dnia brzmi: wykorzystaj jak najlepiej każdą tonę surowca. Tym bardziej że zobowiązują do tego przynajmniej dotychczas „Łowiczo” 17 znaków jakości i dyplomy w kursie „Do-Ro”. A poza tym zakład jest „pod ostrzałem” dostawców surowca, tysięcy oczu patrzących na to co się w „Łowiczu” dzieje.

Zajrzalem do hal produkcyjnych, a potem do pomieszczeń, gdzie magazynuje się gotowe wyroby. Spodziewałem się złorzece na niedostatek opakowań, bo przecież wiadomo, że z nimi z reguły nie najlepiej. Tymczasem nie padło ani jedno słowo na ten temat. Owszem przydałyby się opakowania ładniejsze, estetyczniejsze, ale dobrze, że są takie. Iż można u nas zdobyć. Warto dać jeszcze jedno: wyraźnie posła naprzód paletyzacja. Gotowe wyroby by tylko w paletach. Opakowania nadchodzą także tylko w paletowych pojemnikach.

Jedna tylko rzecz nie cieszy: zbyt szczupła chłodnia przyzakładowa. Jest już w rozbudowie. Na razie jednak wyroby „Łowicza” wędrują do chłodni składowej w Łodzi i tam

dopiero odbierać je mogą hurtownie. Niewygodne to, zabiera mnóstwo czasu i nade wszystko pociąga za sobą dodatkowe koszty.

Mówią w „Łowiczu”, że to pierwszy właściwie rok owej wyjątkowej obfitości surowca. Nie tylko pomidorów. Dopisały inne warzywa i owoce z wyjątkiem chyba wiśni. Dyrekcja spodziewa się, że wreszcie uda się przekroczyć pod względem wartości rocznej produkcji „zaczarowaną” granicę — 600 mln zł.

Po szczytowym okresie skupu pomidorów, będzie luźniej. Zaczyna się jednak tygodniowy dostaw sliwek, potem zaś przyjdą jabłka. A po sezonie?

Tu, nad Bzurą nie ma sezonu. W miesiącach zimowych urządzenia przetwórcze też nie odpoczywają. Wytwarza się w tym czasie ponad 400 ton konserw warzywno-mięsnych. Niektóre wyroby z tej dziedziny zdobyły sobie już markę na Targach Krajowych w Poznaniu, o czym świadczą liczne dyplomy.

Przy okazji: pomidorowy urodzaj dał o sobie znać nie tylko w rejonie Łowicza. Czy nie wiedzą o tym rady zakładów różnych zakładów pracy? Nigdzie nie spotkałem nikogo, kto by starał się nabycić większą partię pomidorów z przeznaczeniem dla robotników Ursusa, Żerania, Łodzi, Śląska. A szkoda! Szkoda tym większa, że te smaczne owoce nader szybko się psują. A czy zakładom przetwórczym uda się je naleźć w pełni zagospodarować?



Fot. CAF

LUDZIE W BIESZCZADACH

ANDRZEJ POTOCKI

DO BIESZCZADÓW SIĘ WRACA. Wraca swą letnią włością, ukojeniem lasów i przestrzeni, zmęczeniem, samotnością, pragnieniem przeżycia tego raz jeszcze, umocnieniem w przeświadczeniu, że jest się silnym. Wobec tych gór nie można zdobyć się na objętość, wymagając deklaracji jasnej, a jeśli powie się „tak”, to jest się skazanym na nieustanne powroty. Być może właśnie dlatego także o Bieszczadach pisze się wiele. Ta pisanina jest formą powrotu. I być może właśnie dlatego tyle tu powierzchownych sądów, naskórkowych reportaży usiłujących z jednego spostrzeżenia wyłuskać wieloplanowy obraz. Ale tak już jest, że im więcej osobistego stosunku, tym trudniej o obiektywizm.

Naturalnie, wizerunek możliwie najpełniejszy otrzymalibyśmy dopiero dzięki systematycznym badaniom naukowym. Dobrze się zatem stało, że ostatnio ośrodki socjologiczne wykazały żywe zainteresowanie bieszczadzskimi sprawami. Zainteresowanie to jest tym cenniejsze, że przypomina, iż Bieszczady to nie tylko góry i lasy, ale także — i oczywiście przede wszystkim — ludzie. I to oni stanowią o specyfice regionu.

★

„Nigdzie mi lepiej nie będzie jak tu: swoboda, dużo miejsca, spokój”, „Teraz dobre warunki życiowe, jest światło, droga, praca w Polańczyku”, „Wszędzie trzeba pracować, a w mieście źle, tłok, smród z autobusów”, „Widziałam Europę i Afrykę, ale tu jestem zachwycona cieniem bieszczadzkiego buka”, „To co było przed wojną a teraz, to jest Ameryka” — powiadała ludźle.

„Nie ma autobusu, do sklepu po chleb 10 km, to co to za życie?”, „To co głosił w radio, a to co jest, to inny świat!”, „Brak telewizji, kultury, za dużo tu wyrzeczów”, „Żeby tu dał światło, autobus, szkołę, to by się żyło — a tak to tylko uciekać”, „Pracę się wkłada i na nic to wszystko, zboże trzeba kupić i jabłko dla dziecka też”, „Z miejsca bym się chciała przenieść do miasta, do fabryki”, „Powolne konanie w tych Bieszczadach” — mówią inni.

Są więc ludzie, którym w Bieszczadach żyje się dobrze, są i tacy, którym żyje się źle. Spokój, cisza, obcowanie z przyrodą. — to zachęca. Brak wielu podstawowych urządzeń cywilizacyjnych zniechęca innych.

OSADNICY

Postawy są różne, bo i ludzie, którzy przybywali rozpoczynając tu nowe życie, byli bardzo różni. Pierwsi po wojnie to matorni lub bezrolni chłopcy obejmujący gospodarstwa w ramach realizacji reformy rolnej. Do 1950 r. osiedlono tak 112 rodzin — przede wszystkim w wsiach w okolicach Leska. Przybyśże nie okazali się jednak elementem stabilnym i co trzeci porzucił nowe gospodarstwo. Zresztą wtedy nie było tu wcale atrakcyjnie. Bar-

dziej pociągały Ziemię Zachodnią z lepszą glebą, klimatem, zabudowaniami i drogami, ciągnęły nadwyżkę siły roboczej z przeludnionych wsi wielkie inwestycje przemysłowe Planu 6-letniego. Bieszczady musiały być na uboczu.

Ówczesna polityka rolna nie sprzyjała zresztą inwestowaniu w indywidualne gospodarstwa rolne. Akcją osadniczą po 1950 r. osłabła wyrażnie. Ożywiła się w rejonie Ustrzyk Dolnych i Lutowsk od schyłku 1951 r. Usilne starania władz terenowych o napływ jak największej ilości osadników („Jeździł urzędnicy z Ustrzyk i zachwalali”, „Nie mieliśmy pola ni nic, a tu pisali, żeby w Bieszczady jechać” — wspomina ówczesni osiedleńcy) sprawiły, iż gospodarstwa rolne obejmował niejednokrotnie element nieodpowiedzialny, niechący czy nie umiejący pracować w trudnych warunkach bieszczadzkich. Liczne zatem okazywały się przypadki porzucania gospodarstw i wyjeżdżania w inne strony kraju. I może dobrze się stało, że ci pierwsi osadnicy nie siedzieli tu zbyt długo. Nie uczynili bowiem w Bieszczadach nadmiernej ilości faktów dokonanych, od których nie ma już odwrotu. Odchodząc, sami stworzyli szansę przemysłowej osadniczej koncepcji od nowa.

Ożywienie akcji osadniczej przyniósł rok 1957, kiedy w samym powiecie leskim osadzono 110 rodzin, wśród nich zaś około 80 powracających tu ludności miejscowej. Dopiero jednak w następnym roku miały miejsce istotne zmiany organizacyjne osadnictwa bieszczadzkiego i jego wyraźna intensyfikacja.

Od 1958 r. zaczęto sprzedawać gospodarstwa na szczególnie dogodnych dla nabywców warunkach. „Jestem łakomy na hektary. W domu nie było nawet dwa hektary, sprzedaliśmy a za to mogliśmy tu kupić nawet 60 hektarów, ale tyle nie dawał”, „Tu łatwiej dostać działkę. Szukałem pod Warszawą, ale tam za drogie”. Długoterminowe kredyty Banku Rolnego (pożyczka w granicach 300 tys zł) miały okazać się zachętą dla potencjalnych nabywców. Ta akcja szybko przyniosła oczekiwany rezultat, przy czym najkorzystniejszy okazał się rok 1960, w którym sprzedano łącznie w powiatach leskim i ustrzyckim 181 gospodarstw o pow. 1748,53 ha. W następnych latach dało się zauważyć pewien spadek ilości sprzedawanych gospodarstw, każdego jednak roku kilkadziesiąt przechodzi w ręce indywidualnych nabywców. W tym okresie podjęto już akcję osadniczą we wsiach położonych w górskiej

części powiatu Lesko: w Żubraczcu, Strubowiskach, Smereku i Wetlinie.

Ale i osadnicy lat 60-tych okazali się bardzo ruchliwi — ponad 30 proc. spośród nich porzuciło otrzymane gospodarstwa. A ziemię obejmowali niejednokrotnie przybyśże, którzy z rolnictwem nie mieli do tychczas nie wspólnego. „Mąż zakochał się w Bieszczadach i namówił. Nawet na początku nie chciałem. Ale chyba się przyzwyczaje, doś się nauczę”, „Doś mieliśmy wielkiego miasta i życiowego minimalizmu. Sprzedaliśmy mieszkanie i przyjechali tu. To był jakiś romantyzm, chęć pracy dla tych ludzi, wyście naprzeciw ich potrzebom. Byłam szowinistką w prostocie życia, chciałam iść do ludzi”.

SPECYFIKA REGIONU

W warunkach bieszczadzskich nawet dobry rolnik napotyka wiele trudności w prowadzeniu gospodarstwa, a tym bardziej przybyśże nie mający ku temu odpowiedniego przygotowania. Istota tkwi nie w złej glebie, ale w krótkim okresie wegetacji. „Widzi pan, koniec kwietnia a wiosny jeszcze nie widać”. A u schyłku października znowu śnieg leży. Prac polowych nie udaje się czasem doprowadzić przed zimą do końca.

W 1969 r. wprowadzono nieco inne sposoby prowadzenia akcji osadniczej i finansowania gospodarstw. Obok niezbędnego wykształcenia rolniczego zaczęto wymagać od potencjalnych nabywców praktycznej znajomości glebowych, klimatycznych i ekonomicznych warunków regionu Bieszczadów. W związku z tym ograniczono sprzedaż gospodarstw rolnych wyłącznie do rolników pochodzących z podgórskich okolic województw: rzeszowskiego, kieleckiego i krakowskiego. Tu bowiem warunki gospodarowania zbliżone są do bieszczadzskich.

Osadnikowi od początku nie jest łatwo. Bierze kilkanaście hektarów z czego zaledwie część zdalna jest bezpośrednio pod uprawę. Musi odkraczać, karczować, budować. Odległość od punktów zaopatrzenia w materiały budowlane, niedostateczna baza transportowa i brak siły roboczej pogarszają sprawę. „Ja bym w życiu nie przyjechał, jakimś wiesz jak tu będzie. Na budowę człowiek się wyekspluatauje i potem gospodarować już nie ma siły ani pieniędzy”.

Spotyka się niekiedy we wsiach o nowym osadnictwie rolnym — a humorystyczny to zaiste widok — gospodarstwa prosperujące w oparciu o naprędce sklecone budynki czy wręcz budki mieszkalne. Niektóre robią wrażenie rośliny, która uwiedła nim zaczęła kwitnąć. Niekiedy osadnik rozpoczyna budowę od postawienia obory, aby tym samym z miejsca stworzyć warunki dla rozwoju hodowli bydła i uzyska-

nia dochodów. W takiej sytuacji części obory adoptuje tymczasowo na pomieszczenie mieszkalne dla siebie i rodziny. Niezorientowany obserwator mógłby sądzić, że to usiłowanie nawiązania do przeszłości. Przecież Bojkowie wnosili tu niegdyś budynki, w których pod jednym dachem była mieszkalna izba, sieni i obora.

Dzisiejszy jednak osadnik mało się chyba troszczy o kulturowe dziedzictwo. Po prostu taka prowizorka dyktowana jest względami ekonomicznymi. Gdyby zaczął od wznoszenia eleganckiego budynku mieszkalnego, później mógłby mieć kłopoty. Byli i tacy osadnicy, którzy utopiliśy gotówkę w solidnych zabudowaniach nie mieli już pieniędzy na rozwój gospodarstwa: na zakup inwentarza, na poważniejszą mechanizację. Ci, którzy potrafili odejść od tradycyjnych form gospodarowania, przystosować się do specyfiki regionu i właściwie ukierunkować produkcję, uzyskują z samej sprzedaży mleka po kilka tysięcy złotych miesięcznie. Przeciwnie jednak bieszczadzka krowa daje na skup tylko 400 litrów mleka.

O hodowlę woła się głośno. 80—90 sztuk byłaby, 37 trzody chlewniej, 19 owiec na 100 ha użytków w 1975 r. na terenie byłego powiatu bieszczadzkiego. Miejsca i trawy dużo. Jednak nie pasie się cały rok, na zimę trzeba mieć siano, robi się sianokosy i tu właśnie kłopot. Naturalna, słoneczna suszarnia nie wystarcza. „Widoki są cudne ale deszczu za wiele”. Zresztą suszarnie to tylko częściowe rozwiązanie, bo trzeba także postawić odpowiednie pomieszczenia dla tych urządzeń i przede wszystkim dla samych zwierząt.

Choć w ciągu minionego roku oddano do eksploatacji w ówczesnym powiecie bieszczadzkim prawie 4 tys. stanowisk dla bydła, to budynków inwentarskich ciągle jest zbyt mało. Narzeka się też na brak odpowiedniego materiału hodowlanego. To jasne, że nie każde bydło nadaje się w Bieszczady. Podobnie długowielkie owce nie dają sobie rady z deszczem. Welna namaka, owca przegiębia się i ginie. Myśli się o stworzeniu bieszczadzkiego ośrodka zarodowego i szkoleniu kadr. Rusza właśnie w Lesku budowa technikum hodowlanego.

GOSPODARCZE DYLEMATY

Bieszczadzki dylemat gospodarczy trwa. Uprawa nie daje zachęcających rezultatów, hodowla rozwija się z niemałymi zahamowaniami. Ale ludzie w Bieszczadach są. Trzeba dać im podstawy godzkiej egzystencji: zatrudnienie i zarobek. Czy przemysł okaże się tu skutecznym ratunkiem?

Powiedzmy szczerze — przemysł na szerszą skalę w Bieszczadach nie istnieje. W 1972 r. w powiatach leskim i ustrzyckim było ogółem 40 za-

kładów w 25 miejscowościach. A zakłady to niewielkie, lokalne. Pewną pozycję zajmowało tu jedynie od lat kopalnictwo naftowe, aczkolwiek ostatnio daje się zauważyć ograniczenie produkcji — w znacznej mierze ze względu na ubóstwo eksploataowanych złóż. I pamiętajmy oczywiście o Bieszczadzkich Zakładach Przemysłu Drzewnego w Rzepedzi — to już na skraju regionu.

Najpoważniejszą dotychczasową inwestycją była bez wątpienia budowa Zespołu Elektrowni Wodnych „Solina”. Przyczyniła się bardzo do aktywizacji gospodarczej regionu, zwłaszcza terenów w pobliżu zapory. Przy robotach ziemnych przetruciono 1316 tys. m sześć. skal i ziemi. Wymagało to znacznego zaangażowania siły roboczej, jednak robotnicy przybywający wówczas spoza Bieszczadów traktowali ten pobyt jako tymczasowy i odpłynęli wraz z zakończeniem inwestycji. Ale robotników — zwłaszcza tych niewykwalifikowanych — rekrutowano również z okolicznej ludności. Później nastąpiła redukcja zatrudnionych, bowiem przy eksploatacji turbozespołów solńskich wymagana jest wysokokwalifikowana i raczej niewielka grupa pracowników.

Teraz jednak bieszczadzki region otrzymał następną, aczkolwiek znacznie mniejszą, inwestycję: zakład galanterii drzewnej w Lesku. Jego szczególna funkcja polega i na tym, że zatrudniając 250 pracowników stwarza szansę otrzymania pracy przez absolwentów miejscowego szkolnictwa, leśnego.

Znacznie poważniejszą inwestycją — to kombinat drzewny w Ustianowej koło Ustrzyk Dolnych, który zresztą narobił już sporo hałasu także w prasie. Jak to nam te jedne i drugie Bieszczady chcą wyrąbać i zadymić. U podstaw inwestycji tkwi przekonanie o słuszności przerobu drewna na miejscu, bez kosztownego transportu w inne części kraju. Ilość przerabianego drewna szacuje się na około 340 tys. m sześć. w skali rocznej, co jest przerobem orientacyjnie trzykrotnie większym aniżeli zakładów w niedalekiej Rzepedzi.

Jako odpowiedź na niepokoje przed zrąbaniem całych Bieszczadów Okręgowy Zarząd Lasów Państwowych w Przemyslu wskazuje, na podstawie wyczerpania zasobów leśnych, że równoczesna intensywna gospodarka zalesieniowa pozwoli utrzymać powierzchnię leśną w rozmiarach zbliżonych do obecnych. A co z kominami i dymem? „Przez zastosowanie elektrofiltrów wyeliminuje się zadymlenie okolicy” — wskazują budowniczości.

Kombinat zatrudniać ma około 1500 osób, w tym około 10 proc. pracowników umysłowych. Jednak większość zatrudnionych rekrutować się będzie spoza Bieszczadów. W związku z tym założenia techniczno-ekonomiczne inwestycji przewidują budowę osiedla mieszkaniowego w pobliskich Ustrzykach. Planuje się też zatrudnienie pewnej liczby pracowników z okolicznych wsi po uprzednim kilkumiesięcznym przeszkoleniu w innych zakładach drzewnych. I w Bieszczadach ukształtują się zatem typ chłopo-robotnika. Zresztą tutejsi chłopcy już dawno o to wołają.

Czy jednak starczy w kombinacie miejsca dla wszystkich chętnych czy starczy im kwalifikacji przy nowoczesnych maszynach i technologiach? Dziś nie potrafimy jednoznacznie odpowiedzieć na te pytania. Ale miejscowi już się boją, że skoro do kombinatu mają przyjechać ludzie „z Polski”, to co pozostanie do roboty im samym? Czy tylko praca dozorców, kierowców i magazynierów?

Zakład przemysłowy musi mieć zaplecze. W niedługim czasie przewiduje się podwojenie ludności Ustrzyk Dolnych, budowę ujęć wodnych i oczyszczalni ścieków. Ostrożni boją się. „Rozwinąć, ale nie za dużo, bo się zatłoczy i zrobi drugie Zakopane. Jak się zabuduje, to nie będzie nawet gdzie ucieść a na razie jest jeszcze dobrze”. Ale stawiać domy trzeba, bo wynajęcie pokoju w Ustrzykach na dłuższy okres nie jest sprawą prostą.

Bieszczady zatem to rolnictwo, ale nie najlepsze, to przemysł ale nie największy, to wreszcie turystyka, ale niezbyt rozwinięta, skoro gmina Lutowska (będąca z pewnością celem prawdziwych turystów) dysponuje 500 miejscami noclegowymi.

Dla wczasowiczów jest Polańczyk, ale cóż mają robić przybyśże, jeśli poza eleganckimi blokami mieszkalnymi i lasem nie tu nie ma? Ani przyzwyczaję przystani na zalewie ani kina. Dla indywidualnego turysty nie tu jest miejsce Solina zaś swym wyglądem doprawdy niepokoi — ani tu przemysł ani turystyka. Przede wszystkim za dużo bałaganu i brudu.

Ale przynajmniej, że te dzisiejsze 4100 miejsc noclegowych ogólnie to następnych w skali całych Bieszczadów, to z pewnością sukces w porównaniu z tym, co było tu przed 20 laty. Plan są ciekawe: pasmo uzdrowiskowo-wypoczynkowe Rabe-Baligród-Jablonki, pasmo wypoczynkowo-turystyczne Cisna-Ustrzyki Górne-Wolosate i pasmo turystyczno-sportowe w okolicy Stuposian. Zaś najbliższa turystyczna przyszłość należy do harcerzy i ich stanie przy małej i dużej obwodnicy.

OCZEKIWANIA

Na nic jednak obrachunki, bilanse i krzywe wzrostu, jeśliby prowadzono je bez pamięci o ludziach, którym przyszło związać swe losy z losami Bieszczadów. A ludzi tych z roku na rok przybywa. Są zaś chyba ważniejsi od ilości owiec na hektar, i bydlą na metr obory. Co wcale nie znaczy, że ideałem jest liczenie, ilu osadników zmieści się na kilometr kwadratowy, a ile rodzin w jednym gospodarstwie. Co myśli oni sami? Jakie perspektywy dostrzegają dziś bieszczadzcy ludzie, czego spodziewają się po przyszłości i jak widzą w niej swe miejsce?

Marzą o rozwoju regionu: „By żyć jak człowiek i kultura była”, „By można było lepiej dojechać. Teraz to się drecze tu 6 km do autobusu”, „Żeby lepiej było i inne formy rozwoju. Nie taka prowizorka i nastawienie na piwno gospody jak dotychczas”, „Chodzi o silniejszy kontakt ze światem”. Narzekania na brak cywilizacji słyszy się zwłaszcza w miejscowościach położonych nieco wyżej.

Nieobce są względy prestiżowe. Niby Bieszczady mają już swoją sławę, no ale i mogłaby być ona nieco większa: „Jadę do Gdyni, do Warszawy obejrzeć boisko 10-lecia i zwiędzam, to niech inni tak samo tu przyjeżdżają”, „By nie wstydzili się przed turystami, zwłaszcza zagranicznymi”.

Chcą ludzie, by Bieszczadom było dobrze i im samym też. I właśnie dlatego ostrzegają: „Zostawić w tej naturze, bo to chyba jedyne miejsce w Polsce, gdzie można się odprężyć”. Wiza nadciągającego przemysłu niepokoi: „Jeśli przyjdzie przemysł, to Bieszczady zniszczone!” Innych, a tych jest jednak więcej, wizja ta urzeka: „Gdyby tu był przemysł, praca!!!”. Ot, odbicie w samym terenie nieustannych dyalematów z narad gospodarzy województwa.

Kwestia rozwoju regionu ekscytuje wielu. Formuluje się sądy nieraz diametralnie różne, jedni wołają o zakaz wjazdu wszelkich pojazdów już od Leska niemal poczynając, inni propagują masową turystykę autokarową z bogatym zapleczem hotelowo-dancingowo-gastronomicznym (przepraszam, jeśli nieco przekaskawiam owe postulaty) i nawet chyba nie to jest najgorsze. Wielkie sprawy wywoływały zawsze ostre dyskusje. Jeśli dziś takowe się słyszy to znak, że sprawę Bieszczadów uznaliśmy za ważną. I to jest pocieszające najbardziej.

Smucić się naprawdę trzeba tylko zwątpieniem i obojętnością: „Niech tam będzie jak sobie chce, wiele mnie to nie interesuje”, „Obojętność mi to wszystko, bo i tak stąd wyjadę”, „Panie, tu każdy aby forę robić”. Takie wypowiedzi to domena ludzi lasu, robotników hotelowych. Przyjechali na zarobek i liczą się z tym, że wcześniej czy później wyjadą.

Ciągnęli ludzie w Bieszczady i ciągną dalej. Ale zbytnim uproszczeniem byłoby sądzić, że pchała ich tutaj chęć szukania przygód i romantyzm życia. Owszem, byli i tacy, ale dla większości najistotniejszym były względy materialne. Niemal co drugi osadnik rolny przyszł tu, bo mu w rodzinnym gospodarstwie było już za ciasno, a wśród robotników leśnych odsetek ludzi spragnionych większej gotówki okazuje się jeszcze większy. Byli i inni ludzkie sprawy: „Uciekiem od żony”, „W mojej wsi takie swary wśród sąsiadów”, „Bracia namówili ojca na Bieszczady, bo tu jeździł na obozy harcerskie, tu pociągano ich życie kowbojskie”, „Namawiali, głupota przyszła i teraz żal”. Nawet i ci dawniejsi romantycy musieli obniżyć loty w ostrym zderzeniu z codziennością. „Tu utrzymują się tylko stolarze i ludzie” — stwierdzają dzisiaj. Wielu kapituluje. „Dość mam tego bóla, wyjeżdżam i wracam do rodziny”.

I może właśnie dlatego tak wielu boi się o przyszłość swych dzieci. Bardzo wielu ludzi Bieszczadów żyłoby sobie, aby ich dzieci mieszkały gdzie indziej aniżeli tu. Osadnicy rolni narzekają na trudne warunki życiowe. Robotnicy leśni myśnią o własnych stronach rodzinnych, autochtoni o mieście. Najprawdopodobniej znają je słabo, ale rzecz nieznaną urzeka najbardziej: „W mieście lepsze zarobki i zatrudnienie”, „Tam leższe życie i wygody”, „Lepiej żeby dzieci były w mieście. Pracują 8 godzin i spokojnie inne życie, wyjdzie do kina a tu kino widzę?”. Inni wołają: „Nie w mieście bo tam tłocznie”, „By byli na wsi, w rolnictwie, bo to teraz popierane i rolnicy żądni”, „W wielkim mieście zle warunki biologiczne”. Na takie dyalematy nie możemy przymykać oczu i uparcie skandować hasło o dzikich, nietkniętych Bieszczadach. I tylko o takich.

Owszem, Bieszczady są dzikie i dobrze, jeśli takimi pozostaną, ale w Bieszczadach są ludzie, którzy dzikimi być nie mogą. Muszą mieć drogi, pocztę i autobusy, szkołę, bibliotekę i kino. Jeśli tego nie zrobimy, to wypada nam tylko owoch ludzi z Bieszczadów zabrać. Istnieje moralny, poważny obowiązek wobec tych ludzi. Budowali Bieszczady z ambicją i odwagą — do godnych warunków życia mają teraz prawo nie na podstawie naszej społecznej, paternalistycznej łaski ale własnych, niezaprzeczalnych zasług. Jeśli relacjonować im polemiki prasowe dotyczące Bieszczadów i przekonywać o konieczności uczynienia tego regionu rezerwowym, to tylko śmieją się z politowaniem. Oni chcą tu żyć. Co nie znaczy, że tam, gdzie ludzie dotychczas nie ma, trzeba ich pchać na siłę. Nie wszyscy to na dobre tym potencjalnym przybyśzom i samym Bieszczadom.

SPÓŁDZIELCZY EKSPERYMENT

ADAM ZYCH



Fot. CAF

REFORMA władz i administracji terenowej, wywarła istotny wpływ na zmiany organizacyjne w spółdzielczości pracy. W okresie sprzed reformy dominującą formą organizacyjną w spółdzielczości pracy były wojewódzkie związki spółdzielni pracy — natomiast związki o charakterze branżowym miały bardzo niski udział w produkcji spółdzielczej.

Terytorialny układ organizacyjny w poważnym stopniu utrudniał zarządzanie spółdzielniami, głównie z uwagi na olbrzymie zróżnicowanie branżowe, występujące w poszczególnych związkach wojewódzkich. Problem ten pogłębiał się wraz z rozwojem spółdzielczości pracy, stąd też potrzebą zmian organizacyjnych stała się coraz bardziej paląca.

Równoległe do zmian w administracji terenowej, również spółdzielczość pracy wprowadziła reformę organizacyjną, polegającą na przejściu ze struktury terytorialno-branżowej — na strukturę branżową.

W związku z tym — przed nowo zorganizowanymi związkami branżowymi o zasięgu ogólnokrajowym stał się poważny problem wyboru odpowiedniego systemu zarządzania do stosowanego do specyfiki danej branży. W tym zakresie bezpośrednie korzystanie z doświadczeń b. związków wojewódzkich jest bardzo utrudnione z uwagi na wyżej wspomniane zróżnicowanie branżowe. Mimo to należy dokonać analizy pewnych rozwiązań ekonomiczno-finansowych, istniejących w „starej” strukturze organizacyjnej i w wypadku ich pozytywnej oceny — wykorzystywać je w nowych warunkach organizacyjnych.

Szczególną uwagę należałoby poświęcić doświadczeniom płynącym z tzw. eksperymentu „olsztyńskiego”, którym od kilku lat objęta jest część spółdzielczości pracy.

ISTOTĘ zasad eksperymentu „olsztyńskiego” odróżniającą go od metod zarządzania i planowania przyjętych powszechnie w gospodarce narodowej, można właściwie sprowadzić do stosowania stopy zysku jako podstawy oceny działalności spółdzielni. Stopa zysku stanowi, jak wiadomo, stosunek procentowy wyniku bilansowego — (zysku) z całkowitego dochodu — do średniej wartości środków trwałych i obrotowych.

Inne wskaźniki dyrektywne w eksperymentach, takie jak ilości produkcji ważniejszych wyrobów na rynek krajowy lub na eksport, nakłady inwestycyjne powyżej 1 mln zł w robotach budowlano-montażowych — nie odbiegają w swej istocie od podobnych rozwiązań stosowanych w spółdzielczości nie objętej eksperymentem — jak i w przedsiębiorstwach państwowych.

Z FORMUŁY stopy zysku wynika, że w centrum zainteresowania jednostek objętych zasadami eksperymentu „olsztyńskiego” są następujące wskaźniki ekonomiczne:

- zysk bilansowy
- przeciętna wartość środków obrotowych
- przeciętna wartość środków trwałych.

Ponieważ poziom stopy zysku jest wielkością wynikową, zależną od relacji zachodzących pomiędzy powyższymi wskaźnikami, przedsiębiorstwo ma możliwość dokonywania odpowiednich kombinacji między nimi, przy czym odnosi się to zarówno do etapu planowania jak i realizacji zadań.

Istotnym problemem jest ustalenie, jak powinna kształtować się stopa zysku w dłuższym okresie czasu. W tym względzie zasady eksperymentu przewidywały słuszne, moim zdaniem, rozwiązania, że wskaźnik stopy zysku w roku planowanym nie może być niższy — od wskaźnika osiągniętego w roku bazowym. Rozwiązanie to uniemożliwia przedsiębiorstwu pogorszenie relacji między zyskiem bilansowym, a wartością zaangażowanych środków trwałych i obrotowych.

Tak więc jeśli kierownictwo spółdzielni zamierza rozszerzyć produkcję drogą inwestycji — musi w rachunku ekonomicznym uwzględnić fakt, że z tego tytułu nastąpi wzrost wartości środków trwałych i jeśli nie zostanie on zrównoważony odpowiednim przyrostem zysku, to wówczas poziom stopy zysku ulegnie pogorszeniu.

Stąd też stopa zysku wywiera silny nacisk w kierunku podejmowania przedsięwzięć inwestycyjnych szybko rentujących, o krótkich okresach zwrotu poniesionych nakładów.

Podobna sytuacja istnieje w odniesieniu do środków obrotowych. Również w tym wypadku przedsiębiorstwo może sobie założyć w planie

finansowym przyrost normatywy środków obrotowych (o ile pozwalają na to środki własne w obrocie tj. głównie fundusz udziałowy i zasobowy) jednak zasada nie pogorszenia stopy zysku wyznacza z góry granicę, do której jest możliwy przyrost tego normatywu.

W ten sposób w warunkach eksperymentu udało się powiązać problematykę zasobów z podstawowym wskaźnikiem ekonomicznym, co jest bezspornie największą zaletą eksperymentu. Zmusza to kierownictwo spółdzielni do ciągłego czuwania nad problematyką zasobów — zwłaszcza materiałowych i szukania sposobów ich optymalizacji — drogą przyspieszenia rotacji czy też upłynienia zasobów.

W tych warunkach usprawnienia na odcinku gospodarki zasobami — nie są efektem sporadycznie podejmowanych działań, lecz wynikiem systematycznej pracy szerokiego aktywu pracowników przedsiębiorstwa. Powyższe względy mają szczególne znaczenie w spółdzielniach branży odzieżowej, gdyż ok. 85 proc. kosztów własnych w tej branży stanowią materiały, co powinno stawać gospodarkę materiałową na pierwszym miejscu w całokształcie problematyki ekonomiczno-finansowej przedsiębiorstwa.

INNĄ z celów — jaki postawiono przed eksperymentem „olsztyńskim” jest obniżka kosztów własnych przedsiębiorstwa. Mimo, że realizacja tego zadania nie jest możliwa bezpośrednio poprzez formułę eksperymentu, to jednak formuła ta (stopa zysku) pośrednio wywiera silny wpływ na koszty własne przedsiębiorstwa w wyniku czego tworzenie dodatkowych mechanizmów i kryteriów w zakresie kosztów — jest rzeczą złą.

Oddziaływanie na koszty własne odbywa się poprzez zysk bilansowy, którego wielkość zależy w głównej mierze od poziomu kosztów: im mniejsze koszty — tym większy zysk i na odwrót — każdy dodatkowy wzrost kosztów pomniejsza wielkość zysku.

Należy jednak podkreślić, że stwierdzenie to odnosi się nie do całości kosztów własnych przedsiębiorstwa, a jedynie do kosztów przerobu (konfekcjonowania). W zakresie tej grupy kosztów — Spółdzielnia ma z góry określony górny pułap jednostkowych kosztów przerobu w po-

staci tzw. ceny konfekcjonowania, od której nalicza się zysk. Działanie zmierzające w kierunku obniżenia jednostkowego kosztu przerobu poniżej ceny konfekcjonowania jest więc dla przedsiębiorstwa bardzo opłacalne, gdyż oznacza ono osiągnięcie dodatkowego zysku.

Natomiast brak jest oddziaływania zysku na obniżkę kosztów materiałowych — co wynika głównie z metodyki opracowywania kalkulacji cenowych w branży odzieżowej. Kalkulacje te są opracowywane indywidualnie dla poszczególnych zleceń produkcyjnych i wielkość zużytych materiałów znajduje bierne odzwierciedlenie w cenie gotowego wyrobu. Tak więc z punktu widzenia zysku przedsiębiorstwo odzieżowe nie jest zainteresowane w obniżce zużycia materiałów — czy też w zastępowaniu materiałów o wysokiej cenie — materiałami tańszymi.

Na marginesie należy zauważyć, że system opracowywania kalkulacji cenowych w branży odzieżowej wpływa również na brak bodźców zastosowania i wprowadzenia postępu technicznego, zmierzającego do obniżki kosztów materiałowych, chociaż możliwości na tym odcinku są dość ograniczone.

WŚRÓD zalet eksperymentu „olsztyńskiego” należy również wymienić prostotę jego zasad, zrozumiałość nawet dla pracowników spoza służb finansowo-księgowych. Jest to moment o dużym znaczeniu nie tylko ekonomicznym, ale i wychowawczym — gdyż docierając do szerokiego kręgu pracowników wyrabia w nich racjonalny i społecznie uzasadniony sposób myślenia, dzięki czemu mogą oni czynnie uczestniczyć w zarządzaniu przedsiębiorstwem.

Odnosi się to szczególnie do kwestii zasobów materiałowych, gdyż ich optymalizacja i minimalizacja zależy w dużej mierze od stałego współdziałania możliwie jak największej liczby członków załogi a nie tylko okresowego angażowania wąskiej grupy pracowników.

O BOK stopy zysku, która jest miernikiem oceny za dłuższe okresy sprawozdawcze (kwartał, rok) — drugim podstawowym miernikiem stosowanym w warunkach eksperymentu — jest wartość sprzedaży w cenach zbytu.

Należy jednak stwierdzić, że stosowanie tego miernika jako wskaźnika dyrektywnego dla spółdzielni odzieżowych budzi poważne zastrzeżenia w konfrontacji z zasadami eksperymentu „olsztyńskiego”, które wśród wskaźników dyrektywnych przewidują m. in. ilość produkcji ważniejszych wyrobów przeznaczonych na zaopatrzenie rynku krajowego lub na eksport, natomiast w przypadkach uzasadnionych różnorodnością wyrobów można w miejsce ilości stosować wartość sprzedaży. Jednak ten przypadek w odniesieniu do spółdzielni odzieżowych nie ma zastosowania gdyż asortyment produkcji jest w nich bardzo wąski i stąd nie zachodzi konieczność stosowania miernika wartościowego. Mimo to praktyka wykazała, że miernik sprzedaży w cenach zbytu stosowany jest powszechnie w odniesieniu do spółdzielni odzieżowych, a z jego realizacją kierownictwo spółdzielni jest ściśle rożliczane.

Wobec powyższego w ocenie eksperymentu należy również uwzględnić zalety i wady stosowania miernika sprzedaży w cenach zbytu — mimo, że przepisy eksperymentu takiego miernika — jako dyrektywny w zasadzie nie przewidują.

W warunkach eksperymentu wszystkie wskaźniki ekonomiczne, w tym również i sprzedaż — należy jednak oceniać z punktu widzenia miernika podstawowego tzn. stopy zysku. Aby więc ocenić pozytywnie stosowanie miernika sprzedaży jako wskaźnika dyrektywnego — należałoby wykazać, że każdy przyrost sprzedaży powoduje korzystne zmiany w tych miernikach, które kształtują stopę zysku. Wówczas stosowanie miernika sprzedaży byłoby dodatkowym wzmocnieniem dla miernika podstawowego i w niczym nie przeszkadzałoby w osiągnięciu celów postawionych przed eksperymentem.

Praktyka spółdzielczości odzieżowej wykazuje jednak, że plany (dyrektywy) na odcinku sprzedaży w cenach zbytu są bardzo napięte w stosunku do możliwości poszczególnych spółdzielni. Stąd też realizacja wartościowego planu sprzedaży staje się poważnym problemem, zwłaszcza, że od tego wskaźnika zależy niejednokrotnie premia dla kierownictwa spółdzielni.

Najprostszy i niestety często stosowany sposób wzrostu sprzedaży jest produkcja wyrobów z drogiej materiałów podstawowych (tkanin) i pomocniczych (dodatki). Ponieważ każda partia wyrobów jest kalkulowana odrębnie — zastosowanie drogich materiałów podwyższa automatycznie cenę gotowego wyrobu, a tym samym wielkość sprzedaży. Tak więc podstawowym kryterium

wyboru asortymentu w rachunku ekonomicznym dokonywanym przez kierownictwo spółdzielni jest cena materiałowa, przy czym, im cena ta jest wyższa, tym chętniej Spółdzielnia podejmuje się danej produkcji. Natomiast na dalszy plan schodzą istotne zagadnienia związane z kosztami własnymi poszczególnych wyrobów, a więc z tym elementem, który w decydującym stopniu wpływa na wielkość zysku. Okazuje się bowiem, że w wielu przypadkach stosunek zysku jednostkowego do kosztu własnego czyli rentowności jest wyższy przy produkcji wyrobów z niedrogiem tkanin niż w przypadku droższych. Z punktu widzenia wskaźnika podstawowego — spółdzielnia powinna więc produkować wyroby tańsze, gdyż tym samym pozwoliłoby to jej na osiągnięcia wyższej stopy zysku. Jednak nacisk wartościowego planu sprzedaży nie pozwala na tego typu produkcję, gdyż asortyment jest determinowany w kierunku wytworzenia artykułów drogiej.

Najczęściej kierownictwo spółdzielni nie jest nawet zainteresowane w przeprowadzeniu szczegółowego rachunku ekonomicznego, gdyż i tak nie dokonałoby zmian asortymentowych.

W skali ogólnej konsekwencją nacisku wartościowego planu sprzedaży jest niedobór wyrobów odzieżowych z niedrogich tkanin i dodatków, co ma miejsce m. in. w przypadku ubrań męskich. Mimo, że w niektórych regionach odczuwa się poważne zapotrzebowanie na tanie ubrania z elany 30-procentowej (tzw. trzydziestki) producenci ubiorów nie kwapią się z podejmowaniem produkcji tych ubrań, gdyż z punktu widzenia realizacji wskaźnika sprzedaży w cenach zbytu — jest to produkcja nieopłacalna.

Dyrektywny wskaźnik sprzedaży w cenach zbytu wpływa również na brak zainteresowania poszczególnych spółdzielni w przyjmowaniu zamówień eksportowych, polegających na tzw. obrocie uszlachetniającym — czyli na wykonawstwie wyrobów z materiałów stanowiących własność kontrahenta zagranicznego. Duże możliwości realizacji tego typu kontaktów rysują się obecnie zwłaszcza w odniesieniu do krajów wysoko uprzemysłowionych.

Z podobnych względów „bardziej opłacalne” dla przedsiębiorstwa jest wykonywanie wyrobów w produkcji masowej niż w usługach — mimo że rentowność w usługach jest na ogół znacznie wyższa niż w produkcji taśmowej. Jednak wydajność mierzona w cenach zbytu — jest znacznie niższa w usługach niż w produkcji taśmowej, stąd też kierownictwa poszczególnych spółdzielni preferują głównie rozwój tej ostatniej.

Poważną zaletą miernika sprzedaży w cenach zbytu — jest możliwość szybkiego ustalenia jego wartości i dlatego nadaje się on do bieżącej oceny działalności przedsiębiorstwa — dokonywanej zarówno przez kierownictwo spółdzielni jak i jednostkę nadzorną. Jednak tą samą zaletą cechuje się w branży odzieżowej inny miernik, a mianowicie wartość sprzedaży w cenach konfekcjonowania. Poziom tego wskaźnika zależy prawie wyłącznie od ilości wyprodukowanych wyrobów, którą przemawia się przez ustaloną dla spółdzielni ogólnie i na dłuższy okres czasu cenę konfekcjonowania.

Tak więc rodzaj i cena użytych materiałów nie odgrywa przy tym mierniku żadnej roli; z punktu widzenia ceny konfekcjonowania równie opłacalne jest wytwarzanie wyrobów z drogiej jak i tanich materiałów. Przejście od rozliczenia spółdzielni odzieżowych ze sprzedaży w cenach zbytu, na sprzedaż w cenach konfekcjonowania stworzyłoby odpowiednie warunki, a nawet konieczność stosowania w szerokim zakresie rachunku ekonomicznego, uwzględniającego całokształt problematyki związanej z kosztami wytwarzania i sprzedaży.

Przy takim wskaźniku bardzo opłacalne staje się np. wytwarzanie wyrobów w obrocie uszlachetniającym — z uwagi na możliwość produkcji bez angażowania własnych środków obrotowych. W sytuacji braku nacisku miernika sprzedaży w cenach zbytu — spółdzielnia w większym stopniu preferuje rozwój usług z uwagi na wyższą rentowność jak i możliwość wykonywania produkcji z materiałów powierzchniowych.

Podsumowując wydaje się, że stosowanie miernika stopy zysku w spółdzielniach odzieżowych należy ocenić pozytywnie. W związku z tym powstaje problem możliwości i celowości dalszego stosowania tego miernika z chwilą przejścia spółdzielczości pracy na zasady nowego systemu ekonomiczno-finansowego, co ma nastąpić z dniem 1.1.1976 r.¹⁾

Zasady „eksperymentu olsztyńskiego” w istotny sposób odbiegają od założeń nowego systemu. O ile w warunkach eksperymentu główny nacisk położony jest na racjonalną gospodarkę zasobami, o tyle nowy system ekonomiczny uwzględnia przede wszystkim właściwą gospodarkę funduszem plac w powiązaniu z produkcją dodaną.

Wydaje się jednak, że z uwagi na ciężar gatunkowy problematyki zasobów w branży odzieżowej, jak również na fakt, że przecież właściwa gospodarka zasobami wpływa pośrednio na powstawanie oszczędności społecznego funduszu plac, tyle tylko, że wydatkowanego w innych przedsiębiorstwach — utrzymanie w nowym systemie stopy zysku jako jednego z podstawowych wskaźników oceny działalności w spółdzielczości przemysłu odzieżowym — jest ze społecznego punktu widzenia w pełni uzasadnione.

Natomiast negatywnie należy ocenić stosowanie miernika sprzedaży w cenach zbytu, w związku z czym korzystne byłoby przejście w tym zakresie na wartość sprzedaży w cenach konfekcjonowania.

Na podkreślenie zasługuje tu fakt, że sprzedaż w cenach konfekcjonowania jest częścią składową produkcji dodanej, a jej udział w tej produkcji wynosi ok. 65 proc. W związku z tym stosowanie miernika sprzedaży w cenach konfekcjonowania w miejsce produkcji dodanej — byłoby w pełni zgodne z ogólnymi założeniami nowego systemu ekonomiczno-finansowego i w poważnym stopniu usprawniłoby system zarządzania w spółdzielczości odzieżowej.

¹⁾ T. Kirst: Zasady nowego systemu ekonomiczno-finansowego w spółdzielczości pracy — „Spółdzielczość Pracy” — Nr 26/75.



**PRZEDSIĘBIORSTWO
TRANSPORTOWO-SPRZĘTOWE
BUDOWNICTWA**

transbud Warszawa

**ODDZIAŁ ZAPLECZA TECHNICZNEGO
Warszawa, Al. Krakowska 61**

odprzeda z nadwyżek

**— części zamienne do samochodów: „Skoda” 706
RT i pochodne,**

„Zil” 164, „Zil” 130 i pochodne,

„Star” 25, 27, 66 i pochodne

„Tatra” 111, 138 i pochodne

**Informacji udziela Wydział Gospodarki Materiałowej,
telefon 46-30-61 w. 182; w godz. 7—15.**

K-23-0



Fot. CAF

PODRÓŻE DO SZKÓŁ

HANNA POLEWSKA-DOROZIK

CODZIENNE podróże uczniów do szkoły to nowe zjawisko w życiu wsi. Zostało ono spowodowane przede wszystkim reorganizacją szkolnictwa podstawowego, polegającą na likwidacji małych szkół wiejskich i tworzeniu zbiorczych szkół gminnych. Słuszne założenia reformy są jednym z warunków unowocześniania oświaty na wsi. Mają na celu podniesienie poziomu nauczania w szkołach wiejskich oraz zapewnienie równego startu życiowego i społecznego młodzieży wiejskiej i miejskiej.

Reorganizacja spowodowała jednak, na skutek rozszerzenia zasięgu wpływu szkół zbiorczych, wzrost odległości oraz zwiększenie liczby podróży do szkoły. Jeżeli przed zmianami systemu oświaty, w roku szkolnym 1970 dojeżdżało tylko 1 proc. uczniów podlegających obowiązkom szkolnemu, to na półmetku zmian w szkolnictwie w roku 1975 dojeżdżało już 10 proc. ogółu uczących się, co stanowi prawie pół miliona dzieci. Przewiduje się, że pod koniec przeprowadzanej reorganizacji szkolnictwa podstawowego za 2 lata liczba podróżujących uczniów przekroczy milion. Do tej liczby należy dodać jeszcze młodzież dochodzącą do okresowo dojeżdżającą z internatów i stacji, którą określa się na około

10 proc. zamieszkujących poza miejscowością nauczania. Pół miliona dojeżdżających aktualnie do szkół podstawowych — to nowy problem, jaki powstał przed transportem w zakresie zapewnienia przewozu i sprawnej jego organizacji oraz bezpieczeństwa na drogach.

DROGA DO SZKOŁY

Waga problemu podyktowała konieczność przeprowadzenia kompleksowych badań, które wskazałyby na istniejące niedociągnięcia w przewozach uczniowskich oraz nakreśliły kierunki racjonalnego rozwiązania tego problemu.

Badania przeprowadzone zostały przez Instytut Transportu Samochodowego na dawnym terenie dwóch województw: poznańskiego i szczecińskiego. W województwie poznańskim reorganizacja szkolnictwa zwiększyła odległość z domu do szkoły dla 8 proc. młodzieży średnio o 3 km (wydłużyło to czas podróży przeciętnie o 12 minut). Jeszcze większy wpływ zaznaczył się w województwie szczecińskim, gdzie droga ucznia do szkoły wydłużyła się dla 24 proc. młodzieży o 3,4 km, a czas podróży aż o 24 minuty.

Jako zasadę przy reorganizacji szkolnictwa przyjęto, aby czas w re-

lacji dom — szkoła — dom nie przekraczał 1,5 godz. Podobnie określa się go w innych krajach, gdzie przyjmuje się, że nie powinien być dłuższy aniżeli 8—12 proc. czasu zajęć w zależności od klasy. Przeprowadzone badania wykazały, że czas podróży uczniów jest często znacznie dłuższy od ustalonych limitów i przekracza nawet godzinę w jedną stronę. Dzieje się tak nie tylko w przypadku znacznego oddalenia szkoły od miejsca zamieszkania, ale i gdy dowóz do szkoły zorganizowany jest w sposób nieodpowiedni.

O ile przewozy uczniowskie, dokonywane systemem zorganizowanym tj. wynajętym przez szkołę autobusu lub przyczepą z ciągnikiem, pochłaniają mniej czasu, to młodzież korzystająca z komunikacji regularnej, rowerów albo furmanki traci go znacznie więcej.

Dowóz do szkoły systemem zorganizowanym, a szczególnie wynajętym autobusem odbywa się pod opieką nauczyciela, zapewnia tym samym większe bezpieczeństwo wyklucza też niepewność czy uda się wsiąść do pojazdu, eliminuje jazdę w tłoku. Nie wszyscy jednak uczniowie mogą korzystać z tej formy przewozu. Tak zwanymi szkolnymi autobusami podróżuje około 35 proc., a środkami lokomocji PGR i kółek rolniczych, dalsze 13 proc. dojeżdżających do

szkół podstawowych. Trzeba tu jednak dodać, że środek przewozowy, jakim jest ciągnik z przyczepą, nie zawsze daje wystarczającą gwarancję bezpieczeństwa, nie mówiąc już o komforcie jazdy, szczególnie w okresie zimowym. Brak przejeżdżających dla autobusów powoduje jednak, że jest on często jedynym dostępnym dla uczniów środkiem lokomocji.

Półowa młodzieży nie korzysta ze zorganizowanego dowozu i jest — jak dowiodły badania — narażona na znacznie gorsze warunki podróży, a szczególnie wczesnego wstawania, późnego powrotu do domu, spóźniania się na lekcje oraz opuszczania zajęć, kiedy wypadnie kurs autobusu, lub nie da się wsiąść do środka. Autobus nie zabiera np. w dni targowe części lub wszystkich uczniów, oczekujących na przystanku w drodze do domu, mimo że każdy bilet miesięczny obowiązuje na określony kurs. Obsługa autobusów nie zawsze jednak może lub chce wpłynąć na dorosłych pasażerów, którzy nierzadko kosztem dzieci zajmują miejsca w autobusie.

Jazda w tłoku, trudności z wejściem i wyjściem małych dzieci z autobusu dezorganizują codzienną jazdę uczniowską do szkół, czynią ją bardzo uciążliwą, co gorsze — niebezpieczną. Dlatego władze

szkolne oraz jednostki administracji terenowej starają się we własnym zakresie organizować dowóz do szkół. Niektóre rady narodowe zakupują własny tabor: mikrobusy czy autobusy, którymi operatywnie dysponują w zależności od potrzeb.

Szkoły korzystają też — jak już wspominałem — z ciągników z przyczepami, stanowiących najczęściej własność PGR lub kółek rolniczych, autobusów będących własnością różnorodnych instytucji i zakładów pracy, a nawet furmanki prywatnych właścicieli.

Jeśli jednak szkoła nie znajduje się na szlaku komunikacji regularnej, a kierownictwo nie potrafi zapewnić dowozu środkami lokomocji innych jednostek gospodarczych, dzieci zmuszone są pokonywać drogę do szkoły pieszo, nierzadko ze znacznych odległości.

cyjnych oraz sporządzać dla PKS wykazy uczniów wsiadających na poszczególne przystanki, kierowców można wówczas zobowiązać do zabierania wymienionych dzieci. Dodatkowa praca związana z opieką nad dziećmi powinna być zresztą wynagradzana ustalonymi ryczałtami dla nauczycieli i kierowców, co proponowane jest w Uchwale Rady Ministrów, dotyczącej organizacji dowożenia uczniów do szkół.

W trosce o zwiększenie bezpieczeństwa podróżujących uczniów wskazane jest również wprowadzenie obowiązkowego przedmiotu traktującego o przepisach ruchu drogowego już dla uczniów klas I, którzy są najbardziej narażeni na wypadki.

Warta upowszechnienia jest też inicjatywa koszańskiego WPPKS, polegająca na wprowadzeniu syste-

Odległość	województwo poznańskie		województwo szczecińskie	
	sz. zbiorcze	sz. pozostałe	szk. zbiorcze	sz. pozostałe
2 — 4 km	85,01	97,01	83,31	93,28
4 — 6 km	4,16	2,44	5,75	6,13
pow. 6 km	0,83	0,55	0,94	0,59
razem	100,00	100,00	100,00	100,00

Większość uczniów dochodzi do szkoły w granicach do 4 km, zdarzają się jednak wypadki pokonywania pieszo ponad 4 a nawet 6 km w jedną stronę. Przyjmując, że czas dojazdu na odległość 1 km wynosi 15 minut, uczeń mający ponad 6 km z domu do szkoły traci przeszło 1,5 godziny w jedną stronę tj. ponad 3 godz. dziennie. Niezależnie od strat czasu jest to ogromny wysiłek fizyczny, szczególnie duży przy niekorzystnych warunkach atmosferycznych.

Trudny, związany z drogą do szkoły, nie sprzyjający prawidłowemu procesowi dydaktyczno-wychowawczemu. Młodzież dojeżdżająca lub dochodząca na podstawie badań ITS powtarza klasę dwukrotnie częściej aniżeli ogół kształcących się uczniów. Wyższa o prawie 100 proc. jest też liczba spóźnień i absencji młodzieży zamieszkującej w stosunku do nieobecności i spóźnień ogółu uczniów.

KONIECZNOŚĆ WSPÓŁPRACY

Dowożenie dzieci nie stanowi więc na razie spójnego systemu, sprawnego organizacyjnie, zapewniającego codzienną jazdę do szkoły, gwarantującą zarazem bezpieczny przejazd i opiekę wychowawczą. Dzieje się tak na skutek niedostatecznej współpracy jednostek oświaty, administracji terenowej i przewoźnika publicznego. Właściwe zorganizowanie dowozu wymaga przede wszystkim określenia obowiązków zainteresowanych stron.

Wiadomo przecież, że zróżnicowanie godzin rozpoczęcia pracy, prowadzący do „spłaszczenia” szczytu przewozowego. Ułatwia to też porę tradycyjne rozpoczęcie zajęć szkolnych o godzinie ósmej. Przesunięcie rozpoczęcia lekcji nawet o kilka minut do godziny pozwoliłoby niekiedy skierować autobusy z przewozu pracowników do przewozów uczniowskich. Nie wszędzie postulat ten jest respektowany, ale tam, gdzie dostosowano się do niego, znacznie poprawiły się warunki podróży. Potrzebna jest tylko dobra wola szkół, jak również zapewnienie przez nie warunków oczekiwania dzieci na autobus z możliwością odrobienia lekcji, spożycia posiłku itp.

W województwie poznańskim nauczyciele zostali zobowiązani przez tamtejsze kuratorium do przebycia drogi, jaką codziennie pokonują uczniowie z domu do szkoły. Na tej podstawie można postulować uruchomienie nowych połączeń komunika-

mu bezbiletowego. Uczniowie dojeżdżający zamiast biletów miesięcznych mają specjalne znaczki w kształcie tarczy. Rozliczenie za dowóz dokonuje się w formie przelewu między szkołą a PKS. Upraszczają to zakup biletów zarówno dla ucznia, jak i przewoźnika oraz szkoła a także ułatwia „wyłowienie” uczniów z grona oczekujących na przystanku.

Aktualnie, ze względu na niewystarczającą zdolność przewozową PKS należy szukać rezerw w poprawie organizacji przewozów i dysponowania taboru autobusowym z przeznaczeniem ich na przejazdy uczniowskie PKS i MPK skupiają 60 proc. autobusów, natomiast reszta pozostaje w dyspozycji innych przedsiębiorstw nietransportowych. Przedsiębiorstwa te mogłyby przejąć w razie rezerw czasowych przekazywać PKS autobusy dla przewozu dojeżdżających uczniów. Można też, chcąc bardziej efektywnie wykorzystać tabor autobusowy, połączyć umowne przewozy pracownicze z przejazdami uczniowskimi. Obserwuje się bowiem, że wynajęty przez jakiś zakład autobus wraz z kierowcą po dowiezieniu i odwiezieniu pracowników cały dzień jest wykorzystany. Właśnie w okresach „luzu” można przeznaczyć tabor do dowozu dzieci do szkół.

Od przewoźnika publicznego należałoby oczekiwać też poprawy punktualności, pewności istniejących połączeń regularnych oraz maksymalnego dostosowania rozkładu jazdy do postulatów szkół, jak również wprowadzenie w większym zakresie przewozów „zamkniętych” lub z przyczepami w ramach komunikacji rozkładowej.

Ważną rolę w przewozach uczniowskich spełniają jednostki administracji terenowej tj. urzędy gminne i wojewódzkie, na które w związku z nowym podziałem administracyjnym i likwidacją powiatów spadł obowiązek koordynatora i organizacji dojazdów, zwłaszcza wtedy, gdy nie może wykonać ich PKS.

Jest to zadanie bardzo istotne. Nowe szkoły zbiorcze, nawet doskonale wyposażone, realizujące nowe programy nauczania i dysponujące wysoko kwalifikowaną kadrą pedagogiczną niewiele zdziałają, jeśli młodzież do tych szkół nie będzie mogła regularnie dojeżdżać. I dlatego właśnie organizacja przewozów uczniowskich wymaga jak najszybszego uregulowania, dostosowanego do konkretnych szczegółowo rozpoznanych warunków każdego regionu kraju.

MIĘDZY DWOMA POTENTATAMI

TADEUSZ GORZKOWSKI

PO niecałej godzinie jazdy po ciąg pociągów z Łodzi zatrzymuje się na stacji w Skierniewicach. O tym, że znajdujemy się już w stolicy nowego województwa, informuje nas nazwa tego miasta uformowana... z pustych oprawek po żarówkach, umieszczona na desce zawieszanej na froncie budynku dworca kolejowego.

Województwo skierniewickie powstało z północno-wschodnich rejonów województwa łódzkiego, z powiatów skierniewickiego, łowickiego i części powiatu brzezińskiego oraz z południowo-zachodnich terenów województwa warszawskiego, tzn. z powiatu sochaczewskiego, części powiatu rawskiego-mazowieckiego i miasta wydzielonego Żyrardowa. Obejmuje ono 3975 km kw. (1,3 proc. obszaru Polski), na których znajduje się 37 gmin (w tym 2 miejskie) oraz 7 miast: Brzeziny, Chodaków, Łowicz, Rawa Mazowiecka, Skierniewice, Sochaczew, Żyrardów. Ludność liczy 388,3 tys. mieszkańców, z których 233,2 tys. zamieszkuje na wsi, a 155,1 tys. w miastach.

Województwo ma charakter rolno-przemysłowy; na 216 tys. osób czynnych zawodowo, 109 tys. pracuje w rolnictwie (przeciętnie 33 osoby

na 100 ha użytków rolnych), a 107 tys. poza rolnictwem. W przemyśle zatrudnionych jest 40 tys. osób, co w stosunku do ogółu zatrudnionych w gospodarce upośledzonej poza rolnictwem stanowi 43 proc.

BAZA ŻYWNOŚCIOWA

Dalsza przyszłość województwa skierniewickiego nie jest uzależniona wyłącznie od maksymalnego wykorzystania istniejącego na jego terenie potencjału przemysłowego. Drugim czynnikiem rozwoju tego regionu jest rolnictwo. Ma on bowiem wszelkie dane, aby stać się poważnym zapleczem żywnościowym dla sąsiadujących z nim dwóch aglomeracji miejskich: łódzkiej i warszawskiej.

Skup żywea ogółem z 1 ha użytków rolnych w przeliczeniu na mięso osiąga tam blisko 100 kg, a skup mleka ok. 600 litrów. Przy czym w obu przypadkach istnieją poważne nie wykorzystane jeszcze rezerwy zarówno w obsadzie bydła, jak i trzody chlewnej na 100 hektarów użytków rolnych. Województwo to dysponuje także poważnymi plantacjami sadów owocowych — ponad 11 tys. hektarów i stosunkowo dużym arealem upraw warzywniczych

— ponad 3,7 tys. hektarów. Dla rozwoju tych upraw rejon ten posiada szczególnie korzystne warunki w postaci znanych w kraju i za granicą, ze swych osiągnięć placówek naukowych-badawczych: Instytut Sadownictwa i Instytut Warzywnictwa.

Pomyślano więc o wykorzystaniu tej bazy żywnościowej i przystąpiono w tym celu do odpowiednich inwestycji. Należą do nich: budowa kombinatu mięsnego w Rawie Mazowieckiej, proszkowni mleka w Skierniewicach, rozbudowa chłodni i zamrażalni w Łowiczu oraz budowa 10 wielkich szklarni (3,6 ha pod szkłem) dla Instytutu Warzywnictwa w Skierniewicach.

I tu dochodzimy do pierwszych poważnych trudności, z jakimi boryka się to województwo. Budowa kombinatu mięsnego, przewidzianego do oddania do ruchu w marcu przyszłego roku, jest opóźniona. Od początku tego roku w każdym miesiącu notuje się niewykonanie planów produkcji budowlano-montażowej. W okresie minionego półroczu nie wykorzystano 7 mln zł z przewidzianej na ten okres sumy nakładów inwestycyjnych. Przyczyny? Brak dostatecznej ilości zmechanizowanego sprzętu i niedostatków w zatrudnieniu. Obserwuje się również nie zawsze właściwą organizację robót.

Zupełnie odmienna sytuacja istnieje natomiast na budowie proszkowni mleka. Dotychczasowy przebieg jej realizacji oraz obserwowane tam dobre tempo robót, gwarantują, że ten obiekt będzie zakończony w całości pod koniec bieżącego roku, w więc zgodnie z planem.

Podobnie ważną inwestycją jest rozbudowa chłodni i zamrażalni należącej do Zakładów Przemysłu Owocowo-Warzywniczego w Łowiczu. Niestety, dotychczasowy stan jej zaawansowania i niedostateczne zatrudnienie u generalnego wykonawcy, wrocławskiego „Mostostalu”, nie rokują oddania tych obiektów do eksploatacji w tym roku. Z kwoty 42 mln zł przeznaczonych na ich realizację, wykorzystano zaledwie połowę.

Poważne opóźnienia występują także na budowie szklarni Instytutu Warzywnictwa.

GENERALNE ODSTAWIANIE

Ale nie tylko niedostateczny stan zaawansowania wspomnianych obiektów trapi władze województwa skierniewickiego. Znacznie większe trudności sprawia zarówno tym władzom jak i ludności miast tego regionu niedostateczny rozwój całej infrastruktury społecznej. Mówi kierownik Wydziału Ekonomicznego KW PZPR w Skierniewicach, FRANCISZEK WIRSKI:

— W naszych miastach notujemy brak znacznej ilości obiektów handlowo-usługowych, gastronomicznych, hoteli, kin, żłobków itp. Tylko 53,3 proc. mieszkańców korzysta z sieci wodociągowej, a 44,5 proc. z kanalizacyjnej. W żadnym z miast nie ma komunikacji miejskiej. Stolica

województwa, miasto o 26,5 tys. ludności, ma tylko jedną restaurację, jedno mizerne kino i nie ma hotelu. Jako województwo odstajemy pod względem zasobów infrastruktury chyba od wszystkich innych.

— *Drugim niezwykle ważnym problemem — mówi dalej FRANCISZEK WIRSKI — jest niedostateczny rozwój budownictwa mieszkaniowego, a zarówno nasze miasta jak i wieś odznaczają się wysokim wskaźnikiem zaspokojenia mieszkań — 1,55 osoby na jedną izbę, podczas gdy w kraju ten wskaźnik wynosi średnio 1,31 osoby. Mamy co prawda nie dawno wybudowaną fabrykę domów w Żyrardowie i wytwórnię OWT w Skierniewicach, jednak ich produkcja nie jest przeznaczona wyłącznie na zaspokojenie potrzeb naszego województwa. W dodatku nie dysponujemy własnym przedsiębiorstwem budownictwa ogólnego. Dotychczas korzystaliśmy z usług trzech tego typu przedsiębiorstw: kutnowskiego, koluszkowskiego i przyszkowskiego. Zadania tego roku przedsiębiorstwa te z pewnością na naszym terenie wykonują, ale jak będzie dalej?*

Pierwsze ma swoją siedzibę w terenie woj. płockiego, drugie w województwie łódzkim, trzecie — w województwie stołecznym. Wszystkie te trzy województwa mają również duże i pilne potrzeby mieszkaniowe. Wniosek z tego można wysnuć i taki, że bliższa ciętu może okazać się Koszula... Na domiar złego nie posiadamy już terenów uzbrojonych pod nowe budownictwo.

Osobnym problemem dla władz województwa skierniewickiego jest sprawa modernizacji Żyrardowa, najwęższego miasta w wojewódz-

twie, liczącego ponad 43 tys. mieszkańców.

Wielce nabrzmiałym problemem w tym mieście jest sprawa budowy nowych mieszkań. Miejskowa spółdzielnia liczy 722 członków i aż 3707 kandydatów. Przyjmowanie na członków do spółdzielni od trzech lat jest wstrzymane, a okres oczekiwania trwa 10 lat. W okresie ostatnich 4 lat wybudowano ogółem 680 mieszkań. Do wykonania planu 5-letniego pozostaje jeszcze 181 mieszkań. Cała nadzieja, jeśli idzie o bardziej odczuwalne tempo budownictwa mieszkaniowego, w szybkim dojeździe do pełnej zdolności produkcyjnej fabryki domów, z której — według ustaleń zatwierdzonych jeszcze przed reformą administracji terenowej — dla Żyrardowa ma przypadać rocznie 500 mieszkań. Pozostałe mieszkania przeznaczone są dla Grodziska i innych miejscowości województwa stołecznego. Prezydent miasta PIOTR NOWAKIEWICZ, ma jednak obawy, że te ustalenia mogą być zmienione na niekorzyść Żyrardowa. Stąd też wynika postulat władz województwa w sprawie budowy fabryki domów w Skierniewicach.

★

Takie jest to skierniewickie wychodzenie z kompleksu trudności obywatelskich narosłych przez lata, z którymi nieprędko upora się nowe województwo. Nikt tu jednak ręk nie opuszcza. Wszyscy bowiem wiedzą, że niektórych z tych problemów nie da się rozwiązać jeszcze w latach nadchodzących 5-latką, ale wszyscy są przekonani, że wypracują w tym czasie dla ich likwidacji w następnym okresie już w pełni realne warunki.

SZUKANIE GOSPODARZA KOPALIN

WOJCIECH NEHRING

R OZCZAROWAŁA mnie lektura artykułu Janusza Żelezika pod wielo obiecującym tytułem „Kopanie kopalni” („ZG” nr 31/75). Jest żal, kiedy słuszną i niesłychanie ważną tezę niechcąco zostaje „skopana” przez fatalne uzasadnienie. Niestety autor użył argumentów łatwych do podważenia, powierzchownych, a przykłady dobrane wręcz nieszczerze. Wymieniana lista winowajców prowadzi do nikąd i wywołuje skojarzenia z przyszłowiowymi grzybami w barszczu.

Jako geolog szanuję swój zawód i pragnę, by praca geologów była jak najbardziej użyteczna społecznie, by zasługiwała na szacunek powszechny. Podobnie jak Janusz Żelezik, z którym tu podejmuję dyskusję, a który zarazem zdobył moją sympatię za samo postawienie problemu, nie mogę spokojnie patrzeć na marnotrawstwo naturalnych zasobów. Może wspólnie pójdzie nam lepiej, więc spróbujmy jeszcze raz od początku.

Pozwalam sobie zacytować: „Przedsiębiorstwa wykazują dużo „współczesnej” żywcizny, by na eksploataowanych terenach nie wchodzić sobie w parę”. Czyli inni mówią każdy sobie rzepkę skrobie. Święta prawda. I jakże smutna prawda. Lecz czy słusznie protestuje Janusz Żelezik przeciwkożyczeniściemu przemysłu i „najprzeróżniejszym przedsiębiorstwom lokalnym” w kopalnictwie surowców budowlanych?

Oczywiście, trzeba wiedzieć, co kto kopie i gdzie, i rozumnie działalność tę nadzorować czy koordynować. Być może, krokiem naprzód będzie wprowadzony własnie obowiązek rejestracji najmniejszych nawet punktów wydobycia. Oby! Czy należy je jednak tępić? Zadrżałaby mi ręka, gdybym jako ślepy Biurokrata miał przysiąc, że każdy PGR czy Kółko Rolnicze, wreszcie każdego innego lokalnego „inwestora” do jeżdżenia po każdej taczce żwiru gdzieś daleko, do wielkiego przemysłu, jeśli materiał na fundament pod oborę można zdobyć w „kopance” przy „krzyżówce”. A czy ten żwir w wielkich by w ogóle dostał? Są oni grubo w tyle z dostawami dla uprzemysłowionego budownictwa, nie sądzę, by chcieli pogłębiać swe kłopoty.

Mimo ciągłego inwestowania w produkcję ceramiki budowlanej, globalna wytwórczość cegieł w kraju od wielu lat spada. Małe złoża glin ceramicznych, porzucone przez „najprzeróżniejsze przedsiębiorstwa

lokalne” wskutek tendencji likwidatorskich, odbierania, wchłaniania przez duże organizmy gospodarcze, okazują się nieprzydatne dla przemysłu. Zawarty w nich surowiec nie nadaje się dla masowej technologii, wielkiego wydobycia, zasoby są zbyt małe dla zapewnienia ekonomicznej efektywności wielkiego przedsiębiorstwa wydobyczego — ale kiedyś z surowca tego robiono dobrą cegłę, która i dziś by się na wsi przydała. Co się jednak opłacało „najprzeróżniejszym lokalnym”, nie opłaca się potencjałom.

Inny argument — nie chcemy z pewnością dokonać „zabójstwa” przedmiedytacji” czynów społecznych w postaci np. budowy dróg gminnych. Jeśli jednak zabronimy używania miejscowego kamienia i innych lokalnych surowców, trudno będzie uniknąć zarzutu premedytacji.

Jeszcze inny argument — surowce budowlane, wydobywane lokalnie, dla lokalnych potrzeb, stanowią według szacunków resortu budownictwa około 35 proc. masy ogólnej. Czy to źle, że lokalne potrzeby zaspokajane są na miejscu? Gdyby te surowce wydobywać w wielkich „scentralizowanych” zakładach — trzeba by obciążać transport przewozami dodatkowymi kilkudziesięciu milionów ton.

Zamiast więc nawoływać do biurokratycznych zakazów, postuluwalbym raczej więcej rozsądku w koordynacji wydobycia użytecznych kopalni. Do kogo taki postulat kierować? Próba odpowiedzi na to pytanie byłaby ze wszech miar pozytywna.

Czytamy dalej: „Zło wynika stąd, że w Polsce przez całe lata kształtował się model kopalni jednosurowcowej”. Jakże trafne spostrzeżenie! Popieram autora. Tylko, dobor przykładów budzi moje wątpliwości. Dlaczego zacytował on najbardziej dyskusyjne, skoro jest masa innych, zupełnie jednoznacznych przykładów ślepego egoizmu eksploatorów?

Żeby nie być gołosłownym, przykład koronny — Turoszów. Zażarta dyskusja od 30 lat (a nie 15, jak informuje J. Żelezik). Samo wyliczenie argumentów, jakie padły za i przeciw gospodarstwu uzasadnieniu eksploatacji wszystkich kopalni współwystępujących, zajęłoby kilka stron druku. Nie wiem, które z nich są słuszne, a które nie. Nie wiem np., czy budowa nowych szlaków komunikacyjnych gdzie indziej jest mniej ważna. A dla wywozu z „worka żyławskiego” dodatkowych,

olbrzymich ilości towarów masowych (900 mln ton łożów!) byłoby one niezbędne. Nie wiem również, czy bardziej opłacalne społecznie byłoby zastosowanie w kopalni mniej wydajnych maszyn, jak proponuje J. Żelezik (co oczywiście zmniejszyłoby wydobycie węgla) i umożliwienie w ten sposób selektywnej eksploatacji kopalni współwystępujących. Nie wiem i nie potrafię tego obliczyć. Inni obliczali, ale też nie wiem, czy potrafili, gdyż wyniki otrzymywali różne.

Nie ryzykowałbym również stwierdzenia: „W określonych kołach lansowano jednak teorię o nieopłacalności całego przedsięwzięcia, celowo zawyżano koszty inwestycji i koncepcjom ukręcano głowę”. Każdy wie, że najłatwiej napiętnować jakieś tam „określone koła”. Nie mówiąc o tym, że jakże łatwo odwrócić kota ogonem i stwierdzić z przekasem, że „w określonych kołach lansowano” akurat zupełnie przeciwne teorie.

Lepiej więc było przeprowadzić poważniejszą analizę, niż operować powierzchownymi stwierdzeniami: przykład lepiej dobrany służyłby niewątpliwie przeprowadzeniu tezy, a ten budzi tylko wątpliwości. W dodatku autor obwarowuje swoje rozumowanie zastrzeżeniami, „jeśli pomyślnie zakończy się prace badawcze... to wówczas ilość nie wykorzystanego surowca znowu się zmniejszy”. A więc jednak nie można było po prostu od razu go wykorzystać, bez spełniania warunków? „Jeśli pomyślnie”. A jeśli „niepomyślnie”? Zjawisk gospodarczych, czasem niekorzystnych, nie można w sposób subiektywny tłumaczyć jedynie złą wolą.

Ważny przykład następny: złoża węgla brunatnego „Legnica”. W skali węgla rozmiarów jego są przeciętne, w skali surowców budowlanych to kolosalny obszar, mimo również przeciętnych zasobów. Aby sporządzić dokumentację geologiczną w tzw. kategorii B, która uprawnia do podejmowania działalności inwestycyjnej, wymagane jest dla węgla brunatnego wykonanie wierceń w zagęszczeniu 400×400 m, dla łoż ceramicznych 100×100 m, a gdyby się okazało, że surowiec charakteryzuje duża zmienność jakości, nawet 50×50 m. Tym samym udokumentowanie niewielkich w końcu zasobów: ceramicznego surowca wymagałoby wykonania od 16 do 64 razy więcej wierceń, niż dokumentowanie węgla! Taka jest specyfika badawcza surowców łożystych i nie się to nie poradzi. Stajemy wobec ko-

nieczności wyboru: albo zrezygnować z ceramicznej działalności inwestycyjnej, albo zaangażować ogromny potencjał wiertniczy, zapominając na jakiś czas o potrzebach reszty kraju. Znowu nie wiem, który z tych wariantów jest optymalny. Jako geolog jestem za wykorzystaniem łoż, ale będąc jednocześnie obywatelem swego kraju, muszę brać pod uwagę racje interesu społecznego. Kto ten interes prawidłowo wyważy? To znowu pytanie, na które warto szukać odpowiedzi.

Nie chcę być pedantem, ale należą wytknąć Autorowi lapsusy w rodzaju: „w złożu „Legnica” znajduje się 5 mln m sześciennych łoż nadających się dla przemysłu ceramicznego budowlanego” i zaraz potem: „Widac wiele można, skoro autor na podstawie jednego odwertu stwierdził przydatność całych 5 mln dla określonego przemysłu”.

Niefortunne jest zestawienie dobrych chęci Centralnego Ośrodka Badawczo-Projektowego Górnictwa Odkrywkowego Węgla Brunatnego „Poltegor” z złymi praktykami, które przed wszystkim w górnictwie węgla brunatnego. Przecież każdy nam odpowie: jeżeli ktoś jest odpowiedzialny za te złe praktyki, to chyba przede wszystkim projektant kopalni, technolog urabiania itp. A jeżeli miał dobre chęci i nic nie wskórał? Czy nie prowadzi to do fatalistycznego wniosku o powszechnej niemożności? Nie o takie wnioski przecież nam chodziło. Chwalenie „Poltegoru” (który jest skądinąd — bardzo dzielną instytucją), w kontekście tezy głównej artykułu jest nadzwyczaj nieuzasadnione. Wszyscy bowiem w środowisku zawodowym wiedzą, że kilka lat temu, kiedy w węglu brunatnym nie było roboty, „Poltegor” podjął się uporządkowania w Polsce kopalnictwa surowców skalnych. Przyznano mu wielkie środki finansowe, jakimś nikim dotąd na podobny cel nie dysponował. Został głównym koordynatorem zagadnienia. Pieniądzy już sporo wydał. „Można się dziwić, dlaczego dotychczas nie uporządkowano generalnie problemu surowców kopalnych?” — wnioskuje Janusz Żelezik. Oczywiście można, nawet trzeba. Jednak zupełnie niepotrzebnie zamiast zmierzać do celu, sprowokowaliśmy mnóstwo pytań, na które odpowiedź jest więcej niż kłopotliwa.

Janusz Żelezik użala się nad małą „obligatoryjnością” sformułowań użytych w obowiązujących nas przepisach, nad zwrotem „w miarę możliwości”. Przede wszystkim nie chcemy chyba nic robić w miarę niemożliwości. Ponadto jestem w tym przypadku zdecydowanym przeciwnikiem nadmiernej sztywności przepisu, bo to mogłoby doprowadzić do zwycięstwa formułki nad rozsądkiem. Zgadza się natomiast ze zdaniem: „nasze przepisy dotyczące eksploatacji surowców mineralnych w zasadzie nie uwzględniają, albo w minimalnym stopniu, przeróbkę surowców. Surowiec wydobywany ze złoża powinien bezpośrednio iść do produkcji. Takiego standardu domaga się przemysł”. Warto by pójść dalej tym śladem, a nie potraktować go jako „dygresję”. Może ja spróbuję...

Każda technologia ma swój rozwój. Jest nim zazwyczaj ciąg prób i badań wywołanych określoną potrzebą. W przypadku technologii związanej z przeróbką kopaliny — prób i badań nad materiałem z jej złoża, ze złoża określonego. Nawet jeżeli badano materiał z wielu złożów, ostateczny rezultat osiągnięto dla jednego z nich. Opracowano technologię w jej pierwszym wydaniu — technologię klasyczną. Niestety, nie wszystkie technologie rodzące się na świecie w swoim pierwszym, klasycznym wydaniu odpowiadają naszym polskim złożom. Jeśli ktoś z nich musiał się, lub musimy, stosować u nas, to, jak się łatwo domyślić, dlatego że nie dysponowaliśmy odpowiednio przebadaną, sprawdzoną technologią własną.

W przyrodzie zdarzają się fenomeny, zdarzyć się więc może, że któraś z naszych kopalni jest identyczna z swym technologicznym pierwowzorem. Fenomeny jednak, jak sama nazwa wskazuje, zdarzają się rzadko. Na tym też warto się zastanowić, czy import gotowych technologii w tej dziedzinie jest równie celowy, jak np. w dziedzinie produkcji samochodów osobowych.

Warto też zastanowić się nad mechanizmami gospodarczymi, które skłaniają przemysł, bez oglądania się na interes społeczny, do przerabiania surowców zagranicznych. Dlaczego przemysłowi to się zawsze bardziej opłaca niż kłopoty z opracowaniem, a przede wszystkim wdrożeniem technologii rodzimej?

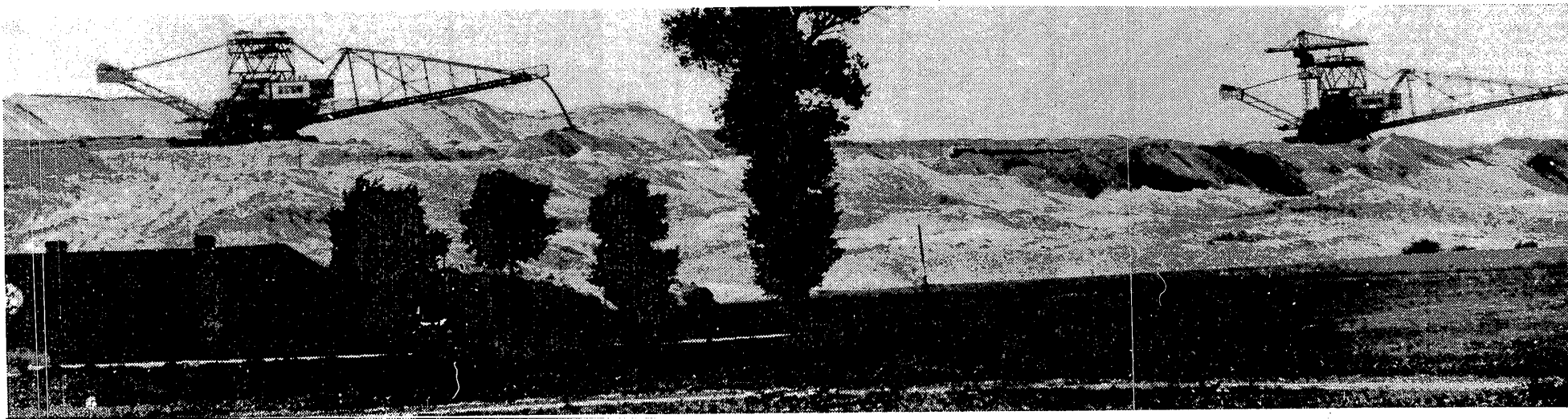
Stwierdzenie J. Żelezika: „Problemem daje się sprowadzić do tego, że każdy chce mieć określone złożo wyłącznie dla siebie” ma wartość kluczową. Należało się jednak pokusić o odpowiedź na pytanie: dlaczego tak jest.

Cała bowiem reszta o dokumentacjach geologicznych jest sprawą zupełnie wtórną, a przedstawiona została nieco bałamutnie. Wszyscy wiedzą, że państwowa służba geologiczna (czytaj CUG) dysponuje środkami i zajmuje się wyłącznie poszukiwaniem kopalni. Etap poszukiwawczy z reguły obejmuje badania wszystkich napotykananych surowców i dla wszystkich ewentualnych użytkowników. To jest właśnie tych kilka początkowych

wierceń, o których Janusz Żelezik wspomina omawiając swoje przykłady. Oczywiście, wszechstronność badań i na tym etapie ma swoje granice. Przy dzisiejszym niemalym rozwoju technologii niemal każda skała staje się potencjalną kopalnią. Co z czego będzie można dziś — a co z czego będzie można zrobić jutro, nie zawsze wiedzą nawet wąsko wyspecjalizowani technolodzy. Pełne badanie wszystkich właściwości skał, których użyteczność jako kopalni nie jest przesądzona przez specjalistów, mogłoby być traktowane jako zarzut lekkożyjności trwonienia pieniędzy. Bo takie pełne badanie przy dzisiejszych, to wcale nie 10–15 proc. kosztów wierceń, jak sugeruje p. Żelezik. To zgola miliony na każdą próbkę. (Powiem: teoretycznych możliwości, bo nasze laboratoria analityczne są jednym z największych gardel).

Nieco inaczej przedstawia się dalsze rozpoznawanie złożów, przed podjęciem działalności inwestycyjnej. Prowadzą je już sami użytkownicy, ci oczywiście, którym udało się złożo zaanektować „wyłącznie dla siebie”. Dalsze badania oni finansują, projektują i zatwierdzają. Czyż można się dziwić, że unikają warzenia sobie piwa, skoro jest jak jest? Dajmy sobie w ogóle spokój z nadmierną „obligatoryjnością” w takich sprawach. Przecież, jak z przytoczonej dyskusji wynika, a przede wszystkim jak łatwo sobie wyobrazić, nie w każdym bezwzględnie przypadku eksploatawanie wszystkich i przerabianie wszystkiego ma w ogóle sens, nie mówiąc o opłacalności. Czy mamy się skazać na przysmusowe dobowywanie przemysłu do wszystkich faktycznych i domniemyanych kopalni? Bez oglądania się, ile to kosztuje, czy nas na to stać, a przede wszystkim czy jest to potrzebne? Zabrnęlibyśmy chyba w fałszywą uliczkę i byłby to droższy błąd niż obecne marnotrawstwo.

Powtórzmy więc raczej pytanie: dlaczego zaraz każdy chce mieć złożo wyłącznie dla siebie? Pomimo że często „gdyby prowadzono jednocześnie eksploatację wszystkich surowców, potrzebnych „kolegom”, efektywność inwestycji znacznie by się poprawiła”. Tego właśnie najbardziej zabrakło mi u Janusza Żelezika. Wniosku, w postaci adresu tych pytań, który wolny od partykularyzmu producentów, a uzbrojony w odpowiednie pełnomocnictwa, byłby bezstronnym rzecznikiem interesu społecznego, byłby gospodarzem naszych zasobów. W zupełności się zgadzam, że niejako ponadresortowy charakter działalności, w połączeniu ze stosunkowo najlepszym rozeznanie zagadnienia, uzasadniałyby udzielenie takich pełnomocnictw Centralnemu Urzędowi Geologii. Ale czy ten skromny resort mógłby podjąć tak wielką odpowiedzialność? Więc może powołać Pełnomocnika Rządu do spraw kompleksowej gospodarki w wykorzystaniu zasobów mineralnych?



Fot. M. HOLZMAN

ZAMIAST NA HAŁDY NIECH POMNAŻA PŁONY

DYNAMICZNY rozwój elektrowni pracujących na węglu brunatnym i kamiennym powoduje wzrost ilości odpadów paleniskowych, w postaci popiołów lotnych i żużli, które są przyczyną niekorzystnego zapylenia, a ich hałdy zajmują znaczne obszary, np. w Polsce co roku „pożerają” one ok. 100 ha użytków rolnych.

Dla rozwiązania tego problemu w wielu krajach prowadzi się prace głównie w dwóch kierunkach — mianowicie: dąży się do rekultywacji wyeksploatowanych składowisk, co zapobiega wtórnemu zapyleniu się i przywraca rolnictwu tereny dotychczas bezużyteczne (prace nad rekultywacją prowadzone są w Czechosłowacji, Związku Radzieckim, Wielkiej Brytanii, Niemieckiej Republice Federalnej i Polsce) oraz do wykorzystania popiołów w różnych gałęziach gospodarki narodowej.

Jak się okazuje stanowią one cenny surowiec o różnych kierunkach zastosowań. Odpady te praktycznie można zastosować w budownictwie do produkcji kruszywa sztucznego,

cegl, klinkieru, materiałów żaroodpornych, jako dodatek do produkcji cementu itp. oraz do budowy dróg. Prowadzone są również prace nad odzyskaniem z popiołów dla gospodarki niektórych cennych pierwiastków: żelaza, magnezu, germanu, galu, berylu, uranu, wanału i tytanu.

W Polsce, Czechosłowacji, ZSRR, NRD, RFN, Wielkiej Brytanii i USA prowadzi się również prace nad wykorzystaniem popiołów z węgla brunatnego w rolnictwie.

Na łamach „Życia Gospodarczego” (nr 35/73) mówiono już o przydatności tych popiołów jako nawozów wapniowych i zainteresowaniu naszego rolnictwa w tym kierunku spowodowanym silnym deficytem wapna na nawozowego, co wobec dużego zażycia większości gleb w kraju jest jednym z poważniejszych czynników ograniczających plony roślin uprawnych. Wyrażona wówczas pozytywna opinia o popiołach węgla brunatnego oparta była o dane z literatury zagranicznej oraz o wstępne badania prowadzone pod kierun-

kiem prof. O. Nowosielskiego w Zakładzie Nawożenia Instytutu Warzywnictwa w Skierniewicach.

Obejmuje poza dalszymi wynikami przytoczonych badań, rolnictwo dysponuje materiałami z pierwszego roku długofalowych doświadczeń polowych kontynuowanych przez Instytut Uprawy Nawożenia i Gleboznawstwa w Puławach oraz przez Wojewódzką Stację Chemiczną-Rolniczą w Łodzi i Rejonowy Rolniczy Zakład Doświadczeń w Bartoszewicach (woj. łódzkie).

Badania te potwierdzają pełną przydatność popiołów z węgla brunatnego ze złożów kamiennych jako nawozu wapniowego równoznacznego z działaniem do tradycyjnie stosowanego przez rolnictwo wapniaka rolniczego mielonego, a także wapna magnezowego — pod warunkiem jednak, że stosuje się partie popiołów o zawartości minimum 30 proc. tlenku wapnia.

W r. 1974 rolnictwo województwa łódzkiego i poznańskiego wykorzystywało już nawet około 20 tys. ton tego odpadu. Wydawać by się mogło więc, że nie stoi na przeszkodzie, aby rozszerzać te niewątpliwie korzystne dla gospodarki narodowej działania. Tak jednak nie jest. Są generalnie biorąc dwa problemy, rozwiązanie których pozwoli na szersze wy-

korzystanie przez rolnictwo popiołów. Po pierwsze: uzyskiwanie z elektrowni selektywnie tych partii popiołów, które zawierają większe ilości tlenku wapnia.

Po wtóre: popioły są materiałem mocno pylącym się, co przysparza dużych trudności przy ich transporcie przeładunku i wysiewie. Stąd też należałoby uzbroić jednostki gospodarcze kółek rolniczych, które będą zajmowały się zaopatrzeniem rolnictwa w nawozy wapniowe w zasiegu lokalnym w nowoczesną technologię ich przemieszczenia i zastosowania. Rozwiązaniem tych problemów powinny zająć się odpowiednie placówki naukowo-badawcze resortu górnictwa i energetyki we współpracy z Instytutem Budownictwa Mechanizacji i Elektryfikacji Rolnictwa.

Intensyfikacja wykorzystania popiołów do wapnowania gleb będzie opłacalna nie tylko dla rolnictwa. Z obliczeń Centralnego Ośrodka Badawczo-Projektowego Górnictwa „Poltegor” wynika, że koszt składowania jednej tony popiołów na hałdach wynosi około 100 zł podczas gdy koszt użycia dla rolnictwa 60 zł. A istnieje tu przecież jeszcze tak ważny aspekt ochrony środowiska.

mgr BOLESŁAW STARSKI
Warszawa

GEOLODZY WYJAŚNIAJĄ

INTERESUJĄCY i zawierający wiele trafnych spostrzeżeń artykuł Janusza Żelezika pt. „Kopanie kopalni”, opublikowany w numerze 31/75 Waszego pisma, zawiera w końcowych akapitach szereg stwierdzeń nie mających merytorycznie ścisłego związku z treścią artykułu i — co najważniejsze — nie odpowiadających stanowi faktycznemu.

Chodzi mi o rzekome nieuzasadnione wystąpienie Centralnego Urzędu Geologii z wnioskiem o przyznanie nagrody państwowej za „opracowanie przez siebie prognozy surowcową w kraju” oraz o opóźnienie w realizacji wniosku Polski w sprawie pokrycia krajów członkowskich RWPG mapą geologiczną w skali 1:25 000. Wniosek taki miał być — według J. Żelezika — postawiony przed 15 laty na „kongresie geologicznym i tektonicznym” w Moskwie. W związku z powyższym uprzejmie informuję, że Centralny Urząd Geologii nie opracowywał „prognozy surowcowej w kraju”; natomiast Instytut Geologiczny — działając w

ramach Komitetu „Polska 2000” — przygotował studium pt. „Perspektywy odkryć geologicznych i powiększenia bazy surowców mineralnych do roku 2000”.

Wniosek o przyznanie nagrody państwowej dla autorów tego opracowania nie był stawiany.

O „kongresie geologicznym i tektonicznym” w Moskwie przed 15 laty w polskim środowisku geologicznym nic nie jest wiadomo, wniosku o pokrycie krajów członkowskich RWPG mapą geologiczną w skali 1:25 000 Polska nigdy nie stawiała, a żaden kraj członkowski pokrycia takiego nie posiada.

Na marginesie podam, że mapy geologiczne w skali 1:25 000 sporządza się jedynie dla wybranych obszarów o skomplikowanej budowie geologicznej i dużym znaczeniu gospodarczym.

mgr. SŁAWOMIR SMALEŃSKI
dyr. Gabinetu Prezesa CUG

CENA A SYSTEM FUNKCJONOWANIA GOSPODARKI SOCJALISTYCZNEJ

WACŁAW WILCZYŃSKI

Przedmiotem analizy jest charakterystyka najistotniejszych właściwości systemów cen i samych cen w różnych wariantach mechanizmu gospodarki socjalistycznej, nie zaś ocena wartościująca te rozwiązania*. Za punkt wyjścia klasyfikacji systemów funkcjonowania gospodarki przyjmuję ekstrema przedziału rozwiązań teoretycznie możliwych, opisane dokładniej w innym opracowaniu.¹

SYSTEMY ekstremalne, nigdy w praktyce nie zrealizowane, to z jednej strony system konsekwentnie centralistyczny, oznaczający skupienie wszystkich decyzji, a więc także i cenowych, na najwyższym szczeblu, a z drugiej strony system konsekwentnie syndykalistyczny, w którym nie występuje ośrodek centralnej dyspozycji, a decyzje są podejmowane przez wszystkich uczestników życia gospodarczego. Konsekwentny syndykalizm nie może przewidywać z natury rzeczy żadnego systemu cen. Panowałby w nim suwerenny mechanizm rynkowy.

Dość powszechnie uznaje się oba systemy ekstremalne zarówno za nieefektywne, jak i niezgodne z istotą i wymogami socjalistycznych stosunków produkcji. Granice przedziału efektywnych rozwiązań systemowych są więc szersze i obejmują wyłączenie systemy „kompromisowe”, mieszane, łączące w sobie, w takich czy innych proporcjach, elementy centralizacji i decentralizacji decyzji. Dobór, ustalenie tych proporcji jest jednym z najtrudniejszych praktycznych problemów gestii gospodarki socjalistycznej, decydującym w wysokim stopniu o jej efektywności.

KOSZTOWY CHARAKTER CEN

System cen jest jednym z najważniejszych członów przyjętego mechanizmu gospodarki. Im bardziej centralistyczny jest system funkcjonowania gospodarki — tym bardziej kompletny, obejmujący całość problematyki cenowej, jest system cen. W miarę decentralizacji stopień zupełności systemu cen maleje na skutek pozostawiania coraz większych obszarów swobodnemu kształtowaniu się cen. Zmniejszaniu stopnia zupełności systemu cen towarzyszy też zwykłe stopniowe zanik różnicowania rozwiązań w zakresie cen dla producentów (w stosunkach między przedsiębiorstwami) i cen detalicznych.

Istotną cechą rozwiązań systemowych o wysokim stopniu centralizacji jest natomiast różnorodność założeń dotyczących tych dwu rodzajów cen. Nie zakłada się wówczas zwykłe parametrycznego oddziaływania na producentów (choć, jak wskazuje doświadczenie, nie można mu zapobiec — parametryczność „a rebours”), ale równocześnie przyjmują się na ogół, że ceny detaliczne powinny realizować postulat równowagi rynkowej i oddziaływać na strukturę popytu konsumentów. W sferze produkcji prowadzi to do znanego dobrze kosztowego charakteru wielu cen dla producentów, zjawiska typowego dla kosztowych, ewidentnych rozliczeń między niesamodzielnymi członami przedsiębiorstwa wielozakładowego. Ceny detaliczne kształtowane są wtedy z uwzględnieniem całości korekt wymaganych przez proporcje podziału i założenia polityki społeczno-gospodarczej. Taki system cen, dobrze nam znany z praktyki — nie zakłada w zasadzie możliwości „zrobienia interesu” przez producenta przy pomocy cen. Ceny „nowości” mają z tego punktu widzenia charakter wyjątku potwierdzającego regułę.

Kosztowemu i na ogół nieparametrycznemu charakterowi cen otrzymywanych przez producentów towarzyszy jednak uzasadnione dążenie do ukształtowania cen czynników produkcji zakupowanych przez producentów w taki sposób, by umożliwiał prawidłowy ich dobór, skłaniał do gospodarności i w ogóle pełnił funkcję narzędzia rachunku ekonomicznego. Działanie w tym kierunku prowadzi do odchodzenia od kosztowych cen zakupu czynników produkcji i do stopniowego ich podporządkowania rzeczywistym relacjom ekonomicznym. Prowadzi to nieuchronnie mimo zachowywania zasady ceny kosztowej, otrzymywanej przez producenta — do podwyżki cen środków produkcji, a nawet zbliżania zasad ich ustalania do reguł obowiązujących w kształtowaniu cen detalicznych.

Ekonomizacja cen środków produkcji pociąga za sobą, jako logiczną konsekwencję, stopniowe ograni-

czanie dyrektywności i szczegółowości zarządzania centralnego. Cechy te powodowałyby bowiem neutralizację cen środków produkcji jako narzędzia rachunku ekonomicznego.

Tak więc, z dotychczasowych rozwiązań zdaje się wynikać, że na odchodzenie od centralistycznych rozwiązań systemowych w zakresie zarządzania poważny wpływ wywierają obiektywne potrzeby rachunku ekonomicznego, znajdujące swój wyraz w ekonomizacji cen. Nie ma więc podstaw do traktowania problematyki systemu cen wyłącznie jako pochodnej w stosunku do ogólnej koncepcji systemu funkcjonowania gospodarki socjalistycznej.

Jak wiadomo, celem kompromisowych, mieszanych rozwiązań systemowych jest skonstruowanie mechanizmu zapewniającego równocześnie najefektywniejszą alokację zasobów i największą gospodarność realizacji. Kryteria te wymagają uściślenia i najściślej łączy rozwiązań centralistycznych z tworzeniem warunków dla optymalizacji oddolnej. Zbudowanie wewnętrznie zgodnego systemu ekonomicznego odpowiadającego tym kryteriom, w tym także systemu cen, napotyka wiele trudności. W dotychczasowej praktyce systemów mieszanych mamy do czynienia albo (w większości przypadków) z preferencją dla rozwiązań centralistycznych, administracyjnych przy niedocenianiu rachunku mikroekonomicznego, albo też (jak to ma miejsce w Jugosławii) z pewnym osłabieniem działalności centrum i eksponowaniem partykularnych interesów grupowych.

Niedomagania systemów mieszanych wiąże się z niedostateczną kompleksowością realizowanych koncepcji, z nieuwzględnieniem logiki wewnętrznych powiązań systemowych z rozkładaniem w czasie czasowych przedsięwzięć w tym zakresie, z niepełną realizacją przyjętych rozwiązań itd. Sprawy te znajdują naturalnie swoje odbicie w dziedzinie cen. Obserwowana jest jednak wyraźna tendencja odchodzenia od cen ewidencyjno-kosztowych w kierunku cen parametrycznych, wyznaczających warunki gospodarowania podmiotów niższych szczebli.

PROBLEMY CEN PARAMETRYCZNYCH

Ale jednocześnie pojawia się szereg pytań dotyczących sposobu kształtowania cen parametrycznych i umiejscowienia odpowiedzialności za skutki ich działania. Czy państwo socjalistyczne powinno ustalać ceny parametryczne, czy też kształtowanie swych działań — wpływać na ich kształtowanie się?

Jeśli bowiem ceny ustala państwo jako podmiot władzy, jeśli ceny te są obowiązujące, to nieuchronnie staje się przejęcie przez państwo odpowiedzialności ekonomicznej za wadliwość tych cen, za konsekwencje ich oddziaływania na decyzje jednostek gospodarczych. Jak wskazuje doświadczenie, podmioty gospodarcze niższych szczebli wykorzystują każdą możliwość przerzucenia odpowiedzialności na wyższe instancje, powołując się na działanie zgodne z otrzymanymi informacjami, wytycznymi itp.

Problem odpowiedzialności ekonomicznej cen przez państwo jako podmiot władzy, wydaje się najślabszą stroną zaproponowanej w roku 1936 przez O. Langego koncepcji parametrycznego sterowania działalnością producentów.² Wątpliwości nie wywołuje zasada zmienności cen, lecz administracyjny sposób jej realizacji metodą „prób i błędów”. Jeśli bowiem jako twórca parametrów działania mechanizm rynkowy, to nikt z uczestników życia gospodarczego nie może praktycznie przerzucić na aparat państwowy odpowiedzialności za wahanie cen. Natomiast, jeśli ceny ustala państwo, to automatycznie pojawiać się muszą ze strony podmiotów niższych szczebli żądania „stabilizacji warunków gospodarowania”, „wydłużenia okresu obowiązywania

poszczególnych cen”, naciski na podejmowanie korzystnych dla wpływów producentów decyzji cenowych itp. Tendencje te nie mogą nie prowadzić do naruszenia zasady adekwatności cen w stosunku do rzeczywistych warunków ekonomicznych, do powstawania parametrów błędnych.

„Kompromisowy” system funkcjonowania gospodarki socjalistycznej wymaga naturalnie mieszanych rozwiązań w zakresie systemu cen. Trudno więc sobie wyobrazić likwidację działalności państwa socjalistycznego jako twórcy cen. Niemniej jednak warto już tu zasygnalizować celowości ograniczenia działalności cenotwórczej państwa do odcinków zawierających w sobie najmniej ryzyka. Równocześnie, wraz z ograniczeniem administracyjnej dyrektywności w planowaniu i zarządzaniu, wzrastać powinna rola pośredniego oddziaływania państwa na kształtowanie cen — przez aktywizację państwa jako podmiotu gospodarowania, posiadającego określone preferencje, kształtującego strukturę zdolności wytwórczych, zgłaszającego popyt na dobra i usługi.

Istotną właściwością cen w systemach mieszanych wydaje się współistnienie cen ustalonych bezpośrednio przez państwo z cenami kształtującym się swobodnie. Udział tych ostatnich z pewnością nie powinien być marginesowy.

ELEMENTY DIAGNOZY

Oceniając dotychczasowe rozwiązania systemowe i politykę cen w Polsce niezwykle łatwo o zamazanie różnic między tymi dwoma aspektami działalności państwa i o niewłaściwe adresowanie pretensji. Wprawdzie nie ulega wątpliwości, że przyjęty system cen określa w dużej mierze politykę cen, jej metody i zakres, ale nie można zapominać, że polityka cen może doprowadzić do zmian struktury i poziomu cen bez naruszenia istniejącego systemu cen.

Dotychczasowy system cen w Polsce scharakteryzować można jako odpowiadający centralistyczno-administracyjnemu systemowi planowania i zarządzania, choć niewątpliwie odchodzący od związanych z tym systemem skrajności. System ten przewiduje odmienne zasady kształtowania cen otrzymywanych przez producentów z jednej strony i cen detalicznych (oraz w coraz większym stopniu cen zakupu środków produkcji dla producentów) z drugiej strony — nie zakładał na ogół parametrycznego oddziaływania cen fabrycznych w sferze produkcji. W praktyce jednak nie można było tego uniknąć ze względu na atrakcyjność pieniężnej agregacji dla organów wyższych szczebli, dominację pieniężnych rozliczeń w krótkich okresach itp., co prowadziło do wspomnianej już parametryczności „a rebours”.

W zakresie cen detalicznych system ten zakładał ich oddziaływanie na preferencje konsumentów i dążenie do kształtowania cen równowagi, co jednak natrafiało na trudności zarówno w wyniku niesprawności systemu zaopatrzenia, jak i rozstrzygnięć polityki cen, preferujących niekiedy utrzymanie niskiej ceny mimo braku pokrycia w masie towarowej. Stopniowa ekonomizacja cen następowała i następuje wieloma drogami: wyższe ceny zakupu środków produkcji dla przedsiębiorstw, uwzględniające rzeczywiste warunki ekonomiczne, cen transakcyjne w handlu zagranicznym, ceny nowości na rynku krajowym, śmieszne stosowanie wysokich cen detalicznych na towary atrakcyjne przy zwiększaniu zakresu przelotu — to elementy tego nieuchronnego procesu.

Proces ekonomizacji cen napotykał jeszcze na przeszkody tkwiące w utrzymujących się, znacznie sztywniejszych elementach systemu planowania, zarządzania, kryteriów oceny, a także nadal w minimalnym związku plac pracowniczych z rezultatami osiągniętymi przez ich zakłady pracy. Oznaczało to, że ceny bardziej prawidłowe niż dawniej, często zdolne do właściwego, parametrycznego oddziaływania na gospodarkę przedsiębiorstw — nie miały praktycznie warunków do spełnienia tej funkcji. Wysoki stopień dyrektywności zarządzania powodował m. in. pewną niezależność efektywności lub nieefektywności ekonomicznej jednostek gospodarczych od rzeczywistego zaangażowania i wkładu pracy załóg.

W systemie dotychczasowym nie była w zasadzie dopuszczona możliwość zrobienia innego „interesu” niż przez obniżkę kosztu własnego. Nie skłaniała jednak do tego zasada „ce-

ny kosztowej” — przy równoczesnej preferencji dla maksymalizacji wartości produkcji wyrażonej właśnie w tych cenach. Zrobienie interesu na właściwym wyborze asortymentu, na sukcesach jakościowych — w dalszym ciągu jest zjawiskiem wyjątkowym, a przy tym zwalczanym przepisami o weryfikacji zysku.

Ceny były więc u nas i są często nadal pasywne tam, gdzie powinny być aktywne i na odwrót — działają nieraz parametrycznie w sposób zupełnie niepożądany, np. gdy łatwy do wytworzenia produkt o niskich parametrach jakościowych ma wysoką cenę, ułatwiającą maksymalizację wartości produkcji. Niezwykle rzadko ceny działają na wprowadzanie do produkcji innowacji w rzeczywistym, szerszym znaczeniu, aniżeli podmiata gatunków i opakowań. Utrzymuje się nadal wysoki stopień organizacyjnej i ekonomicznej izolacji sfery produkcji od problematyki i sfery „ostatycznej sprzedaży”, nadal słyszy się o „bojach” staczanych przez przemysł z handlem w kwestii odpowiedzialności za sprzedaż produkcji, o usiłowaniach zapewnienia sobie „gwarancji” uznania i odbioru każdej produkcji, zapewnienia sobie niezależności od rynku.

SFERA PRODUKCJI A RYNEK

Obserwowane fakty świadczą, że dla zapewnienia równowagi i stworzenia rynku nabywczy nie wystarczają ani właściwe ceny, ani odpowiednio zasoby materiałne. Konieczne jest rzeczywiste powiązanie sfery produkcji z rynkiem przez adresowaną odpowiedzialność materiałną za produkcję nie trafioną. Sprawy te wykraczają jednak poza system cen. Utrzymujące się wady systemu funkcjonowania gospodarki jako całości nie uprawniają jednak do niedostrzegania „wad własnych” systemu cen. Wydaje się zwłaszcza, że w systemie tym można zauważyć swoistą sprzeczność między znacznym stopniem indywidualizacji ustalania cen, ich mikroekonomizacją, a oddziaływaniem potrzeb makroekonomicznych.

W zasadzie ceny ustalane są indywidualnie, przy czym — jeśli chodzi o sferę obrotu między przedsiębiorstwami — rzadko kiedy dochodzą do głosu proporcje między podażą a popytem jako czynnik cenotwórczy. Nawet zamówienia handlu wobec przemysłu lekkiego uważane są za „czynnik pozacenowy”. Indywidualne ustalanie cen detalicznych również nie zawsze uwzględnia sytuację rynkową, zwłaszcza, gdy decyzje cenowe podejmowane są przez terenowe komisje cen. Równocześnie znane są przypadki ustalania cen na poziomie odpowiednim niż postulowany (w przemysle lekkim) co nie sprzyja jasności stosunków ekonomicznych. Komisja cen nie przejmując bowiem odpowiedzialności za zbyt,

Potrzeby makroekonomiczne, związane z równowagą finansowo-budżetową, bilansem pieniężnym dochodów i wydatków ludności oraz reperkusje osiągnięć wytwórczych (np. pełne nasycenie popytu lub niedobór wyrobów) — oddziałują na zmiany cen znacznie rzadziej. Ma to ten skutek, że zmiany bywają głębsze, zaskakujące mniej świadomą sytuację część społeczeństwa. Zmiany te są tym większe, im dłużej utrzymywane były ceny nieprawdziwe, nie zapewniające równowagi rynkowej i im dłużej obowiązywały ceny „socjalne”, deficytowe, wymagające ponoszenia poważnych nakładów dla pokrycia popytu.

Nadmierna indywidualizacja ustalania cen trudno więc uznać za zjawisko pozytywne. Oznacza ona bowiem nadmierne uneruchamianie cen i niezwykle utrudnia elastyczne stosowanie metody „prób i błędów”, reagowanie na zmiany popytu, na postęp w produkcji itd.

Przy wszystkich tych cechach — system cen w Polsce jest bardzo daleki od zupełności, wykazuje dotkliwe luki. Tak np. posiadając rozbudowany aparat ustalania cen — nie mamy w praktyce skutecznego mechanizmu kontroli i aktualizacji cen, a zwłaszcza mechanizmu cenowej degradacji produktów, jasno określonych kryteriów przelotu na skutek przestarzałości, zepsucia itp. Nie mamy mechanizmu umożliwiającego wykorzystanie cen jako narzędzia technicznej i jakościowej weryfikacji efektów poniesionych nakładów, choć dorobek ekonomiki jakości jest już dość poważny, a propozycje uwzględniania cen jakościowych, jako czynnika korygującego cenę kosztową dość liczne.

ROLA SYSTEMU CEN

Paradoksem naszego systemu cen — przy jego szczegółowości — jest niedocenianie prawidłowych wycen, uwzględniających możliwe szeroki

wachlarz czynników cenotwórczych. Poważna rola czynnika kosztowego w powstawaniu ceny wcale nie oznacza dostatecznej dbałości o „pełność” rachunków kosztów, często nie uwzględniających poszczególnych elementów kosztów społecznych — utraconych alternatyw wykorzystania zaangażowanego zasobu itp.

Nasz system cen nie odgrywa dostatecznej roli w sferze zaopatrzenia materiałowo-technicznego i kooperacji. W dziedzinie tej panuje klasyczny rynek sprzedawcy ze wszystkimi jego wadami. W staraniach przedsiębiorstw o dostawy poszukiwanych artykułów ceny odgrywają rolę minimalną. Wobec dyrektywności zadań produkcyjnych rozliczenia cenowe nabrały charakteru formalno-ewidencyjnego, nie dotykającego interesów przedsiębiorstwa i jego załogi. Ten praktycznie bezpłatny system zaopatrzenia ma jednak swoje strony ujemne. Kooperanci wydłużają terminy dostaw, żądają półtorarocznych wyprzedzeń w zamówieniach, nie dokładają starań o wysoką jakość, o zgodność dostawy z zamówieniem.

W sferze produkcji środków produkcji nie ma w praktyce cenowości. Znanie są przypadki zastępowania dóbr krajowych — drogim importem, tylko ze względu na nieemożliwość podwyższenia ceny, uzasadnionej niezbędną większą dokładnością obróbki i akceptowanego przez odbiorcę. Nieskuteczność cen z punktu widzenia gospodarności w zużywaniu zasobów jest powszechnie widoczna. Dotyczy to zarówno gospodarki materiałowej, jak i taryf przewozowych PKP, cen wody itp.

Brak normalnych stosunków ekonomicznych w sferze kooperacji i dostaw środków produkcji należy ocenić jako zjawisko groźne. W warunkach tych zmniejsza się bowiem gwałtownie szybkość procesów dostosowawczych, szybkość reakcji na zjawiska ekonomiczne, rozpoczyna się łańcuch opóźnień o nieobliczalnych konsekwencjach.

Jeszcze inną, specyficzną cechą naszego systemu ekonomicznego, w tym także cen — jest rozbieżność między zasadami obowiązującymi w produkcji krajowej, a zasadami obowiązującymi w eksporcie. Zadziewiające jest sąsiedztwo tezy o zubożeniu, rzekomo sprzecznym z socjalizmem, rynkowych reguł gry w gospodarce wewnętrzej, z twierdzeniem o konieczności podporządkowania się prawom rynku w eksporcie. Tymczasem trudno założyć, że ktoś nieprzychylny do mechanizmu rynkowego wewnątrz kraju — osiągałby rzeczywiste sukcesy na rynkach zagranicznych. Tymczasem to, przynajmniej częściowo, wysoki udział surowców i artykułów o niskim stopniu przetworzenia w eksporcie do krajów kapitalistycznych.

Brak właściwego mechanizmu weryfikacji produktu poprzez cenę, a następnie brak rozwiązań systemowych zapewniających dotkliwość sankcji ekonomicznych wobec producentów wyrobów nieodpowiednich jakościowo, nie znajdujących popytu — powodował wspomniane już zjawiska przerzucania odpowiedzialności materiałnej za błędy indywidualne i grupowe — na innych.

Oceniając posunięcia w zakresie ustalania cen w ramach danego systemu — należy zauważyć sprzeczność między stosunkowo sztywnymi ustaleniami systemu cen, a stawianiem przed polityką cen nadmiernej ilości zadań, mnożeniem „funkcji”, jakie ceny powinny wyłaniać. Zgadza się z tym prof. L. Miastkowski o błędności utożsamiania funkcji cen z konkretnymi zadaniami polityki gospodarczej. Praktyka taka doprowadziła bowiem do niehonowania rzeczywistych funkcji cen, do posunięć woluntarystycznych i niekompleksowych, o trudnych do przewidzenia reperkusjach.

Indywidualizacja kształtowania cen dla producentów ma obok swego aspektu systemowego — także reperkusje w praktyce działania Komisji Cen. Nie dysponując pełną wiedzą o szczegółach procesu wytwórczego — niezwykle łatwo przyjąć do wiadomości mylną kalkulację i za twierdzić zbyt wysoką cenę.

Polityka cen detalicznych jest natomiast bardzo zróżnicowana, stosuje — jak wskazano już wyżej — rozmaite kryteria, wyrażające się wielkością różnicy między ceną a kosztem.

*) Fragmenty referatu na sympozjum: „Funkcje cen i ich system racjonalny” zorganizowane przez PKC i ZG PTE, czerwiec 1973.

*) W. Wilczyński. Dopuszczalne warianty mechanizmu gospodarki socjalistycznej. Ekonomista 1969 nr 2, s. 660—665.

*) por. O. Lange. O ekonomicznej teorii socjalizmu. Dzieła t. II. Warszawa 1973, s. 244—265.

*) por. W. Kincel. Rola cen w powstawaniu preferencji asortymentowych przedsiębiorstw odzieżowych. Odzież 1973 nr 2, s. 42—49.

sprawy ekonomistów

PŁOCK: W czerwcu 1975 r. na terenie Oddziału Regionalnego PTE w Płocku działały 32 koła zrzeszające 785 członków. Liczba członków wspierających wynosiła 36. Działalność koł plockich kierunkowa i koordynowała Zarząd, który w ciągu minionych 4 lat zwołał 14 posiedzeń plenarnych. Przewidywał zarząd od było natomiast w tym samym okresie 48 posiedzeń.

Pragnąc zacieśnić współpracę Zarządu Oddziału Regionalnego z kołami oraz zainicjować podejmowanie prac na rzecz środowiska i władz polityczno-administracyjnych, powołał on szereg zespołów branżowych i problemowych, m.in.: Zespół d/s Przemysłu, Zespół d/s Budownictwa i Inwestycji, Zespół d/s Szkolenia i Służb Ekonomicznych, Zespół d/s Kół.

W tym samym okresie koła, przy pomocy Zarządu Oddziału Regionalnego, stosowały następujące formy działania: prelekcje i odczyty, spotkania dyskusyjne z zaliczanie zbiorowe tematów, konsultacje z wybranymi indywidualnymi w kołach oraz w miejscowym Klubie Ekonomistów, kursy stacjonarne organizowane przez Dyrektora Szkolenia Ekonomicznego w Warszawie, opracowywanie koreferatów na KSR, konferencje naukowe.

Na terenie Oddziału Regionalnego w Płocku w okresie kadencji przeprowadzono 162 odczyty, z czego 60 bezpośrednio w kołach. W ramach działalności szkoleniowej zorganizowano i przeprowadzono 6 kursów, których tematyka dotyczyła: zastosowania metod matematycznych w rachunku ekonomicznym, zbytu, zaopatrzenia i gospodarki materiałowej, miejsca i roli samorządu robotniczego w przedsiębiorstwie, zastosowania elektronicznej maszyny księgującej „Logabax” 4200, ekonomiki transportu samochodowego i spedycji, nowego systemu ekonomicznego — finansowego i jego wdrożenia w Zakładach Stolarski Budowlanej.

Ogółem liczba słuchaczy na tych kursach wyniosła blisko 250 osób. Poszerzenie wiedzy ekonomicznej wśród załóg zakładów pracy regionu plockiego odbywa się dzięki systemowi edukacji ekonomicznej. W tym celu, w porozumieniu z Powiatową Radą Związków Zawodowych i Powiatowym Zespołem Koordynacyjnym w Płocku, wspólnie z Oddziałem Terenowym Stowarzyszenia Księgowych w Polsce, powołano 15-osobową grupę wykładowców.

W 1972 roku odbyło się, z udziałem 76 uczestników, sympozjum nt. „Usprawianie gospodarki materiałowej”. W rok później zorganizowano konferencję nt. „Proces inwestycyjny i drogi jego doskonalenia”. W konferencji tej uczestniczyło 85 osób. Ponadto Zarząd Oddziału Regionalnego PTE w Radomiu i Regionalna Rada Koordynacyjna Kół PTE w Pruszkowie, wymieniane doświadczenia w pracy merytorycznej i organizacyjnej.

PRUSZKÓW: Regionalna Rada Koordynacyjna Kół PTE w Pruszkowie powołana została w lutym 1973 r., swym zasięgiem obejmowała miasto i powiat Pruszków oraz powiat Piaseczno i Grodzisk Mazowiecki.

Powołanie Rady było wyrazem dynamicznego rozwoju gospodarczego Pruszkowa oraz jego okolic. Celem działania Rady było: dalszy rozwój i umacnianie koł działających na tym obszarze, podnoszenie poziomu wiedzy ekonomicznej miejscowej kadry ekonomistów, współpraca z gospodarzami regionu.

W okresie ponad dwuletniej działalności Rady zorganizowano 11 koł zrzeszających 200 członków, w ten sposób liczba koł w czerwcu 1975 powiększyła się do 181, a członków do 390. Na prelekcjach i wykładach zorganizowanych w Pruszkowie przeszkolono około 150 pracowników różnych przedsiębiorstw. Szkolenie dotyczyło przede wszystkim następujących dziedzin: zagadnień socjalnych, rachunku ekonomicznego, nowego systemu finansowo-ekonomicznego przedsiębiorstw, analizy wartości.

SIEDLCE: Regionalna Rada Koordynacyjna Kół PTE w Siedlcach powstała w styczniu 1971 roku. Od tego też czasu nastąpiło zdynamizowanie działalności merytorycznej i organizacyjnej PTE na tym terenie. Regionalna Rada Koordynacyjna zorganizowała 17 nowych koł przyzakładowych w Siedlcach oraz koło w Łosicach.

Istotnym momentem w organizacji i działalności koł było przejście od koncepcji koł środowiskowych (handel, spółdzielczość pracy, budownictwo) do zasady organizacyjnej koł przyzakładowych. W 1975 roku RRR w Siedlcach skupiała 20 koł grupujących ponad 400 członków oraz 26 członków wspierających.

Z inicjatywy Rady zorganizowano cykl wykładów dla miejscowej kadry ekonomistów, przyszłych potencjalnych wykładowców z zakresu edukacji ekonomicznej. Cykl ten rozpoczęto w styczniu 1975 r. i zakończono w czerwcu 1975 r. Powołano w 1974 r. Punkt Konsultacyjny w Siedlcach, poza kierownictwem zajęciami w ramach edukacji ekonomicznej, prowadzi akcje szkoleniowo-odczytowe we wszystkich jednostkach organizacyjnych PTE w regionie.

Rozwój sieci koł oraz rozszerzenie działalności merytorycznej PTE na tym obszarze, doprowadziło do powstania w maju 1975 r. Oddziału Regionalnego w Siedlcach.

(ACH)

ISTOTA FLOATINGU

JERZY MOSTOWY

Na gruzach systemu Bretton Woods, który opierał się na stałych parytetach walut i był w teorii standardem złoto-dewizowym, a w praktyce dolarowym, wzrost kursów walutowych zmienił się, zwany z angielską floatingiem. Datuje się on od pamiętnej burzy walutowej w lutym 1973 r. i wynikał z niej drugiej dewaluacji dolara amerykańskiego, kiedy to większość przemysłowych krajów kapitalistycznych, liczących się na arenie międzynarodowych finansów, wprowadziła go dla kursów swych walut albo indywidualnie, albo grupowo w formie bloku walutowego.

ZŁAMANIE STAREGO SYSTEMU

Obecnie floating indywidualny stosują Francja, Japonia, Kanada, Szwajcaria, Włochy i W. Brytania, a grupowo — kraje Beneluksu, Dania, Norwegia, RFN i Szwecja, tworzące razem blok walutowy (tzw. „wąż w tunelu”), w którym utrzymują wahania kursów swych walut w granicach 2,25 procent (średnica „tunelu”), i który jednocześnie jako całość, podlega floatingowi względem dolara USA. W rezultacie kurs tego ostatniego waha się swobodnie w relacji do walut wszystkich krajów przemysłowych.

Wiele krajów rozwijających się związało swe waluty z dolarem, szterlingiem lub frankiem francuskim i tym samym uczestniczy we fluktuacjach kursów tychże walut względem wartości zewnętrznej innych jednostek monetarnych. Inne kraje rozwijające się stosują floating indywidualnie lub zmieniają parytety swych walut tak często, że w praktyce sprawda się to do tego samego. Wiele innych krajów wciąż utrzymuje oficjalne parytety lub kursy centralnie określone w złocie, ale efektywny stosunek wymiany ich walut na inne jest obecnie determinowany przez siły rynkowe. Tak więc w ciągu niewielu lat od zawieszenia wymienialności dolara na złoto — system Bretton Woods uległ prawie całkowitej dezintegracji.

Zachodnie koła ekonomistów uniwersyteckich od dłuższego już czasu opowiadają się w większości za kursem elastycznymi, które znajdowałyby swą równowagę na rynkach dewizowych wolnych od urzędowej interwencji. Natomiast większość rządów, banków i prywatnych przedsiębiorców preferowała kursy stałe, ustalone na mocy porozumienia międzynarodowego i podtrzymywane oficjalnymi interwencjami: taki

właśnie system dominował w pierwszym ćwierćwieczu powojennym. Ale zamyka go inflacja oraz różnice w stopach wzrostu wydajności poszczególnych krajów, wpływające decydująco na relatywną konkurencyjność zagraniczną ich produktów.

RODZAJE FLOATINGU

Przez floating rozumie się mechanizm kursów walutowych regulowany siłami rynkowymi, tj. popytem i podażą danej waluty, których równowaga w poszczególnym momencie czasu wyznacza odpowiedni kurs. Ale teoria ta różni się jednak od praktyki, tak że w rzeczywistości istnieją dwa podstawowe rodzaje floatingu: „czysty” i „brudny”.

„Floating czysty” określa stan kompletnej nieinterwencji urzędowej w mechanizm rynkowy determinujący kurs i pozostawienie temu mechanizmowi całkowitej swobody działania. W tych warunkach bilans płatniczy musi być zawsze w równowadze, gdyż rynek zapewnia, że podaż waluty równa się popytowi na nią. Odpada więc potrzeba utrzymywania rezerw, które służą pokrywaniu tymczasowych deficytów. Zbędne też są wszelkie formy rezerw przydzielanych lub pożyczanych, a tym samym instytucje międzynarodowe (jak MFW), zajmujące się rozprawianiem takich funduszy, spadłyby wówczas do daleko skromniejszej roli ośrodka dyskusyjnego i szkoleniowego.

Zupełnie „czysty” floating jest jednak rzadko, jeśli w ogóle, spotykana skrajnością. Nawet przy swobodnie kształtujących się kursach od czasu do czasu zachodzi potrzeba urzędowej interwencji, aby zapobiec nadmiernym fluktuacjom kursów rynkowych. Ten typ określa się mianem „floatingu brudnego”. Jest on najczęściej stosowany w praktyce, szczególnie przez kraje o floatingu indywidualnym. Przez reformatorów międzynarodowego systemu walutowego¹⁾ został on nawet uznany za właściwy: interwencja ma zapobiegać lub łagodzić ostre fluktuacje kursu tak, aby utrzymywały się on w strefie swobodnej przepływu średnioterminowej normy. W takiej sytuacji istnieć będzie zapotrzebowanie na rezerwy, a kształtowanie się ich uzależnione będzie od różnicy między kursem bieżącym a jego średnioterminową normą.

WADY I ZALETY

W mniemaniu zwolenników, główną zaletą floatingu jest większa swoboda, a jako polityka skarbowa,

monetarna i dochodowa może osiągać zamierzone cele makroekonomiczne bez trąszenia się o utrzymanie adekwatnych rezerw i ustalonych parytetów. Jednocześnie wolne kursy skutecznie przeciwdziałają przepływowi kapitałów krótkoterminowych, powodowanym różnicami stopy procentowej, ponieważ szybka reakcja kursów rynkowych niweluje oczekiwane zyski.

Uwolnione od tych problemów władze gospodarcze mogą w szerszym zakresie dążyć do realizacji zadań długoterminowych, ponieważ poszczególne gospodarki nie będą ponosić szkodliwych konsekwencji przewartościowej lub niedowartościowej waluty. Pozwoli to więc dostosowywać się stopniowo do zmian w międzynarodowej konkurencyjności, co z kolei sprzyjać będzie bardziej racjonalnemu podziałowi pracy w świecie. W systemie kursów swobodnych można również uniknąć politycznie trudnych i często długo odkładanych decyzji co do dewaluacji lub rewaluacji. Możliwe jest w nim wręcz zredukowanie do minimum zapotrzebowania na rezerwy, co zaoszczędziłoby znaczne fundusze narodowe.

Natomiast przeciwnicy floatingu podkreślają, iż podstawową jego wadą jest odstraszenie handlu i inwestycji zagranicznych, albowiem w tych dwóch dziedzinach wolne kursy zwiększają ryzyko finansowe wynikające z niepewności co do cen i zysków. Wprawdzie to dodatkowe ryzyko może być zredukowane do minimum za pomocą niekosztownych transakcji terminowych²⁾, ale w ten sposób można uchronić tylko poszczególną transakcję przed stratą spowodowaną zmianą kursu, natomiast nie daje się wyeliminować daleko poważniejszego ryzyka kursowego, wpływającego na zyski o oczekiwane z określonej działalności gospodarczej. W takich warunkach wzrasta niepewność co do opłacalności eksportu i inwestycji zagranicznych i tworzy się klimat sprzyjający protekcyjnym i subsydiowaniu handlu zagranicznego. Kraje produkujące i eksportujące surowce są szczególnie narażone na to ryzyko i dlatego zaliczają się one do najgorętszych zwolenników systemu kursów stałych.

Obarcza się również floating zarzutem, że przyczynia się on do inflacji przez obalenie dyscypliny rygorów finansowych związanych z systemem stałych parytetów. Krajowe kierownictwo gospodarcze ma wprawdzie większą swobodę działania, ale zarazem i mniej oporów przeciw wydatkowaniu, co powoduje wzrost wydatków wymagający nacisku na płace i ceny.

Ponadto przedłużają się deprecjacja waluty, jeśli taki jest jej trend, z konieczności podraża import, co przez wzrost cen powoduje, że inflacja a w konsekwencji nie daleka deprecjacja „samopodraża się”. Z kolei dłuższa aprecjacja waluty wraz z towarzyszącym tanieniem importu może wpływać zniżej na poziom cen, ale ten wcale nie musi opadać, gdyż we współczesnych monopolistycznych gospodarkach cenomocność cen w dół praktycznie nie istnieje. Potwierdzają to dotychczasowe doświadczenia z rewaluacją jako środkiem przeciwdziałania domowej inflacji. Nie ma więc symetrii w tej dziedzinie.

System kursów swobodnych wymaga też częstszej realokacji czynników produkcji między działalnością eksportową, antyimportową i na użytek wewnętrzny, co prowadzi do dodatkowych perturbacji. Ich natężenie zależy będzie od stopnia ruchliwości siły roboczej i kapitału w danym kraju lub strefie walutowej.

Podnosi się wręcz zarzut, że przy floatingu polityka makroekonomiczna traci na skuteczności ze względu na ogólny klimat niepewności. Planowanie gospodarcze staje się daleko trudniejsze; zmniejsza się dokładność i aktualność kalkulacji, w których konwersja cen zagranicznych na domowe odgrywa istotną rolę, trudniej jest ustalić stopień międzynarodowej konkurencyjności przedsięwzięć produkcyjnych, szybciej i w sposób trudny do obliczenia zmienia się ciężar długu zagranicznego i dochodów z pozakrajowych inwestycji.

KTO ZYSKUJE, A KTO TRACI

Wielkie ruchy kapitałów w latach 1972—73, spowodowane zanikaniem zaufania do niewymienialnego dolara USA i stwarzające niepokojące problemy ich absorpcji, były głównym uzasadnieniem wprowadzenia floatingu. Ale stosowność kursów swobodnych zależy od sytuacji gospodarczej poszczególnych krajów i szczególnych okoliczności je konfrontujących.

Na stanowisko poszczególnego kraju wpływa w pierwszym rzędzie wielkość i wartość jego gospodarki. Im większy jest jego udział i zależność od handlu zagranicznego, tym bardziej dają o sobie znać niekorzystności floatingu, płynące z niepewności i ryzyka związanych z transakcjami międzynarodowymi i z wymogów krótkoterminowych dostosowania strukturalnych. Natomiast samowystarczalność gospodarki dużych lub zaawansowanych ekonomicznie krajów wychodzą na floatingu dużo lepiej, szczególnie dzięki większej niezależności, jaką daje im on w realizacji ich celów gospodarczych i w doborze odpowiednich do tego środków.

Jeszcze ważniejsze są różnice w komparatywnych stopach inflacji i wzrostu wydajności danego kraju z jego głównymi partnerami handlowymi. Gdy stopy te są znacznie wyższe lub niższe niż w reszcie świata — kurs stały waluty wykazuje chroniczną tendencję do wychylania się z szeregu i natłuszczeniem wysiłkiem z takiej sytuacji jest właśnie floating. I odwrotnie: dla krajów, w których inflacja i wydajność zmieniają się harmonijnie z resztą świata, floating nie musi być korzystny, a nawet może okazać się szkodliwy.

Co by jednak powiedzieć o zaletach i wadach floatingu — pozostał fakt, że bieżąco jest on dominującym systemem kursów walut w najważniejszych przemysłowych i rozwijających się krajach. Oficjalnie podkreśla się jego tymczasowość, ale w obecnym układzie międzynarodowych stosunków finansowych niewiele zagraża trwałości tego przewidywania.

¹⁾ Por. Jerzy Mostowy „Impas reformy walutowej”, Z.G. nr 18 z 5.V.1974.

²⁾ Por. tegoż autora „Mechanizm spekulacji dewizowej”, Z.G. nr 12 z 29.III. 1973.

NOWA ROLA SDR

Międzynarodowy system walutowy nie może się obejść, ani prawidłowo funkcjonować, bez miernika wartości walut. Dlatego też jego reformatorzy — mimo że w wyniku długotrwałych prac w latach 1972—74 nie udało się im urzeczywistnić głównego celu, jakim było ustanowienie reżimu „stałych ale dostosowalnych” kursów — postanowili wprowadzić w życie przynajmniej nowy miernik, przy pomocy którego można by w nowo powstałych i utrwalających się warunkach floatingu (vide artykuł obok) wyznaczyć wartość walut swobodnie „bujających” na falach podaży i popytu.

Koncepcja podobnego wzorca wartości ma długą historię. Najstarszym, najlepiej znanym i najpowszechniej w krajach kapitalistycznych stosowanym „numeraire” było teoretycznie złoto, a praktycznie — związane z nim prawnie, w stałym i niezmiennym stosunku, waluty państw o dużych wpływach polityczno-gospodarczych. W XIX stuleciu i aż do 1931 r. taką podstawową walutą był brytyjski funt szterling, w którym, dzięki temu, że formalnie wywodził on swą wartość z złota, określało się faktycznie kursy innych walut. Tę efektywną „walutę szterlingową” po drugiej wojnie światowej zastąpił system Bretton Woods, który był do niej podobny właśnie w tym, że amerykański dolar zajął miejsce szterlinga jako oś i miernik wartości. Ta faktyczna „waluta dolarowa” funkcjonowała przez ponad dwie powojenne dekady względnie dobrze dzięki polityczno-gospodarczej dominacji świata kapitalistycznego przez St. Zjednoczone. Później sytuacja zmieniła się fundamentalnie, głównie przez powstanie EWG i renesans Japonii oraz dekolonizację, pomnażającą liczbę suwerennych państw.

W tych zmienionych okolicznościach żaden kraj lub ich regionalna grupa nie są skłonne do podporządkowania swych racji gospodarczych interesom centralnego mocarstwa jak niegdyś za czasów waluty szterlingowej lub dolarowej. Jednocześnie to ostatnie, wskutek dewaluacji i zerwania związku ze złotem, stały się z czasem nieodpowiednie jako „numeraire”. Trzeba więc było znaleźć nowy miernik wartości, który byłby wolny od dotychczasowych powiązań z kruszcem, a zarazem oparty na wachlarzu walut odzwierciedlającym nowy podział potencjału ekonomicznego w świecie kapitalistycznym.

SDR, międzynarodowy pieniądź papierowy emitowany przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy (działający faktycznie jako światowy bank centralny), okazał się najodpowiedniejszą do roli nowego wzorca wartości głównie dlatego, że ich są one tworem społeczności międzynarodowej, a nie walutą żadnego, nawet najpotężniejszego państwa i politycznie, kraju. Ale trzeba było wprawić przekształcić ich poprzednią wartość, zmieniając jej wyliczną zależność od złota i dolara. W latach

1970—71 stosunek ten wyrażała równość: 1 SDR = 1 US \$. Jednak gdy dolar dewaluowano — naprzód do 38 dol., a następnie do 42,22 dol. za uncję złota — jednostka SDR nadal zachowała pierwotną wartość 35 SDR = 1 uncja złota. Przeto po dwóch dewaluacjach dolara wyrażony w nim ekwiwalent SDR wzrósł do 1 SDR = 1,20635 dol.

Nowy system wartościowania, który wszedł w życie 1 lipca 1974 r. i ma być poddany przeglądowi po dwóch latach, jest niezależny tak od złota, jak i dolara. Określa on wartość jednostki SDR sumą ważonych wartości szesnastu międzynarodowo najważniejszych walut, które wspólnie tworzą tzw. „koszyk standardowy”. Ilości poszczególnych składników walutowych (i ich podane w nawiasach wagi) oparte na ponad jedno-procentowym udziale w światowym eksporcie w latach 1968—72, są następujące: 0,40 (33) dolara amerykańskiego; 0,38 (12,5) marki zachodniemieckiej; 0,045 (9) funta szterlinga; 0,44 (7,5) franka francuskiego; 26 (7,5) jenów japońskich; 0,071 (6) dolara kanadyjskiego; 47 (6) lirów włoskich; 0,14 (4,5) fłorena holenderskiego; 1,6 (3,5) franka belgijskiego; 0,13 (2,5) korony szwedzkiej; 0,012 (1,5) dolara australijskiego; 0,11 (1,5) korony duńskiej; 0,099 (1,5) korony norweskiej; 1,1 (1,5) pesety hiszpańskiej; 0,22 (1) szylinga austriackiego i 0,0082 (1) randa południowoafrykańskiego. Dolarowi amerykańskiemu przydzielono wagę większą od samego udziału w światowym eksporcie, aby adekwatnie odzwierciedlić wszystkie aspekty (zwłaszcza rezerwowe) jego rzeczywistej roli w świecie.

Ponieważ kursy znakomitej większości walut kapitalistycznych swobodnie oscylują (vide artykuł obok), wartość „koszyka standardowego” wyrażona w poszczególnych walutach też ulega równoległej fluktuacji. Każdemu więc daną MFW wyecina składniki walutowe koszyka po rynkowych kursach indywidualnych walut i, sumując je ekwiwalent, oblicza i ogłasza odpowiednie kursy SDR. Ze względu na to, że biące dewaluacje i rewaluacje składników walutowych koszyka przebiegają wzajemnie się znoszą, utrzymuje on względnie stałą wartość, chociaż też „pływa” (ang. float = pływać, unosić się) na powierzchni sił rynkowych.

Przydatność nowego wzorca wartości walut dowodzi jego rosnąca popularność na międzynarodowej arenie finansowej. Najważniejsze i najbogatsze państwa OPEC — Iran i Arabia Saudyjska — w pierwszym kwartale br. określiły parytety swych walut w nowym SDR, zrywając z dolarem, a w czerwcu br. ministrowie OPEC uzgodnili, że ich ceny za ropę będą, począwszy od 1 października 1975 r., wyrażane w SDR zamiast w dolarach. SDR w swej nowej roli i roli zapoczątkowały istotną ewolucję w międzynarodowych stosunkach finansowych, usprawniając funkcjonowanie mechanizmu monetarnego. J. M.

za granicą piszą

PLANOWANIE GOSPODARCZE WE FRANCJI

Brytyjski tygodnik „THE ECONOMIST” zamieścił korespondencję z Paryża „French plan — a glorious hopes, nasty choices” (Francuski plan — wspaniałe nadzieje i przykre dylematy”), w którym czytamy m. in.

Prezydent Giscard d'Estaing trzyma mocno w ręku słynny już francuski mechanizm planowania gospodarczego. Prace nad VII Planem obejmującym pięcioletni okres kończący się w roku 1980 przechodzą przez najrozsądniejsze stadia: rada społeczno-ekonomiczna zaakceptowała już syntezę czterech wstępnych „raportów orientacyjnych” i synteza ta przekazana została parlamentowi. Szczegółowy plan ogłoszony zostanie dopiero wiosną 1976.

W skład rady wchodzi: prezydent, premier, ministrowie finansów i zatrudnienia i wszyscy inni ministrowie, których resortów dotyczy dyskusowane właśnie problemy. Rada zbiera się co parę tygodni i omawia kolejno problemy przedstawiane przez jej członków. Jej posiedzenia są czymś więcej niż zwykłym zastanawianiem się nad tym „dokąd idziemy” głównie dzięki temu, że wchodzi w jej skład szef odrębnej komisji planowania. Jego udział w posiedzeniach rady ma przypominać planistom, iż powinni trzymać się przekazanych im wytycznych politycznych, a jednocześnie udział ten ma przypominać ministrom, że powinni traktować planowanie poważnie.

W ciągu 30 lat, jakie upłynęły od chwili zaprojektowania i utworzenia przez Jana Monnetta aparatu planowania liberalnej gospodarki, osiemnastowieczny dom przy Rue de Marignan, w którym pracuje 60 planistów, przekształcał się coraz bardziej w wieżę z kości słońcowej. Ministerstwo Finansów — w okresie kiedy

kierował nim Giscard d'Estaing, zwolennik sterowania „na wyczucie” — niechętnie odnosiło się do sytuacji, w której znaczną część jego wydatków określał z góry plan i o bardzo subtelny sposób sabotowało ten plan. Inne ministerstwa po prostu go ignorowały. Plan stawał się co prawda coraz doskonalszy pod względem technicznym, ale tracił znaczenie i autorytet.

Czy więc dojdzie teraz do zaniku planu? Giscard d'Estaing, zawsze odnoszący się sceptycznie do roli planowania w pełnym niepewności świecie, początkowo się wahał, a w końcu postanowił tak rozszerzyć plan, by objął on również pewne problemy społeczne i polityczne, a jednocześnie ograniczyć pole działań planu.

Proces planowania wymaga zazwyczaj dwóch lat. Poprzednim razem planiści przeprowadzili konsultację z 15 tys. osób i opracowali dziesiątki szczegółowych raportów pełnych prognoz rynkowych. Tym razem cała praca ma zostać wykonana w ciągu roku, znacznie się też ograniczy liczbę konsultacji i mniej będzie danych liczbowych. Budzi to rozczarowanie tych technokratów w urzędach państwowych i w przemyśle, których namietność do dokładności jest tak wielka, iż nie pozwala im ona dostrzec tego prostego faktu, że dokument noszący nazwę planu pięcioletniego już z samej natury rzeczy nie może zawierać zbyt wiele zdrowego rozsądku. Innym ustępstwem na rzecz realizmu jest decyzja, by doroczny raport o wykonaniu planu przedstawiono komisji planowania w takim terminie, w którym może on jeszcze mieć wpływ na budżet.

Jakie więc działania obejmuje plan? Cztery raporty wstępne, jakie opracowano na temat sytuacji w

kluczowych dziedzinach ustalonych przez prezydenta, zawierają mnóstwo deklaracji o potrzebie najrozsądniejszych poczyną. Raport na temat nierówności społecznej stwierdza, że 77 proc. Francuzów uważa, iż z istnieniem takiej nierówności należy się pogodzić, ale że jest ona obecnie zbyt wielka; raport posuwa się aż do sugestii, by ludzie zarabiający powyżej 15 tys. funtów szterlingów rocznie, mieli prawo tylko do podwyżek równych wzrostowi kosztów utrzymania. Raport na temat wzrostu gospodarczego i zatrudnienia stwierdza, że oba te cele są wysoce pożądane, ale trudno jest je osiągnąć jednocześnie. Raport o wykorzystaniu ziemi i o jakości życia wyraża optymistyczną nadzieję, iż powinien ulec zmianie stosunek do pracy fizycznej i powinno się zwiększyć zatrudnienie w rejonach zaoferowanych gospodarczo. Raport o stosunkach gospodarczych z zagranicą wyzywa do stosowania takiej polityki, która przywróciłaby do 1980 r. równowagę bilansu pozycji bieżącej.

Synteza tych czterech raportów lagodzi ich najbardziej kontrowersyjne fragmenty. Tak np. pominięto propozycję dotyczącą zarobków ludzi znajdujących się na samym szczycie. Pominięto też nieprzyjemne dane na temat inflacji, stanu bilansu płatniczego i bezrobocia. Więc nie ulega kwestii, że najwyższy priorytet uzyska sprawa zagwarantowania Francji „swobody działania” w drodze eliminacji deficytu bilansu płatniczego — chyba, że wzrost bezrobocia zmusi rząd do zmiany listy priorytetów.

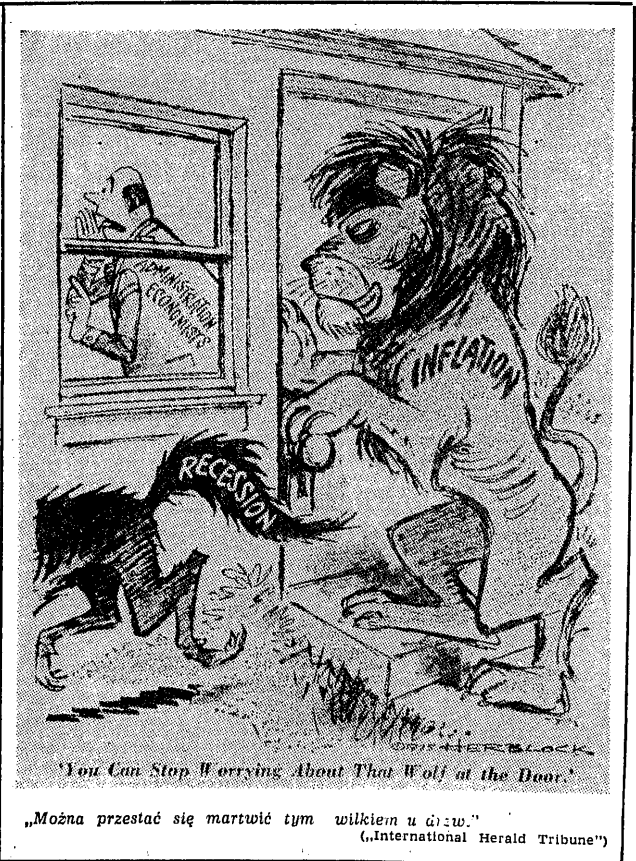
Oznacza to, że (a) inwestycji należy dokonywać w tych dziedzinach o wysokiej wydajności pracy, w których Francja ma przewagę technologiczną nad innymi krajami i że

(b) konsumpcja będzie musiała wzrastać wolniej niż produkcja. Ale punkt (b) ogranicza możliwości redystrybucji dochodów mającej na celu zmniejszenie nierówności społecznej, ponieważ biedniejsi mniej oszczędzają, a więcej chcą konsumować. A punkt (a) nakazuje rezygnację z inwestycji zwiększających zatrudnienie na rzecz inwestycji zwiększających eksport. Trudno też z tymi dwoma zadaniami pogodzić modną koncepcję zwiększania uprawnień władz lokalnych w zakresie opracowywania i realizacji ich własnych planów. Czy bogate regiony „zaplanują” transfer środków na rzecz regionów biednych?

Co realistycznie nastawieni planiści i wyżsi urzędnicy ministerstwa finansów są zdania, że inwestycji należy dokonywać przede wszystkim w tych dziedzinach, w których wciąż jeszcze istnieją duże możliwości zwiększenia wydajności pracy. Jeśli pogląd taki się utrzyma — a trzeba się zastrzec, że wzrost bezrobocia najprawdopodobniej doprowadziłby do zmiany tego stanowiska — to przemysłowcy mogą oczekiwać: bardziej umiarkowanego niż dotąd tempa wzrostu dopływu pieniądza do gospodarki, stałego przykrećciańa subry kredytowej i presji na banki z nacjonalizowane i prywatne by udzielały pożyczek przede wszystkim przedsiębiorstwom z gałęzi uprzywilejowanych przez rząd. Jakże to będą gałęzie?

Chwilowo planiści nie potrafili jeszcze na to odpowiedzieć, jakie to będą programy, w każdym razie żaden z programów zaproponowanych dotychczas nie służy jednocześnie wszystkim celom figurowym w projekcie planu.

(S)



GABOR HIDASI

Redakcja

ŻYCIE GOSPODARCZE nr 37 (1252) 14.IX.1975 r. str. 13

konjunktura na świecie

na rynkach pieniężnych

CENA ZŁOTA

(w dol. za uncję)

TABELA NR 1

	29.VIII	2.IX	3.IX	5.IX
Londyn	159,8	149,25	150,35	153,25
Zurych	160,08	149,75	149,8	153,35
Paryż	163,48	153,79	154,41	156,25

KURSY WALUT

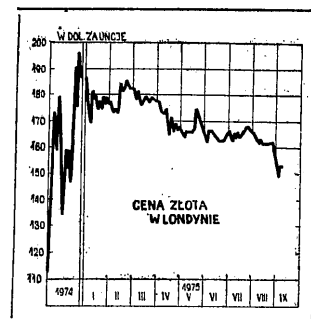
TABELA NR 2

	29.VIII	2.IX	3.IX	5.IX
Funt szterling (w dol. za funt)	2,111	2,109	2,113	2,109
Gułden holenderski (w gułd. za dol.)	2,646	2,65	2,636	2,641
Frank belgijski (we fr. za dol.)	35,47	35,32	35,42	35,54
Marka RFN (w mk. za dol.)	2,585	2,582	2,574	2,582
Lir włoski (w lirach za dol.)	666,8	670,5	669,0	670,4
Frank franc. (we fr. za dol.)	4,395	4,399	4,393	4,396
Frank szwajcarski (we fr. za dol.)	2,685	2,685	2,674	2,683
Korona szwedzka (w kor. za dol.)	4,364	4,376	4,357	4,364
Jen japoński (w jen. za dol.)	297,9	297,9	297,8	297,9

SPADKOWA tendencja ruchu ceny złota trwa już od początku sierpnia, o czym informowaliśmy w poprzednich przeglądach. W pierwszym tygodniu września cena złota wykazała wprawdzie dość znaczne wahania, w sumie jednak oscylowała znów na poziomie niższym niż w ubiegłym tygodniu. Ale nie tylko. W dniu 2 IX spadła ona w Londynie i Zurychu poniżej 150 dol. za uncję, co jest poziomem najniższym w bieżącym roku i nie notowanym od 30 września 1974 roku (por. tabela nr 1 i wykres).

Bezpośrednią przyczyną spadku ceny złota były wyniki obrad dorocznej sesji Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Na sesji tej podjęto decyzję, że ilość złota znajdująca się w dyspozycji MFV (150 mln uncji) zostanie zmniejszona o 1/3, a więc o 50 mln uncji. Połowa tej kwoty zostanie podzielona między kraje członkowskie, proporcjonalnie do wkładów złota, jakie wniosły one do MFV. Druga połowa ma być sprzedana na wolnym rynku, a z uzyskanych tą drogą środków MFV utworzyć ma fundusz pomocy dla krajów rozwijających się. Możliwość sprzedaży tej części, sygnalizowana już w poprzednim przeglądzie, spowodowała właśnie wspomniany wyżej spadek ceny rynkowej złota.

Z informacji dostępnych w ubiegłym tygodniu nie wynikało jednak, że na sesji MFV panować będzie duch „twórczego kompromisu”. Wspomniane wyżej decyzje w sprawie złota są bowiem kompromisem między zwolennikami jego pełnej demonetyzacji, których czołowym przedstawicielem są USA oraz zwolennikami zachowania jego monetarnych funkcji, choć w innej niż dawniej formie (człowym przedstawicielem tego kierunku jest Francja). Wśród innych decyzji w sprawie złota podjętych na sesji MFV warto wymienić: ostateczne odejście od ustalania jakiegokolwiek jego oficjalnej ceny; zawieszenie zakazu zakupu złota na wolnym rynku przez



KURSY WALUT

Banki Centralne w celu zwiększenia swoich rezerw, przy dopuszczeniu jednak możliwości zakupu złota od Banku Centralnego innego kraju. Dzięki temu utrzymano zasadę, że w ciągu dwóch lat zapasy złota znajdujące się w dyspozycji banków centralnych nie ulegną zwiększeniu.

Drugim kompromisowym rozwiązaniem było uzgodnienie nowego podziału i głosów wśród krajów członkowskich. Znalazło to wyraz przede wszystkim w zwiększeniu ilości głosów krajów OPEC (z 5 do 10 proc.) przy zachowaniu dotychczasowej ilości głosów USA (20 proc.).

Trzeci kontrowersyjny problem: utrzymanie płynności kursów walutowych czy ich stabilizacja, i w jakiej formie, nie został przedyskutowany, lecz odczytano do posiedzenia specjalnego komitetu MFV, które odbyło się ma w styczniu przyszłego roku.

Wróćmy jednak do ruchu ceny złota. Po spadku poniżej 150 dol. za uncję w dniu 2 IX wykazała ona następnie wzrost i w dniu 5 IX notowana była w Londynie po 153,25 dolarów za uncję. W komentarzach na ten temat wskazuje się, że było to rezultatem zwiększonych zakupów złota, za którymi — jak się sądzi — stały banki centralne niektórych krajów. Jeśli domniemyania te są prawdziwe, wskazywałoby to na wątpliwą wartość zawartych porozumień.

Na rynkach walutowych nie nastąpiły w pierwszym tygodniu sierpnia poważniejsze zmiany. Na odnotowane zasługuje chyba jednak zaznaczające się osłabienie kursu franka francuskiego w stosunku do dolara (por. tabela nr 2), ze względu na to, że wynika z radykalnej zmiany polityki gospodarczej we Francji.

W ciągu ubiegłych 14 miesięcy polityka ta nastawiona była przede wszystkim na walkę z inflacją oraz wzmocnienie kursu franka. Decyzje ogłoszone przez rząd w dniu 4 IX br. nastawione są na ożywienie gospodarki oraz walkę z bezrobociem. Przewidują one przeznaczenie na ten

cel 30,5 mld franków, co stanowi około 2,3 proc. dochodu narodowego Francji. Przewiduje się, że kwota ta zostanie przeznaczona na podwyżki rent i emerytur, odcroczenie płatności podatkowych przedsiębiorstw, przede wszystkim jednak na podjęcie robót publicznych w zakresie: budowy dróg, portów, szkół, szpitali i innych budynków użyteczności publicznej. Program ten przewiduje również obniżkę stopy procentowej z 9,5 na 8 proc. (a więc w skali rzadko stosowanej jako jednorazowe posunięcie), poważne obniżenie wysokości rezerw banków handlowych, jakie zobowiązane są one utrzymywać w Banku Centralnym oraz inne ułatwienia kredytowe.

Program ten jest jednak interesujący nie tylko z uwagi na jego wpływ na kurs franka, lecz przede wszystkim dlatego, że jest on nowym przejawem aktualnej linii po-

lityki gospodarczej krajów zrzeszonych w EWG. Nastawiona jest ona obecnie na ożywienie koniunktury i walkę z bezrobociem. Wcześniej środki tego typu zostały podjęte w Wielkiej Brytanii i RFN. W dniu 8 IX pakiet tego typu środków ma być przedstawiony przez rząd Danii pod dyskusję w parlamencie tego kraju.

Posunięcia te korespondują z ogłoszonym ostatnio sprawozdaniem komisji EWG o sytuacji gospodarczej w krajach Wspólnego Rynku. We wprowadzeniu komisji stwierdza się, że w ciągu 17 lat istnienia EWG sytuacja gospodarcza zrzeszonych w nim krajów nie była jeszcze nigdy tak zła jak obecnie. Posunięcia te korespondują jednak przede wszystkim ze wzrostem bezrobocia w krajach kapitalistycznych, w tym szczególnie w krajach EWG (por. obok — Wskaźniki).

na rynkach towarowych

WSKAŹNIK CEN SUROWCÓW

„Financial Times”

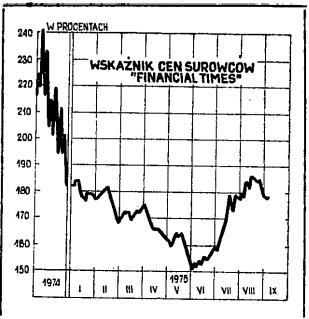
(1.VI.1962 r. = 100)

TABELA NR 3

Data	Wskaźnik
27.VIII	181,72
1.IX	177,28
3.IX	178,36
Przed miesiącem	180,01
Przed rokiem	198,12

W PIERWSZYM TYGODNIU sierpnia wskaźnik cen surowców „Financial Times” wykazał pewne osłabienie. W dniu 3 IX wynosił on 178,36, podczas gdy w dniu 27 VIII 181,72. W stosunku do poziomu z poprzedniego miesiąca był on niższy o 1,65 punktów w stosunku do odpowiedniego okresu ub. roku o 20,8 punktów. Dla wyjaśnienia ruchu ogólnego wskaźnika cen surowców sięgniemy jak zwykle do danych tabeli nr 4. Z tabeli tej wynika, że:

● **Ceny zbóż**, za wyjątkiem pszenicy, wykazały pewne osłabienie w stosunku do ubiegłego tygodnia. Utrzymują się one jednak na poziomie wyższym niż przed miesiącem, choć jest on nadal niższy niż w odpowiednim okresie ubiegłego roku. O dalszym rozwoju sytuacji na rynku zbóż decydować będą wyniki zbiorów. Warto więc odnotować, że w Wielkiej Brytanii rozpoczęły się one wcześniej w tym roku, oceniamy jednak, że będą gorsze niż w roku ubiegłym, głównie w zakresie pszenicy oizmej. W RFN według oceny Ministerstwa Rolnictwa zbiory zbóż wyniosą w br. 22 mln ton, a więc będą tylko o 0,6 mln ton niższe niż w ub. roku. W Holandii przewiduje się, że zbiory pszenicy będą niższe niż w ub. roku, ale i ziemniaki jarego wyższe. We Francji zbiory pszenicy i kukurydzy ocenia się na 12,2 — 12,5 mln ton, podczas gdy w ub. roku wyniosły one 16 mln ton, a poprzednie oceny przewidywały, że w bieżącym



roku wyniosą one 14 mln ton. Ocena zbiorów pszenicy twardziej nie uległa jednak zmianie i przewiduje się nadal, że będą one w br. rekordowe. Według wstępnych jeszcze przewidywań również zbiory kukurydzy mają być we Francji wyższe niż w roku ubiegłym. Z ostatnich doniesień wynika natomiast, że w USA obfite deszcze w sierpniu wpłynęły ujemnie na zbiory kukurydzy. Jeśli chodzi natomiast o soję i sorgo, to warunki atmosferyczne w sierpniu wpłynęły na podwyżkę oceny ich zbiorów.

● **W zakresie innych artykułów żywnościowych** ruch cen był zróżnicowany. Ceny kawy brazylijskiej nie wykazały zmian, podczas gdy ceny kawy kolumbijskiej wykazały dość znaczny spadek. Wynika to z wyraźnego ograniczenia popytu, co jest reakcją na poprzednie podwyżki dokonane po szkodach wyrządzonych przez mrozy na plantacjach kawy w Brazylii. Pewnemu wzmocnieniu w stosunku do poprzedniego tygodnia uległy natomiast ceny kakao, co spowodowane było zarówno rewizją minus oceny zbiorów ziarna kakawowego w Ghanie, jak również informacjami, że Nigeria sprzedała już nie tylko zapasy z ub. roku, lecz również znaczną część tegorocznych zbiorów. Warto jednak zwrócić uwagę na to, że ceny kakao utrzymują się nadal na poziomie niższym niż przed rokiem. Ceny cukru uległy osłabieniu nie tylko w stosunku do poprzedniego tygodnia, lecz również w stosunku do ubiegłego miesiąca, przede wszystkim jednak do poziomu, na jakim były notowane przed rokiem.

	Jedn. p. i wagi	4.IX	Przed tyg.	Przed mies.	Przed rokiem	W ciągu r. w %
ZBOŻE I PASZE						
Pszemka	centy/buszel	388,5*	377,5	355,5	420,5	92,4
Jęczmień	"	249,0*	268,5	—	—	—
Kukurydza	"	295,5	300,0	299,5	332,5	88,9
Owies	"	155,25*	168,0	—	—	—
Ziarno soi	dol/tona	226,25	236,25	239,5	282,5	80,1
INNA ŻYWNOSĆ						
Kawa	centy/lb	—	—	—	—	—
Kakao	\$/sz/tona	625,5	612,5	718,0	861,5	72,6
Cukier	centy/lb	16,0	16,85	28,0	35,5	45,1
WŁÓKNA I SKÓRY						
Bawełna	centy/lb	58,3	59,25	56,5	55,8	104,5
Wełna	pensy/kg	184,0	184,0	178,0	185,0	89,5
Skóry ciężkie (krowie)	centy/lb	22,0	22,0	23,0	23,5	93,6
METALE						
Złom stali	dol/tona	76,83	70,83	57,5	112,0	68,6
Miedź elektr. (wire bars)	\$/sz/tona	585,5	679,0	582,0	658,0	89,0
Cyna	"	3182,0	3146,0	3127,0	4200,0	74,3
Cynk	"	358,0	353,5	333,25	405,0	88,4
Ołów	"	177,0	179,5	174,0	231,0	76,6
INNE						
Kauczuk	pensy/kg	36,5	37,0	37,75	—	—

Miejsce notowania: Chicago — pszenica, kukurydza, skóry ciężkie (krowie); Winnipeg — jęczmień, owies; Rotterdam — ziarno soi; Nowy Jork — kawa, cukier, złom stali; Bradford — wełna; Liverpool — bawełna; Londyn — kakao, miedź elektrolityczna (wire bars); cyna, cynk, ołów, kauczuk.

● **Ceny surowców dla przemysłu lekkiego** nie wykazały poważniejszych zmian. Na uwagę zasługuje jednak, że mimo dalszego obniżenia oceny zbiorów bawełny w USA i Meksyku, jej ceny uległy pewnemu osłabieniu w stosunku do poprzedniego tygodnia, choć utrzymują się nadal na poziomie wyższym niż przed miesiącem.

● **Ruch cen metali nieżelaznych** był zróżnicowany: ceny miedzi i ołowiu wykazały osłabienie w stosunku do ubiegłego tygodnia, podczas gdy ceny cyny i cynku wykazały wzmocnienie. Ceny wszystkich metali nieżelaznych kształtują się jednak na-

dal na poziomie niższym niż w ub. roku. Na niższe cen miedzi działał przede wszystkim spadek ceny złota oraz dalszy wzrost jej zapasów giełdowych. Czynnikiem te okazały się silniejsze niż ogłoszone przez Zambię ograniczenie dostaw miedzi o 20 proc. (zasada „sily wyższej” w związku z trudnościami transportowymi wywołanymi wojną w Angoli). Wśród czynników działających na pewne wzmocnienie cen cynku wymieniamy się przede wszystkim możliwością ich podwyżki z dniem 1 października przez producentów zachodnio-europejskich (z 360 f. szt. na 400 f. szt. za tonę) motywowane spadkiem kursu funta szterlinga.

wskaźniki

TABELA NR 5

		BEZROBOCIE			
		a — ilość bezrobotnych w tys. osób		b — stopa bezrobocia	
		Sierpień 1975	Lipiec 1975	Czerwiec 1975	Sierpień 1974
Wielka Brytania	a	967,0	936,0	864,0	567,0
	b	4,2%	4,1%	3,8%	2,6%
RFN	a	1035,2	1002,1	1017,8	490,9
	b	4,5%	4,4%	4,4%	2,2%
USA	a	7830,0	8569,0	8539,0	4880,0
	b	8,4%	8,6%	8,2%	5,3%
Holandia	a	191,0	177,0	184,0	123,0
	b	4,7%	4,5%	4,7%	3,0%
Belgia	a	162,0	161,0	160,0	103,0
	b	6,2%	6,2%	6,1%	4,3%
Japonia	a	920,0	910,0	880,0	620,0
	b	1,7%	1,7%	1,9%	1,1%
Włochy	a	667,0	603,0	603,0	484,0

Z ostatnich, dostępnych danych statystycznych wynika, że w większości krajów wyszczególnionych w zamieszczonym wyżej zestawieniu zarówno ilość bezrobotnych, jak również stopa bezrobocia wykazały wzrost w stosunku do ubiegłego miesiąca. Wyjątkiem stanowią: USA, gdzie w lipcu zarówno ilość bezrobotnych, jak również stopa bezrobocia wykazały spadek (w sierpniu ta ostatnia nie

uległa zmianie), a ilość bezrobotnych spadła do 7,79 mln, oraz w stosunku do poprzedniego miesiąca oraz Japonia, gdzie przy wzroście ilości bezrobotnych, stopa bezrobocia nie uległa zmianie. W zestawieniu z odpowiednim okresem ub. roku we wszystkich krajach wyszczególnionych w tabeli zarówno ilość bezrobotnych, jak również stopa bezrobocia są obecnie znacznie wyższe.

ze świata nauki i techniki

MIŁOWE KROKI AUTOMATYZACJI

Automatyzacja czyni milowe kroki w zakładach włókien chemicznych „Chemietex-Stilbon” w Gorzowie Wlkp. Szczególnie dale się to zauważyć w zakładach Jedwab-1 i Jedwab-2 oraz w Zakładzie Kordu. Tu m. in. pracują liczne urządzenia cybernetyczne i logiczne, tzw. komputery pamięciowe, elementy elektroniczne, komputery pochodzące m. in. ze słynnej firmy angielskiej „Kent”. W niedalekiej przyszłości cały tzw. czworzątek sterowania będzie komputerowo. W celu przygotowania kudy — w Technikum Chemicznym utworzono klasę automatyki. Pracownicy „Stilbonu” przebywali na praktykach w renomowanych firmach Austrii, Holandii, Włoch i Wielkiej Brytanii. (PAP)

DACH Z HYPALONU

Kauczuk syntetyczny wypuszczonej na rynek przez koncern Du Pont pod nazwą hypalon jest odporny na działanie tlenu, ozonu i promieni słonecznych, jak i chemikali. Ciężar dachu krytego pojeździemka warstwa hypalonu, łącznie z izolacją cieplną i przeciwdziałającą, wynosi około 8 kg/m kw. Wyrzynałoby kauczuk syntetyczny na rozzerwienie i na ścieranie jest dostatecznie wytrzymały, aby dopuścić chodzenie po nim bez ryzyka uszkodzeń. Te właściwości wykazują nawet poprawę w miarze sezonowania. (INNOWACJE)

ANIM — W OBRONIE POWIETRZA

W Zakładzie Doświadczalnym Ochrony Środowiska w Energetyce powstał model — a w Zakładzie Doświadczalnym „Energo-projektu” — wyprodukowano ANIM-74. Jest to nazwa analizatorów sterzeń dwudziestu silników, pracujących na zasadzie reakcji elektrochemicznej między dwudziestymi silnikami i jednym, zachodzącym w rozwarze kwasu siarkowego między spłazywowanymi elektrodami. Zastosowany w analizatorze elektrochemiczny przetwornik jest oryginalnym rozwiązaniem konstrukcyjnym. (NIT)

KLEJC MOŻNA WSZYSTKO

Naukowcy z Zakładu Mechaniki Technicznej i Wytrzymałości Materiałów Politechniki Szczecińskiej udowodnili, że klej można wszystko — elementy samochodów, rękawice, noże towarzyskie, izolacje termiczne. Na zlecenie kujawskich Zakładów Naprawy Samochodów opra-

wano ostatnio w szczecińskiej uczelni technologii stosowania odpowiednich klejów do napraw pojazdów mechanicznych. Badania wykazały duże możliwości stosowania klejowania — nie tylko przy naprawach karoserii, lecz również przy regeneracji elementów zawieszania i silnika samochodu. (PAP)

REWELACYJNY ŚRODEK GAŚNICZY

Zakłady Azotowe w Tarnobrzegu rozpoczęły produkcję doskonałego środka gaśniczego — freonu 114-B2. Nowy środek, który został wyprodukowany w Instytucie Pożarnictwa w Józefowie pod Warszawą jest dziełem zespołu specjalistów z Zakładu Badawczego Tarnobrzegu. „Azot” ma nadzieję, że nowy środek pozwoli na doskonałą walkę z pożarami — nie jest toksyczny, szybko oddziałuje na otoczenie i powoduje prawie natychmiastowe stłumienie plomienia. Znalazł on zastosowanie głównie w lotnictwie. (PAP)

ECHO — KOREKTOR MOWY

Przedstawił w swoim dorobku naukowym lubelski Uniwersytet im. M. Curie-Skłodowskiej na czerwcowej wystawie w Katowicach. U jakichkolwiek się przykorrek mowy stosuje się metodę echa. Oparta jest ona na słuchowym opóźnieniu sprzężeniu zwrotnym, pozwalającym na opóźnione wymawianie dźwięków o 0,1-0,2 sek., poprzez magnetyczne nagrywanie i odtwarzanie. Efekt korekcyjny uzyskuje się przez mówienie w sposób zsynchronizowany (chórally) z własnym echem. Metoda „echo” stosowana jest w klinikach i przychodniach leczenia zaburzeń mowy. Opracowano również w oparciu o tę metodę telefoniczny system korekcyjny mowy obejmujący swym zasięgiem cały kraj. (INNOWACJE)

BANK GENÓW

W Skierniewicach powstał oryginalny bank genów. Zgromadzone tu ponad 200 odmian żyta i blisko 100 odmian innych zbóż. Sproszowane z ogrodów botanicznych i stacji doświadczalnych nasiona są w Skierniewicach wysiewane i reprodukcje. Nowo zebrane zalazno jest przez silne odwadnianie wprowadzane w stan tzw. życia utajonego i zamykane w specjalnych nasennikach z azotem. Ten sposób przechowywania pozwoli na przedłużenie życia nasion do kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu lat. Naukowcy zamierzają gromadzić nasiona wszystkich roślin głównie zaś rzadkich gatunków, którym grozi wyginięcie. Tak zakonserwowana kolekcja nasion będzie wykorzyst-

stana w pracach genetycznych i hodowlanych. (PAP)

KOMPUTERY WKRAKAZAJĄ DO LASU

Z początkiem ub. roku utworzono w Janowie Lub. Instytut Doświadczalny Instytutu Badawczego Leśnictwa. Jako jedyna tego typu w kraju placówka prowadzi on prace nad wzrązaniami i sprawdzaniem hipotez i koncepcji, dotyczących struktur organizacyjnych, procesów technologicznych oraz maszyn i urządzeń, związanych z gospodarką leśną. Doświadczalne lasy, położone w całości w woj. tarnobrzelskim, zajmują obszar blisko 60-tu tys. ha. (PAP)

LASER W MELIORACJI

W USA i Kanadzie opracowano i wprowadzono do praktyki urządzenia laserowe w maszynach drenarskich. Urządzenia te pozwalają na jednoczesne sterowanie kilkoma koparkami na jednym placu budowy. Urządzenie laserowe służące do budowy tuneli zostało po raz pierwszy wykorzystane do układania drenów we Francji. Nieoceniona zaleta laserów w budownictwie melioracyjnym jest uzyskanie wysokiej jakości w układaniu drenów. (INTERPRESS)

WYNALAZCY Z WŁOCŁAWKA

Ogromny wzrost ruchu racjonalizatorskiego zaobserwowano ostatnio w zakładach przemysłowych Włocławka. W ciągu ostatniego roku osłonkowie zakładowych klubów racjonalizacji zgłosili ponad 1800 usprawnień i wynalazków. Ponad połowę zgłoszonych projektów uznano za nadające się do realizacji. Ruch ten rozwija się bardzo aktywnie w Zakładach Celulozowo-Papierniczych im. J. Marchlewskiego, w „Azotach”, Kujawskiej Fabryce Farb i Lakierów oraz Fabryce Lin i Drutu „Drumex”. Wśród licznych nowych rozwiązań racjonalizatorskich i wynalazków na szczególną uwagę zasługuje opracowanie nowych asortymentów kolorowych lakierów dla przemysłu motoryzacyjnego. (PAP)

WYNALAZEK NA TAŚMY

Fachowcy z Zakładów Gumowych Górnicstwa w Bytomiu opracowali specjalną mieszankę do łączenia gumy z włóknami syntetycznymi. Dzięki zastosowaniu nowych składników uzyskano barwność dużą siłę przyłączeniową. Mieszankę wykorzystuje się przede wszystkim przy produkcji taśm przenośnikowych tkaninowo-gumowych. (NIT)

wiadomości gospodarcze ze świata

TRUDNOŚCI MEKSYKU

Rząd meksykański podjął kroki, zmierzające do zmniejszenia popytu konsumpcyjnego i ilości pieniędzy w obiegu; stawia się zadanie zmniejszenia stopy inflacji z dotychczasowych 22-25 proc. w skali rocznej do 15 proc. w 1975 r. Inflacja wiąże się tu z trudnościami w handlu zagranicznym, bowiem mniejszemu popytowi na towary meksykańskie ze strony rynku zagranicznego (zwłaszcza Stanów Zjednoczonych, które są głównym partnerem handlowym Meksyku) towarzyszy obecnie spadek cen szeregu surowców eksportowanych przez ten kraj. Perspektywy wzrostu eksportu nie są w związku z tym oceniane optymistycznie. Wskutek tego, jak też w wyniku spadku wpływów z turystyki, w 1975 r. może nastąpić pogorszenie bilansu płatniczego i rząd będzie prawdopodobnie zmuszony zaciągnąć znaczne pożyczki zagraniczne.

ROZBUDOWA ENERGETYKI W NRD

Z udziałem załóg z Polski, a także ze Związku Radzieckiego, Węgier i Czechosłowacji budowane są obecnie w NRD 2 wielkie elektrownie: elektrownia atomowa „Nord” oraz opalana węglem brunatnym elektrownia w Hagenwerder. Wkrótce rozpocznie się także realizacja następnej elektrowni opalanej węglem, która będzie budowana w Jaenschwalde. Partnerzy z RWPG dostarczają większość urządzeń dla wszystkich tych obiektów.

IMPORT WOŁOWINY DO EWG

Kraje EWG importują znów wołowinę i żywe bydy (od 1 czerwca do 30 września br. 50 tys. ton). Zgodna na tę transakcję została uwarunkowana sprzedażą takiej samej ilości mięsa poza rynek EWG. Głów-

nym oponentem importu spoza krajów EWG jest Francja, która posiadała nadwyżki produkcyjne, tylko w I kwartale br. dostarczyła do Włoch 77 tys. sztuk bydła.

AMERYKAŃSKI PRZEMYSŁ TEKSTYLNÝ KUNKUMENTEM DLA EUROPY

Spadek światowej produkcji tekstyliów w 1974 r. (o 15 proc. w porównaniu z 1973) spowodował zastrzeżenie konkurencji i obecnie zachodnioeuropejscy producenci do listy swoich głównych „wrogów” obok producentów z Dalekim Wschodem zaliczają również USA. Tym bardziej że ostatnio notuje się podrobnienie kosztów produkcji w Europie, a potaniecie ich w USA. Koszty roboczo-godzinny w przemyśle tekstylnym w różnych krajach (poziom RFN = 100) były w ubiegłym roku następujące: Szwecja — 113, Belgia — 96, Holandia — 91, USA — 89, Włochy — 74, Francja — 66, W. Brytania — 50. Poza tym na siłę konkurencyjną przemysłu amerykańskiego wpływają niższe przeciętne koszty chemikaliów opartych na ropie naftowej, a używanych w produkcji włókien syntetycznych.

